

**J.G BALLARD**

**A**  
AMBER

**Najbardziej skandalizująca  
ekranizacja ostatnich lat**

**Kraksa**





---

# J.G. BALLARD

Kraksa

Przekład

**Jacek Manicki**



Warszawa  
1996

Tytuł oryginału CRASH

Ilustracja\* na okładce SOLOPAN

Redakcja merytoryczna KRYSZYNA PETRYK

Redakcja techniczna LIWIA DRUBKOWSKA

Korekta

WIESŁAWA PARTYKA

Copyright © J. G. Ballard

The right of J. G. Ballard to be identified as the author of this work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act, 1988  
All rights are reserved by the author throughout the world

For the Polish edition

Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7169-135-1

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. Warszawa 1996. Wydanie I

Druk. Zakłady Graftane ATEXT  
SA. Gdańsk, ul. Trzy Lipy 31ei.  
(0-58) 32-57-69. (0-58) 32-64-41



Z dominującego w dwudziestym wieku mariażu geniuszu z koszmarem zrodził się jeszcze bardziej zagmatwany świat. Po krajobrazie komunikacji międzyludzkiej snują się widma złowrogich technologii i snów na sprzedaż. W wynaturzonym królestwie rządzone przez reklamę i pseudow wydarzenia koegzystują ze sobą systemy broni termonuklearnych z komercyjnymi napojami, nauka z pornografią. Nasze życie toczy się pod dyktando wielkich bliźniaczych lejtmotiwów dwudziestego wieku - seksu i paranoi.

Nasze pojęcia przeszłości, terażniejszości i przyszłości coraz natarczywiej domagają się rewizji. Tak jak przeszłość zamknęła się dla nas, w kategoriach społecznych i psychologicznych, tragedią Hiroszimy i początkiem ery nuklearnej, tak z kolei przyszłość, pożerana przez nienasyconą terażniejszość, przestaje powoli istnieć. Zaanektowaliśmy przyszłość do terażniejszości jako zaledwie jeden z nieskończoności otwierających się przed nami wyborów. Mnożą się wokół nas opcje i żyjemy w niemal infantylnym świecie, w którym natychmiast może zostać spełnione każde pragnienie, każda możliwość dotycząca stylu życia, form podróży, ról i tożsamości seksualnych.

Ponadto odnoszę wrażenie, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci znacznemu zachwianiu uległa równowaga pomiędzy fikcją a rzeczywistością. Ich role coraz wyraźniej się odwracają. Żyjemy w świecie rządzone przez najprzeróżniejsze fikcje - masowy handel, reklama, polityka prowadzona jako gałąź reklamy, wyjaławianie przez ekran telewizora jakiegokolwiek osobistej reakcji na określone doświadczenie.

Żyjemy na kartach jednej ogromnej powieści rzeki. Rola pisarza w coraz mniejszym stopniu polega na wymyślaniu fikcyjnej fabuły tej powieści. Fikcja już w niej istnieje. Zadaniem pisarza staje się wymyślanie rzeczywistości.

Dawniej przyjmowaliśmy zawsze, że otaczający nas świat zewnętrzny, choć często pogmatwany i niestabilny, reprezentuje rzeczywistość, natomiast wewnętrzny świat naszych dusz, ze swymi snami, nadziejami, ambicjami, to królestwo fantazji i wyobraźni. Role te, w moim mniemaniu, uległy teraz odwróceniu. Najrozważniejszą i najskuteczniejszą metodą zrozumienia świata, który nas otacza, jest przyjęcie założenie, że stanowi on zupełną fikcję - ten zaś malutki, pozostawiony nam węzeł rzeczywistości tkwi w nas samych. Klasyczne freudowskie rozróżnienie pomiędzy ukrytą a jawną zawartością marzeń sennych, pomiędzy tym, co pozorne, a tym, co rzeczywiste, trzeba obecnie stosować do zewnętrznego świata tak zwanej rzeczywistości.

Jakie zatem główne zadanie stoi, wobec tych transformacji, przed pisarzem? Czy może on jeszcze stosować techniki i perspektywy tradycyjnej dziewiętnastowiecznej powieści z jej płynną narracją, ściśle odmierzoną chronologią, z wyrazistymi postaciami zaludniającymi dostojnie swoje nisze w bezmiarze czasu i przestrzeni? Czy spoczywa na nim obowiązek sumiennego zakorzenienia postaci i osobowości głęboko w przeszłości, niespiesznego analizowania tych korzeni, badania najsubtelniejszych niuansów zachowań społecznych i osobistych powiązań? Czy pisarz ma jeszcze moralne prawo do kreowania samowystarczalnego, zamkniętego w sobie świata, obserwowania swoich bohaterów z pozycji badacza, skoro z góry zna odpowiedzi na wszystkie pytania? Czy wolno mu pomijać milczeniem wszystko, czego nie chce dociekać, z własnymi motywami, uprzedzeniami i dewiacjami włącznie?

Moim zdaniem rola pisarza, jego upoważnienie i koncesja na tworzenie uległy radykalnej przemianie. Śmiem twierdzić, że w pewnym sensie pisarz niczego już nie wie. Nie ma żadnego moralnego prawa do narzucania czegokolwiek. Jego rola sprowadza się obecnie do zaproponowania czytelnikowi wytworu swojej wyobraźni, zbioru opcji i możliwych do wyobrażenia alternatyw. Można go porównać do naukowca, który, bądź to biorąc udział w safari, bądź pracując w swoim laboratorium, natrafia nagle na niezbadany teren czy temat.

Może jedynie wysuwać rozmaite hipotezy i konfrontować je z faktami.

„Kraksa” jest właśnie taką książką, skrajną metaforą skrajnej sytuacji, awaryjnym zestawem środków do wykorzystania wyłącznie w skrajnie kryzysowym położeniu. „Kraksa” nie zajmuje się jakąś pojedynczą wymaginowaną, choćby najtragiczniejszą w skutkach katastrofą, lecz pandemonicznym kataklizmem, który co roku pozbawia życia setki tysięcy, a okalecza miliony ludzi. Czy dostrzegamy w tym wypadku samochodowym złowieszczą zapowiedź koszmarnego mariażu seksu z techniką? Czy współczesna technika wyposaża nas z czasem w jakieś środki rozładowywania własnych odchyleń od psychologicznej normy, o jakich jeszcze nam się nie śni? Czy takie okiełznywanie wrodzonej ludzkiej perwersji wyjdzie nam na dobre? Czy istnieje jakaś dewiacyjna logika potężniejsza od tej dyktowanej przez rozum?

W „Kraksie” uczyniłem z samochodu nie tylko symbol seksu, lecz również totalną metaforę życia mężczyzny we współczesnym społeczeństwie. Polityczna rola powieści, jako takiej, jest zupełnie oddzielona od jej zawartości seksualnej, ale nadal uważałbym „Kraksę” za pierwszą powieść pornograficzną wykorzystującą technikę jako środek wyrazu. Pornografia, opisując jak w najpospieszniejszy i najbezwzględniejszy sposób nawzajem się wykorzystujemy i wyzyskujemy, jest, w pewnym sensie, najbardziej wymowną formą fikcji.

Nie muszę tu chyba zaznaczać, że podstawowym przesłaniem „Kraksy” jest ostrzeżenie przed tym brutalnym, erotycznym i złudnie wspaniałym królestwem, które coraz bardziej przekonująco wabi nas z peryferii technicznego krajobrazu.

J. G. Ballard 1995





Vaughan zginął wczoraj w swojej ostatniej kraksie samochodowej. W czasie naszej znajomości ćwiczył własną śmierć w licznych kolizjach, ale ta ostatnia była jego jedynym wypadkiem z prawdziwego zdarzenia. Prowadzony przezeń samochód, pędząc kursem na zderzenie z limuzyną znanej aktorki filmowej, staranował bariery wiaduktu przed londyńskim portem lotniczym i wbił się w dach autobusu pełnego pasażerów linii lotniczych. Kiedy godzinę później przepchnąłem się przez ludzi z policyjnych ekip technicznych, zmiażdżone ciała turystów leżały jeszcze w rozbryzgach krwi na winylowych siedzeniach. Wspomniana aktorka filmowa, Elizabeth Taylor, o wspólnej śmierci, z którą Vaughan od tyłu miesiący marzył, stała na uboczu, pod obracającym się kogutem ambulansu, wsparta na ramieniu swojego szofera. Kiedy przyklęknąłem przy zwłokach Vaughana, uniosła do krtani obleczoną w rękawiczkę dłoń.

Czyżby dostrzegąła w pozie Vaughana przepis na śmierć, który właśnie jej zadedykował? W ostatnich tygodniach życia wszystkie myśli Vaughana obracały się wyłącznie wokół jej śmierci, symbolicznego ukoronowania ran, które inscenizował z poświęceniem Earla Marshalla. Ściany jego mieszkania niedaleko wytwórni filmowej w Shepperton wytapetowane były fotografiami, które robił jej, co rano przez teleobiektyw, kiedy opuszczała swój hotel w Londynie, z kładek dla pieszych nad prowadzącymi na zachód jezdniami oraz z dachu wielopiętrowego parkingu na terenie samej wytwórni. Z nieczystym sumieniem robiłem Vaughanowi na swoim biurowym sprzęcie fotograficznym powię-

kszenia to fragmentów jej kolan, to dłoni, to wewnętrznej powierzchni ud, to znów lewego kącika ust, a wręczając mu potem koperty z odbitkami, miałem wrażenie, że to raty wyroku śmierci. Odwiedzając go w domu przyglądałem się, jak dopasowuje do wycinków jej ciała fotografie groteskowych ran zaczerpnięte z podręcznika chirurgii plastycznej.

Hołubioną przez Vaughana wizję kraksy samochodowej z udziałem jego i aktorki przesycała obsesja na punkcie najprzeróżniejszych ran i okaleczeń - umierającego chromu i odkształcających się ram samochodów obojga, które zderzają się czołowo w wymyślnych kombinacjach powtarzanych w nieskończoność na zwolnionych filmach, identycznych ran odnoszonych przez ciała jego i jej, obrazem szkła matowiejącego wokół jej twarzy w momencie, kiedy niczym podążająca na spotkanie śmierci Afrodyta przebija głową tafłę przedniej szyby, skomplikowane złamania ud obojga powstające w wyniku uderzeń o zespoły dźwigni ręcznego hamulca, a ponad wszystko obrażeń, jakich doznają ich genitalia, jej macica przebijana przez heraldyczny dziób medalionu firmy będącej producentem auta, jego nasienie rozpryskujące się po podświetlonych wskaźnikach, które uwieczniły ostatnie wskazania temperatury silnika i poziomu paliwa w baku.

Tylko w tych chwilach, opisując mi z detalami swoją ostatnią kraksę, Vaughan się uspokajał. Opowiadał o tych ranach i kolizjach z erotyczną czułością wyposzczonego kochanka. Przerzucając w swoim mieszkaniu fotografie obracał się do mnie bokiem, a wtedy profil gotowego do wzvodu penisa wypychającego mu i tak obfite krocze zamykał mi skutecznie usta. Wiedział, że nie opuszczę go, dopóki prowokuje mnie swoim seksem, z którego czynił użytek z dystansem, tak jakby w każdej chwili gotów był wyrzec się go na zawsze.

Przed dziesięcioma zaledwie dniami Vaughan ukradł mój samochód. Groźna maszyna wyprysnęła betonową pochylnią z pupłaki garażu w podziemiach kamienicy, w której mieszałem. Wczoraj jego ciało leżało już pod wiaduktem w blasku policyjnych lamp łukowych, spowite całunem z misternej krwawej koronki. Nienaturalne położenie połamanych nóg i rąk, krwawa geometria twarzy przywodziły na myśl kiepską parodię pokrywających ściany jego mieszkania

fotografii obrażeń odnoszonych w kraksach. Po raz ostatni spojrziałem na jego wydatne, skąpane we krwi krocze. Błyski migających kogutów oświetlały raz po raz aktorkę, która stała kilka metrów ode mnie uwieszona ramienia swojego szofera. Vaughan marzył o śmierci w chwili, kiedy ona przeżywać będzie orgazm.

Vaughan brał przed śmiercią udział w wielu kraksach. Kiedy wspominam Vaughana, widzę go zawsze w samochodach, które kradł i rozbijał, w objęciach pogniecionych blach i połamanego plastyku, w których wyzionął w końcu ducha. Dwa miesiące wcześniej natknąłem się na niego na dolnym poziomie wiaduktu przed lotniskiem, w chwilę po tym jak przeprowadził pierwszą próbę własnej śmierci. Taksówkarz pomagał wydostać się dwóm roztrzęsionym stewardesom z małego samochodu, w który uderzył Vaughan, wypadając znienacka na wiadukt z niewidocznego wylotu ślimaka. Podbiegając do miejsca wypadku widziałem Vaughana za potrzaskaną szybą białego kabrioletu, który zwędził z parkingu przed Terminalem Oceanicznym. Na jego znużoną twarz o pokiereszowanych wargach kładły się zygzaki połamanych tęcz. Silnym szarpnięciem otworzyłem wgniecione drzwiczki od strony pasażera. Vaughan siedział na zasypanym odłamkami szkła fotelu kierowcy, studiując rozanielonym spojrzeniem swoją pozycję. Przyciśnięte do boków ręce ze zwróconymi ku górze poduszkami dłoni miał zbroczone krwią z poharatanych rzepek kolanowych. Przyjrzał się wymiocinom spływającym mu po klapach skórzanej marynarki, a potem sięgnął do tablicy rozdzielczej, by dotknąć krzepnących na niej kropel własnego nasienia. Próbowałem wyciągnąć go z wozu, ale przeszkadzały mi w tym jego kurczowo ściśnięte pośladki, które jakby się zakleszczyły w trakcie wyciskania ostatnich kropel płynu z nasieniowodów. Na fotelu pasażera leżały podarte odbitki fotografii aktorki filmowej, które wywołałem mu tego ranka u siebie w biurze. Powiększone fragmenty wargi i brwi, łokcia i mostka tworzyły rozsypaną mozaikę.

Dla Vaughana skonsumowane zostało ostatecznie małżeństwo kraksy z jego własną seksualnością. Pamiętam te noce, kiedy kotłował się na złomowiskach w poharatanych wrakach samochodów ze stremowanymi młodymi kobietami, i ich fotografie w wyrafinowanych pozach aktów seksualnych. Spięte twarze i naprężone uda, wyłuskane z mroku

błyskiem flesza polaroida, przywodziły na myśl wystraszonych rozbitek ocalałych z katastrofy łodzi podwodnej. Te początkujące dziwki, podrywane przez Vaughana w całodobowych kafejkach i supermarketach londyńskiego portu lotniczego, zaliczały się do najbliższych kuzynek pacjentek zilustrowanych w jego podręcznikach chirurgii. Studiując z nabożną czcią obrażenia kobiet padających ofiarami wypadków, Vaughan wykazywał obsesyjne zainteresowanie zwłaszcza zgorzelami gazowymi, ranami twarzy i okaleczeniami genitaliów.

To właśnie poprzez Vaughana odkryłem rzeczywistą wymowę kraks samochodowych, symbolikę rozpruwanego ciała i dachowania, ekstazy towarzyszące czołowym zderzeniom. Odwiedziliśmy razem położone trzydzieści pięć kilometrów na zachód od Londynu Laboratorium Badawcze Ruchu Drogowego i przyglądaliśmy się, jak naszpikowane specjalistyczną aparaturą samochody wałą z impetem w betonowe bloki oporowe. Vaughan filmował kamerą owe testowe kolizje i później, po powrocie do domu, wyświetlił w zwolnionym tempie nakręcony materiał. Siedząc w mroku na rzuconych na podłogę poduchach, obserwowaliśmy z zadartymi głowami migotliwy zapis tych zderzeń rzucany przez projektor na ścianę. Powtarzające się ujęcia rozbijających się samochodów najpierw mnie uspokoiły, a potem zaczynały podniecać. Jadąc później samotnie ulicą zalaną pomarańczowym blaskiem lamp sodowych, wyobrażałem sobie siebie za kierownicą tych wałających w przeskodę pojazdów.

W ciągu następnych miesięcy spędziliśmy z Vaughanem wiele godzin krążąc po drogach szybkiego ruchu, które obiegają lotnisko od północy. W spokojne letnie wieczory te szerokie aleje stają się stertą koszmarnych kolizji. Prowadząc na radiu Vaughana nasłuch na pasmach policyjnych, przemieszczaliśmy się od jednej kraksy do drugiej. Zatrzymywaliśmy się często pod łukowymi lampami zalewającymi blaskiem miejsce jakiegoś poważniejszego wypadku i przyglądaliśmy się z fascynacją, jak strażacy i ludzie z policyjnych ekip technicznych palnikami acetylenowymi i specjalnymi podnośnikami uwalniają nieprzytomne żony uwięzione obok martwych mężów, albo jak przejeżdżający przypadkiem lekarz usiłuje udzielać niezdarnie pierwszej pomocy umierającemu człowiekowi przygniecionemu przez przewróconą ciężarówkę. Czasami Vaughan był odciągany przez innych gapiów i musiał staczać walki z sanitariuszami z ambulansów o swój sprzęt fotograficzny. Vaughan polował przede wszystkim

na czołowe zderzenia z betonowymi filarami wiaduktów nad drogami szybkiego ruchu, fascynowała go melancholia tchnąca z zestawienia rozbitego pojazdu porzuconego na skraju pasa zieleni ze stoickim spokojem rzeźby z betonu.

Pewnego razu dotarliśmy pierwsi do rozbitego wozu i za jego kierownicą ujraliśmy ranną kobietę. Kasjerkę z lotniskowego bezcłowego sklepu z alkoholami. Siedziała chwiejnie w zgniecionej kabinie, jej czoło usiane okruchami przyciemnianej przedniej szyby wyglądało jak wysadzone klejnotami. Na przebiegającym górą wiadukcie zapulsował ostrzegawczy kogut nadjeżdżającego wozu policyjnego. Vaughan wrócił biegiem po aparat i flesz. Połóżniwszy krawat, szukałem bezskutecznie wzrokiem ran kobiety. Patrząc na mnie bez słowa, osunęła się na bok, w poprzek przednich siedzeń. Dostrzegłem krew przesiakającą przez jej białą bluzkę. Zrobiwszy ostatnie zdjęcie, Vaughan wsunął się na klęczkach do samochodu, ostrożnie ujął głowę kobiety w dłonie i szepnął jej coś do ucha. Pomagaliśmy obaj wydobyć ją z wozu i ułożyć na noszach ambulansu.

Kiedy jechaliśmy z powrotem, Vaughan dostrzegł w przedsionku przydrożnej restauracji znajomą dziwkę z lotniska, niepełnoetatową bileterkę kinową, utyskującą wiecznie na szwankujący aparat słuchowy swojego synka. Usiedli oboje za mną i kobieta zaczęła się skarżyć Vaughanowi na mój nerwowy styl prowadzenia, ale on śledził tylko roztargnionym wzrokiem ruchy, jakie wykonywała, niemal zachęcając ją do gestykulowania rękoma i przebierania kolanami. Czekałem przy balustradzie na pustym dachu wielopiętrowego parkingu w Northolt. Na tylnym siedzeniu samochodu Vaughan ułożył kończyny kobiety w pozycjach, jakie zapamiętał u umierającej kasjerki. W refleksach światel reflektorów przejeżdżających dołem pojazdów widziałem jego muskularne ciało pochyłone nad nią i przyjmujące szereg stylizowanych póz.

Vaughan wyjawiał mi wszystkie swoje obsesje na punkcie tajemniczego erotyzmu ran: perwersyjna logika zachlapanych krwią tablic rozdzielczych, pasy bezpieczeństwa wymazane ekskrementami, osłony przeciwsłoneczne obramo-

wane tkanką mózgową. Każdy rozbity samochód swoimi skomplikowanymi geometriami powginanego zderzaka, abstrakcyjnymi kształtami pogiętych kratek wlotu chłodnicy, groteskowym nawisem deski rozdzielczej wtłoczonej w krocze kierowcy jakby w jakimś precyzyjnie zaprogramowanym akcie maszynowego *fellatio*, wyzwał u Vaughana dreszcz podniecenia. W tym galimatiasie chromowanych noży i hartowanego szkła zastygał na zawsze pewien intymny fragment czasoprzestrzeni pojedynczej istoty ludzkiej.

Kiedy pewnego wieczoru, w tydzień po pogrzebie kasjerki, jechaliśmy znowu wzdłuż zachodniego krańca lotniska, Vaughan skręcił gwałtownie i potracił wielkiego kundla. Głuchy łomot uderzenia oraz grad szkła, kiedy psisko, odbiwszy się od przedniej szyby, przelatywało nad naszym dachem, utwierdziły mnie w przekonaniu, że zginiemy w kraksie. Vaughan nawet nie zwolnił. Obserwowałem go, jak przyśpiesza, dosuwając pokaleczoną twarz do roztrzaskanej szyby i ścierając gniewnie z policzków okruchy hartowanego szkła. Akty przemocy, jakich się dopuszczał, stały się już tak powszednie, że byłem jedynie ich biernym obserwatorem. Jednak nazajutrz, kiedy porzucaliśmy samochód na lotniskowym parkingu, Vaughan z niezmałym spokojem pokazał mi głębokie wgniecenia na masce i na dachu. Potem odwrócił ziemistą, ściągniętą jak u zadumanego dziecka twarz ku zachodowi i zapatrzył się na wypełniony turystami samolot wznoszący się w niebo. Długie trójkątne wgłębienia na karoserii samochodu powstały w procesie umierania jakiegoś nieznanego stworzenia, w geometrii tego pojazdu odcisnęła się jego odchodząca w niebyt tożsamość. O ileż więcej tajemniczości kryłoby się w naszych własnych zgonach, nie mówiąc już o zgonach tych sławnych i potężnych?

Jednak ta pierwsza śmierć wydawała się czymś błahym w porównaniu z innymi, w których Vaughan miał potem swój osobisty udział, i z tymi wyimaginowanymi, które wypełniały jego myśli. Kiedy nie mógł zasnąć, wymyślał przerażający almanach hipotetycznych katastrof samochodowych i obłądnych ran - płuca starszych mężczyzn przebite klamkami u drzwiczek, klatki piersiowe młodych kobiet wgniecione kolumnami kierownicy, policzki przystojnych młodzieńców poprzekłuwane chromowanymi zaciskami uchylnych szybek wentylacyjnych. Dla niego rany te były

kluczami do nowej seksualności zrodzonej z perwersyjnej techniki. Wizje tych ran wisiały w galerii jego wyobraźni niczym eksponaty w muzeum rzeźni.

Wspominając teraz Vaughana umarzanego we własnej krwi, tonącego w blasku policyjnych lamp łukowych, przypominam sobie niezliczone wyimaginowane katastrofy, które opisywał mi, kiedy krążyliśmy po drogach szybkiego ruchu w okolicach lotniska. Snuł wizje ambasadorskich limuzyn grzmocących w zawracające na wąskiej jezdni cysterny z butanem, taksówek pełnych rozbawionej młodzieży rozbijających szklane tafle oświetlonych rzęsiście witryn wystawowych pustych supermarketów. Marzył na jawie, jak to rozdzieleni za młodu siostry i bracia spotykają się po latach w kraksach na ciągach komunikacyjnych zakładów petrochemicznych, i jak w krwawych rozbryzgach tkanki mózgowej, które wykwitają pod powleczonymi aluminium komorami ciśnień i zbiornikami reakcyjnymi, dochodzi między nimi do nieświadomego aktu kazirodztwa. Obmyślał potężne kolizje zaprzysiężonych wrogów, zgony z nienawiści uświetniane przez płonąca w przydrożnych rowach benzynę, przez lakier gotujący się pośród zmierzchu zapadającego nad prowincjonalnymi miasteczkami. Wyobrażał sobie wyrafinowane kraksy z udziałem uciekających przestępców, mających wolne recepcjonistek uwięzionych pomiędzy kierownicą a podołkiem kochanka, którego masturbowały. Wymyślał kraksy nowożeńców w trakcie miesiąca miodowego, sprasowanych ze sobą po wklinowaniu się pod elementy zawieszenia tylnych osi przyczep z cukrem, zgubionych przez ciągnące je ciężarówki. Obmyślał najabstrakcyjniejsze ze wszystkich kraksy stylistów samochodowych dogorywających w swoich wozach z technikami laboratoryjnymi obojga płci.

Vaughan konstruował niezliczone odmiany tych kolizji, wychodząc zawsze od zderzeń czołowych: pedofil i przepracowany lekarz ginęli dwukrotnie, najpierw w kolizji czołowej, potem w wyniku dachowania; była prostytutka o obfitych kształtach wpadała na betonową bandę autostrady, wylatywała przez rozbitą przednią szybę i rozdzierała sobie przekwitłe lędźwie o chromowaną ozdobę maski. Widok krwi odcinającej się od białego betonu skarpy zapadnie na zawsze w pamięć policyjnemu technikowi zbierającemu kawałki jej ciała do żółtego plastikowego worka. W in-

nej wersji Vaughan wyobrażał ją sobie na przydrożnej stacji benzynowej, jak w momencie kiedy schyla się, by poluzować uwierający pasek prawego buta, zostaje staranowana przez cofającą ciężarówkę, rozgnieciona o drzwiczki swojego samochodu i zarysy jej ciała rozpląwają się w krwawej miazdze rozmazanej po wewnętrznej stronie drzwiczek. Widział ją też oczyma wyobraźni, jak wyłamuje barierkę wiaduktu i ginie śmiercią, która później jemu miała przypaść w udziale, wbijając się w dach autobusu linii lotniczych. Widział ją, jak wysiadając z samochodu, by załatwić potrzebę naturalną w przydrożnej toalecie, zostaje uderzona przez rozpędzoną taksówkę i odlatuje na sto metrów w rozbryzgach uryny i krwi.

Przypominają mi się teraz inne kraksy, jakie sobie wyobrażaliśmy, absurdalne przypadki śmierci cierpiących, zboczonych, roztargnionych. Myślę o kraksach psychopatów, o tych niewiarygodnych wypadkach, które powodują z premedytacją i odrazą do samych siebie, o tych karambolach, do których doprowadzają złośliwie wieczorem, wyjeżdżając w kradzionych samochodach na ulice pełne o tej porze zmęczonych urzędników biurowych. Myślę o absurdalnych kraksach powodowanych przez neurasteniczne gospodynie domowe, które wracając z przychodni wenerologicznej wpadają na samochody zaparkowane na podmiejskich ulicach. Myślę o kraksach powodowanych przez podnieconych schizofreników pasujących się na ulicy jednokierunkowej w tył stojących w korku furgonetek pralni chemicznych; o osobnikach z odchyleniami maniakalno-depresyjnymi miazdżonych podczas zawracania pod wpływem nagłego impulsu na podjazdach na drogi szybkiego ruchu; o pechowych paranoikach rąbiących na pełnym gazie w ceglane ściany na końcu ślepej uliczki; o sadystycznych siostrach przełożonych skracanych o głowę w kraksach na skomplikowanych węzłach komunikacyjnych; o kierowniczkach supermarketów ze skłonnościami lesbijskimi, które giną w płomieniach w sprasowanych ramach swoich malutkich autek na oczach przyglądających się temu biernie strażaków w średnim wieku; o miazdżonych na tylnych siedzeniach autystycznych dzieciach, z których oczu w chwili śmierci znika przygnębienie; o chorych umysłowo, ze stoickim spokojem tonących całymi autobusami w przydrożnych kanałach ściekowych.

Na długo przed śmiercią Vaughana zacząłem myśleć o własnej. Z kim umrę i w jakiej roli - psychopaty, neurast-



tenika, uciekającego przestępcy? Vaughan marzył bez końca o zgonach osób sławnych, wymyślając im wymaginowane kraksy. Snuł wyszukane fantazje wokół śmierci Jamesa Deana i Alberta Camusa, Jayne Mansfield i Johna Kennedy'ego. Jego wyobraźnia przypominała istną strefę rażenia, w której celami były aktorki filmowe, politycy, tytani biznesu i osobowości telewizyjne. Vaughan chodził za nimi wszędzie ze swoim aparatem i obserwował przez teleobiektyw z pomostu widokowego Terminalu Oceanicznego na lotnisku, z balkonów na półpiętrach hoteli i z parkingów wytwórni filmowej. Dla każdego obmyślał optymalną śmierć w samochodowej kraksie. Onassis z żoną umierali w odtworzonym wiernie zamachu na Dealey Plaża. Reagana widział w skomplikowanym karambolu, umierającego stylizowaną śmiercią, która oddawała obsesję Vaughana na punkcie narządów płciowych Reagana. Jego obsesją były również subtelne odkształcenia łon aktorek filmowych na winylowych pokrowcach siedzeń wynajętych limuzyn.

Po jego ostatniej próbie zglądzenia mojej żony Catherine wiedziałem już, że Vaughan wycofał się ostatecznie do swojego małego światka. Zamknięty w tym ułudnym królestwie rządzone przez przemoc i technikę, mknął teraz sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę pustymi drogami szybkiego ruchu, mijając opuszczone stacje benzynowe na skrajach rozległych pól i wypatrując jakiegoś nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. Oczywiście widział cały świat umierający w jednoczesnej katastrofie samochodowej, miliony pojazdów sprasowanych w jedną wielką masę w ostatecznym zespoleniu tryskających lędwzi i płynu chłodzącego.

Pamiętam swoją pierwszą niegroźną stłuczkę na pustym hotelowym parkingu. Spłoszeni przez policyjny patrol w trakcie aktu seksualnego, doprowadziliśmy go w pośpiechu do końca. Wyjeżdżając tyłem z parkingu, uderzyłem w nie oznakowane drzewo. Catherine zwymiotowała na mój fotel. W tej sadzawce wymiocin z unoszącymi się w niej grudkami krzepnącej krwi przypominającymi płynne rubiny, lepkiej i dyskretnej jak wszystko, co produkowała Catherine, wyszlachetnionej niczym ekskrementy królowny z bajki, do tej pory upatrując esencji erotycznego delirium towarzyszącego kraksie samochodowej, podniecającej bardziej od jej śluzu pochwowego i odbytniczego, czy maleń-

kich globulek płynu tworzących się wokół galaretek jej szkieł kontaktowych. W tej magicznej sadzawce, wydostającej się z jej gardła na podobieństwo długo wyczekiwanego wytrysku fluidu z jakiejś, nieokreślonej i tajemniczej relikwii, w tym zwierciadle z krwi, nasienia i wymiocin wydestylowanych przez usta, których kontury przed zaledwie kilkoma minutami przysysały się miarowo do mojego penisa, ujrzałem własne odbicie.

Teraz, kiedy Vaughan zakończył życie, pozostaniemy wraz z innymi, którzy się wokół niego zgromadzili, jak ten tłum obstepujący rannego kalekę i dopatrujący się w jego zdeformowanej pozie sekretnych recept na własne zachowanie i wybór dróg życiowych. My wszyscy, którzy znaliśmy Vaughana, akceptujemy perwersyjny erotyzm kraksy samochodowej, bolesny jak wyciąganie odsłoniętego organu poprzez szczelinę cięcia chirurgicznego. Obserwowałem kopulujące pary pędzące nocą ciemnymi drogami, mężczyzn i kobiety na pograniczu orgazmu w samochodach, które kombinacjami wabiących trajektorii gnają na spotkanie migającym reflektorem strumienia nadjeżdżających z przeciwka pojazdów. Młodych mężczyzn za kierownicami swoich pierwszych aut, prawie wraków wyciągniętych ze złomowisk, którzy masturbując się pędzą przed siebie bez celu na łysych oponach. Chwilę po uniknięciu o włos kolizji na ruchliwym skrzyżowaniu, na popękanej skali szybkościomierza drżą krople nasienia. Zaschnięte pozostałości tego samego nasienia są później ścierane lakierowanymi włosami pierwszej młodej kobiety, jaka pochyla się nad kroczem kierowcy, otaczając ustami jego penis, on zaś prowadzi jedną ręką wóz przez ciemność ku wielopoziomowemu skrzyżowaniu, nagle, na widok tylnej klapy ciężarówki wyładowanej kolorowymi odbiornikami telewizyjnymi wyrastającej mu tuż przed maską, ciśnie po hamulcach i ich pisk wysysa z niego nasienie, chłopak nie zwraca uwagi na błyskające ostrzegawczo w lusterku wstecznym reflektory drugiej ciężarówki pędzącej tuż za nimi, i lewą dłonią pobudza łechtaczkę dziewczyny do orgazmu. Później przygląda się, jak na tylnym siedzeniu kolega bierze nastolatkę. Usmarowane dłonie mechanika obnażają jej poślądki przed przemykającymi za szybą tablicami reklamowymi. Wilgotną

nawierzchnia jezdni skrzy się w światłach reflektorów i umyka spod kół przy wtórze pisku klocków hamulcowych. Jego wyprężony penis błyszczy nad dziewczyną, tryskając nasieniem w wystrzępiony plastikowy sufit samochodu, plamiąc żółty materiał.

Odjechał ostatni ambulans. Przed godziną rozpędzony samochód gnał na limuzynę aktorki filmowej. W zapadającym zmierzchu biały beton korytarza kolizji pod wiaduktem przypominał tajny pas startowy, z którego mają startować w metalizowane niebo tajemnicze maszyny. Szklany aeroplan Vaughana przeleciał gdzieś nad głowami znudzonych gapiów rozchodzących się do samochodów, nad zmęczonymi policjantami zbierającymi poszarpane walizki i torebki turystów z autobusu linii lotniczych. Pomyślałem o ciebie Vaughana chłodniejszym teraz i nadal stygnącym, podobnie jak ciała innych ofiar kraksy.

Zacząłem dostrzegać w kraksach samochodowych źródło prawdziwych podniet już po pierwszym spotkaniu z Vaughanem. Chwiejna postać tego naukowca spod ciemnej gwiazdy, niesiona przez dwie usiane bliznami i niepewne nogi kiereszowane wielokrotnie w takiej czy innej kolizji, wkroczyła w moje życie w okresie, gdy jego obsesje czyniły już zeń niekwestionowanego szaleńca.

Kiedy wracałem do domu z wytwórni filmowej w Shepperton, na skrzyżowaniu pod samym wjazdem na wiadukt Western Avenue mój samochód wpadł w poślizg. W kilka sekund później wpadałem już z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę na przeciwny pas ruchu. Prawa opona, uderzając o krawężnik centralnego pasa zieleni, pękła i z łopotem sfrunęła z felgi. Wóz, wyrwawszy mi się spod kontroli, przeciął pas zieleni i pognął pod prąd ślimakiem zjazdowym. Z przeciwka nadjeżdżały trzy pojazdy, masowo produkowane limuzyny. Ich modele, roczniki, kolory lakierów i zewnętrzne akcesoria pamiętam do dziś z bolesną dokładnością koszmaru, przed którym nie ma ucieczki. Zderzenia z pierwszymi dwoma unikałem, cisnąc rozpaczliwie po hamulcach i w ostatniej chwili wprowadzając swój samochód między nie. W trzeci, wiozący młodą lekarzkę i jej męża, wyrznałem czołowo. Mężczyzna, inżynier chemik z jakiejś amerykańskiej firmy spożywczej, zginął na miejscu, wyrzucony przez przednią szybę niczym kukła z lufy cyrkowej armaty. Wyzionął ducha na masce mojego wozu, a jego krew, bluzgając poprzez pokruszoną przednią szybę, opryskała mi twarz i klatkę piersiową. Strażacy, którzy

wycinali mnie potem ze zgniecionej kabiny wozu, byli przekonani, że mam rozerwane serce i wykrwawiam się na śmierć.

A mnie się właściwie nic nie stało. W drodze powrotnej do domu, po wysadzeniu swojej sekretarki Renaty, która oznajmiła mi tego dnia, że wycofuje się z łączącego nas, przelotnego romansu, jechałem nadal w pasie bezpieczeństwa. Zapiąłem go wcześniej celowo, żeby oszczędzić dziewczynie kłopotliwego dla niej obejmowania mnie. Kiedy moje ciało weszło we własną kolizję z wnętrzem samochodu, posiniaczyłem sobie porządnie klatkę piersiową o kierownicę i poobijałem kolana o deskę rozdzielczą, ale jedynym poważniejszym obrażeniem, jakie odniosłem, było naderwanie nerwu na wierzchu głowy.

Te same tajemnicze siły, które nie dopuściły, bym wbił się na pal kolumny kierownicy, ocaliły również młodą żonę inżyniera. Jeśli nie liczyć stłuczonej kości szczękowej i kilku obruszonych zębów, wyszła z wypadku bez szwanku. Przez pierwszych kilka godzin przebywania w Ashford Hospital nie mogłem wyrzucić z pamięci obrazu nas dwojga, uwięzionych twarzą w twarz w tych dwóch samochodach, i przedzielającego nas, rozciągniętego na masce mojego wozu ciała jej dogorywającego męża. Patrzyliśmy na siebie przez pokruszone przednie szyby, niezdolni się poruszyć. Przy prawej wycieracze, parę centymetrów ode mnie, spoczywała zwrócona poduszką do góry dłoń jej męża. Wyrzucony siłą bezwładności z fotela musiał uderzyć tą dłonią o coś twardego, bo na moich oczach wykwitał na niej jakiś wzór podpompowywany przez zamierające krążenie do postaci ogromnego podeszłego krwią bąbla - odcisku emblematu z wlotu mojej chłodnicy.

Żona mężczyzny, podtrzymywana za kierownicą przeciągniętym ukośnie przez pierś pasem bezpieczeństwa, patrzyła na mnie w dziwnie formalistyczny sposób, jakby nie była jeszcze pewna, co skrzyżowało nasze drogi. Na jej ładnej twarzy zwiędzonej szerokim, inteligentnym czołem malował się pusty, obojętny wyraz Madonny z wczesnorenesansowej ikony, wzdragającej się przed zaakceptowaniem cudu, czy może koszmaru, wytryskującego z jej lędźwi. Nikły ślad jakiejś emocji przemknął przez tę twarz tylko raz, kiedy kobieta wreszcie wyraźnie mnie zobaczyła, i wtedy prawy policzek wykrzywiło jej osobliwe drgnienie,

jakby skurcz nerwu. Czyżby uświadomiła sobie, że krew na mojej twarzy i klatce piersiowej pochodzi z żył jej męża?

Nasze szczepione samochody otoczył szybko wianuszek gapiów. Patrzyli na nas w milczeniu, z ogromnym skupieniem na twarzach. Po tej krótkiej przerwie rozpętało się obłędne zamieszanie. Z pół tuzina samochodów zjechało z piskiem opon do krawężnika pasa zieleni i wspięło się nań. Na Western Avenue utworzył się ogromny korek. Wyły syreny wozów policyjnych, a błyski ich kogutów odbijały się w tylnych zderzakach pojazdów, które usiłowały wycofywać się z zakorkowanego wiaduktu. Starszy mężczyzna w przezroczystym plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym ciągnął drzwiczki od strony pasażera za moją głową z takim niezdecydowaniem, jakby paraliżowała go obawa, że samochód może porazić jego chudą rękę potężnym wyładowaniem elektrycznym. Młoda kobieta z kocem w kratę w rękę nachyliła się do okna. Przypatrywała się mi zaciskając wargi jak żalobnik spoglądający z góry na trupa leżącego w otwartej trumnie.

Nie odczuwałem jeszcze wtedy żadnego bólu i siedziałem sztywno, obejmując prawą dłońią szprychę kierownicy. Żona martwego mężczyzny, dociskana nadal do oparcia fotela pasem bezpieczeństwa, dochodziła do siebie. Kilka osób - kierowca ciężarówki, umundurowany żołnierz na przepustce i sprzedawczyni lodów - wyciągało do niej ręce przez otwarte okna, obmacując ją bezceremonialnie. Odgoniła ich niecierpliwym gestem i pogmrawszy zdrową ręką przy chromowanym zatrasku, wyswobodziła się z krepującej uprzęży. Przez chwilę wydawało mi się, że jesteśmy oboje głównymi aktorami w kulminacyjnej scenie jakiegoś ponurego dramatu wystawianego w amatorskim teatrze techniki, a statystują nam te rozbite maszyny, martwy mężczyzna, który przypłacił życiem ich kolizję, oraz setki kierowców oświetlających scenę swoimi reflektorami.

Młoda kobieta z pomocą ludzi wysiadła z samochodu. Niezdarnym stawianiem nóg i szarpanymi ruchami głowy zdawała się naśladować odkształcone linie karoserii obu samochodów. Prostopadła maska mojego wozu została wyrwana z zamocowań pod przednią szybą, a ostry kąt, jaki tworzyła teraz z błotnikami, mój udreńczony umysł dostrzegał we wszystkim dookoła - w minach i pozach gapiów, w pochyłości ślimaka wjazdowego na wiadukt, w torach

wznoszenia samolotów podrywających się w niebo z odległych pasów startowych lotniska. Oliwkowoskóry mężczyzna w granatowym uniformie pilota jakichś arabskich linii lotniczych odciągnął delikatnie młodą kobietę od samochodu. Spomiędzy jej nóg ściekał na jezdnię cienki strumyczek bezwiednie popuszczanego moczu. Pilot położył kobiecie dłonie na ramionach w uspokajającym geście. Gapie stojący przy swoich samochodach patrzyli na kałużę tworzącą się na przesiąkniętym olejem asfalcie. W gasnącym świetle wieczoru rozdygotane kostki nóg kobiety zaczynały otaczać tęcze. Odwróciła się i spojrzała na mnie ze szczególnym grymasem na posiniaczonej twarzy, wyrażającym pomieszanie zaciekawienia i wrogości. Ja jednak widziałem tylko nietypowe ułożenie jej ud, które kojarzyło mi się z deformacją. W pamięci pozostała mi nie seksualna atrakcyjność tej pozy, lecz stylizacja strasznych wydarzeń, w których oboje braliśmy udział, tych ekstremów bólu i dramatu zawartych w rytuale ruchów jej nóg, przypominających mi niezgrabny w swej zamaszystości piruet wykonywany przez upośledzoną umysłowo dziewczynę występującą w przedstawieniu, które swego czasu oglądałem w instytucie.

Kurczowo trzymałem oburącz kierownicę, starając się opanować. Moją klatką piersiową wstrząsał nieprzerwany dygot, który uniemożliwiał mi niemal oddychanie. Na moim ramieniu zacisnęły się silne dłonie policjanta. Drugi policjant położył swoją czapkę na masce samochodu obok zabitego i przystąpił do wyważania drzwiczek. Uderzenie od przodu wgniotło przednią część kabiny i drzwiczki się zakleszczyły.

Sanitariusz z ambulansu rozciął mi prawy rękaw. Młody mężczyzna w ciemnym garniturze wyciągnął mi rękę przez okno. Igła strzykawki zagłębiła się w mojej żyle, a ja zastanawiałem się, czy ten wyglądający na przerośniętego chłopaczka lekarz nie jest aby za młody na prawo do praktykowania.

Ogarnięty niezdrową euforią ujrzałem się już w szpitalu. Półprzytomny od serii nieprzyjemnych wizji zwymiotowałem na kierownicę. Dwaj strażacy odcięli drzwiczki od zawiasów. Odrzucili je na jezdnię i pochyliwszy się spojrzeli na mnie jak pikadorzy na przebitego rogami byka torreadora. Każdy, nawet najmniejszy ruch tych ludzi wydawał się obliczony, ich ręce wyciągały się ku mnie serią stylizowa-

nych gestów. Gdyby nawet któryś z nich rozpiął swoje spodnie ze zgrzebnej serży, obnażył genitalia i wcisnął penisa w krwawe krocze mojej pachy, zaakceptowałbym takie dziwaczne zachowanie, składając je na karb stylizacji tragedii i akcji ratunkowej. Siedząc tak ubabrany w nie swojej krwi i patrząc, jak uryna młodej kobiety tworzy tęcze wokół stóp moich ratowników, czekałem, kiedy wreszcie ktoś powie mi coś pokrzepiającego. Przyjmując tę samą koszmarną logikę, strażacy pędzący do płonących wraków rozbitych samolotów pasażerskich powinni wypisywać na złuszczonej betonie obsceniczne bądź humorystyczne slogany swoimi pianowymi gaśnicami, kaci odziewać swe ofiary w groteskowe kostiumy. W rewanżu ofiary ubarwiałyby swą drogę na miejsce kaźni ironicznymi gestami, na przykład całując uroczyście kolby karabinów plutonu egzekucyjnego, powiewając wymaginowanymi flagami. Lekarze, przed wykonaniem pierwszego nacięcia, kaleczyliby się nieostrożnie, żony, w chwili orgazmu mężów, wymrukiwały od niechcenia imiona swoich kochanków, dziwka obrabiająca ustami penis klientowi mogłaby mu dla zabawy odgryźć mały krążek naskórka z górnej krzywizny żołądki. Z takim właśnie bolesnym ugryzieniem, a uraczyła mnie raz nim pewna wyeksploatowana prostytutka zniecierpliwiona moją opóźniającą się erekcją, kojarzą mi się stylizowane gesty sanitariuszy z ambulansów i personelu stacji benzynowych, przy czym każdy z nich ma jeszcze własny repertuar prywatnych ruchów.

Później dowiedziałem się, że Vaughan kolekcjonował w swoich albumach fotograficznych grymasy pielęgniarek z ostrych dyżurów w szpitalach przyjmujących ofiary nieszczęśliwych wypadków. Ich ciemne skóry były przekaźnikiem całej skrytej seksualności, jaką wzniecał w nich Vaughan. Pacjenci umierali dookoła za każdym ich krokiem na gumowej podszwie, między jednym a drugim otarciem się o siebie ich ruchliwych ud w drzwiach izb przyjęć.

Barczyści policjanci wydobyli mnie z samochodu i bez wysiłku przenieśli na nosze. Czuję się już odizolowany od rzeczywistości tego wypadku. Chciałem usiąść, wysunąłem więc nogi spod koca. Młody doktor pchnął mnie z powrotem na nosze, uderzając silnie w pierś otwartą dłonią. Zaskoczony błyskiem irytacji w jego oczach, położyłem się pokornie.



Z maski mojego samochodu zdjęto przykryte ciało zabitego. Jego żona, siedząca niczym obłąkana Madonna w drzwiach drugiego ambulansu, patrzyła nieobecny wzrokiem na wieczorny ruch. Rana na prawym policzku powoli, w miarę jak stłuczona tkanka opijała się coraz bardziej własną krwią, deformowała jej twarz. Docierało już do mnie, że szczepione kratki wlotów chłodnic naszych samochodów stanowią model nieuniknionego i perwersyjnego związku między nami. Gapilem się na zarysy jej ud. Przerzucony przez nie koc tworzył wdzięczny kopczyk. Gdzieś pod tym wzdórkiem leżał skarb jej łona. Jego doskonała wypukłość i rozwiązłość, nienaruszona seksualność tej inteligentnej kobiety, przewodziły tragicznym wypadkom tego wieczoru.

Rażące niebieskie rozbłyski obracających się kogutów policyjnych miałem przed oczyma jeszcze przez następne trzy tygodnie leżenia na pustej sali szpitala dla ofiar nieszczęśliwych wypadków w pobliżu londyńskiego portu lotniczego. W tej ustronnej okolicy targowisk używanych samochodów, zbiorników wodnych i zakładów penitencjarnych, oplecionej systemem dróg szybkiego ruchu, który obsługuje londyński port lotniczy, zacząłem dochodzić do siebie po wypadku. Dwie sale, w sumie dwadzieścia cztery łóżka - tytułu maksymalnie przewidywano szczęśliwców, którzy ujdą z życiem - były na stałe zarezerwowane dla ofiar katastrof lotniczych. Jedną z nich przydzielono tymczasowo rannym w kraksach samochodowych.

Nie wszystka krew, jaką byłem zboczony, należała do mężczyzny, którego zabiłem. Lekarze Azjaci z ostrego dyżuru stwierdzili, że w zderzeniu z deską rozdzielczą potrzaskaniu uległy obie moje rzepki kolanowe. Wzdłuż wewnętrznej powierzchni mych ud strzelały wrażliwe się w lędźwie race bólu, zupełnie jakby ktoś przez żyły nóg przeciągał cienkie stalowe cewniki.

Trzy dni po pierwszej operacji złapałem jakąś niegroźną szpitalną infekcję. Leżałem sobie na pustej sali, zajmując łóżko przysługujące prawnie hipotetycznej ofierze katastrofy lotniczej, i z nudów zastanawiałem się, z jakimi ranami by ją tu przywieziono i jakie bóle by cierpiała. Puste łóżka wokół mnie pamiętały setki historii kolizji i osieroceń, stanowiły translację dramatu lotniczych i samochodowych kraks na rany. Po sali krzątały się dwie pielęgniarki, po-

prawiając pościel na łóżkach i słuchawki radiowe. Te miłe młode kobiety służyły do mszy w katedrze niewidzialnych ran, ich pączkujące seksualności potrafiły przysłonić najstraszniejsze rany twarzy i genitaliów.

W końcu zabrały się do regulowania uprząży podtrzymującej moje nogi, a ja skupiłem się na nasłuchiwaniu ryku samolotów podrywających się z londyńskiego portu lotniczego. Geometria tego skomplikowanego narzędzia tortur zdawała się mieć jakiś związek z obłóściami i konturami ciał obu młodych kobiet. Kto będzie następnym lokatorem tego łóżka - jakaś kasjerka bankowa w średnim wieku w drodze na Baleary, otumaniona dżinem, z łonem wilgotniejącym pod wpływem bliskości siedzącego przy niej, znudzonego wdowca? Po wypadku na pasie startowym londyńskiego portu lotniczego jej ciało pozostanie na wiele lat naznaczone piętnem, jakie odcisnęła na brzuchu klamra pasa bezpieczeństwa. Już zawsze, wyślizgując się do toalety jakiejś prowincjonalnej restauracyjki, by ulżyć osłabionemu pęcherzowi napierającemu na cewkę moczową, podczas każdego aktu seksualnego z cierpiącym na prostatę mężem, będzie wracała myślami do tamtych kilku sekund poprzedzających kraksę. Obrażenia, jakie odniosła, utrwaliły na zawsze skłonność do tej formy niewierności.

Czy mojej żonie, która odwiedzała mnie każdego wieczora w szpitalu, przyszło kiedykolwiek do głowy, jakie seksualne odchylenie zawiodło jej męża na wiadukt Western Avenue? Kiedy przy mnie siedziała i swoimi bystrymi oczami odfajkowywała wszystkie żywotne pozycje anatomii męża, jakie jej jeszcze zostały, pewien byłem, że odpowiedź na pytania, których głośno nie zadawała, odczytuje w bliznach pokrywających moje nogi i klatkę piersiową.

Pielęgniarki krzątały się przy mnie, odprawiając w skupieniu swoje bolesne rytuały. Kiedy wymieniały rurki drenowe podłączone do moich kolan, starałem się nie zwymiotować środka przeciwbólowego wystarczająco silnego, by mnie otumanić, ale za słabego, by uśmierzyć ból. Kojąco działał na mnie tylko profesjonalny spokój pielęgniarek.

Młody blondwłosy lekarz o nieczulej twarzy obejrzał moją pokiereszowaną klatkę piersiową. Skórę wzdłuż dolnej krawędzi mostka, tam gdzie oberwałem kolumną kierownicy wypchniętą w górę w trakcie prasowania przedziału silnikowego, miałem rozciętą. Przez pierś ciągnął się również

półkoliście, od sutka do sutka, siniec przypominający marmurkową tęczę. W ciągu następnego tygodnia tęczą ta przeszła sekwencję zmian odcieni godną palety kolorów lakierów samochodowych. Spojrzałem na siebie i pomyślałem, że na podstawie układu i rodzaju moich obrażeń inżynier samochodowy byłby w stanie odtworzyć precyzyjnie markę, rocznik i model wozu, w którym się rozbiłem. Na moich kolanach i goleniach odcisnęło się rozmieszczenie przyrządów z deski rozdzielczej, a na klatce piersiowej profil kierownicy. Rany te, podobnie jak wspomnienie konturów kobiecego ciała utrzymujące się na odreagowującej skórze jeszcze przez parę godzin po akcie seksualnym, dokumentowały przebieg wtórnej kolizji mojego ciała z wnętrzem kabiny samochodu.

Czwartego dnia, bez żadnego wyraźnego powodu, odstawiono mi środki znieczulające. Przez cały ranek wymiotowałem do emaliowanego basenu podstawianego mi cierpliwie przez pielęgniarkę. Patrzyła na mnie życzliwym, lecz niewzruszonym wzrokiem. Zimny brzeg mającego kształt nerki basenu uciskał mi policzek. Na porcelanowym dnie naczynia pozostała po jakimś anonimowym poprzednim użytkowniku cienka strużka zakrzepłej krwi.

Wymiotując, opierałem czoło o jędrne udo pielęgniarki. Jej zniszczone palce przy moich pokiereszowanych ustach kontrastowały silnie z gładką, młodą skórą. Przyłapałem się na tym, że myślę o jej szparze sromowej. Kiedy ostatnio myła swój wilgotny wawóz? Podobne pytania nachodziły mnie obsesyjnie podczas rekonwalescencji, ilekroć rozmawiałem z lekarkami i pielęgniarkami. Kiedy ostatnio myły swoje genitalia, czy kiedy przepisują jakiś antybiotyk na zainfekowane gardło, drobne ziarenka substancji fekalnej wciąż tkwią w ich odbytach, czy zapach zakazanych aktów seksualnych przesiąka ich bieliznę, kiedy wracają ze szpitala do domów, czy ślady spermy i śluzu pochwowego na ich dłoniach mieszają się z płynem chłodzącym rozchłapanym podczas niespodziewanych kraks samochodowych? Świadomy przez cały czas rozkosznych konturów ud tej młodej kobiety, zwymiotowałem do basenu paroma strumyczkami zielonkawej żółci. Rozpruty szew spódniczki miała zaszyty kilkoma pętłami czarnej bawełnianej nici. Chłonałem wzrokiem ten rozchodzący się na wypukłości jej lewego pośladka ścieg. Jego krzywizna wydawała się tak arbitralna i tak

pozbawiona znaczenia jak kształt ran na mojej klatce piersiowej i nogach.

Tę obsesję dostrzegania seksualnych możliwości we wszystkim dookoła wyzwoliła we mnie kraksa samochodowa. Wyobraziłem sobie salę pełną ofiar katastrofy lotniczej, każda z burdelem fantazji w głowie. Zderzenie naszych dwóch samochodów stanowiło model jakiegoś ostatecznego, a tym samym niewyobrażalnego seksualnego zespolenia. Obrażenia nie przyjętych jeszcze do szpitala pacjentów pobudzały moją wyobraźnię niczym ogromna encyklopedia dostępnych snów.

Catherine zdawała się w pełni świadoma moich fantazji. Kiedy odwiedziła mnie po raz pierwszy, znajdowałem się w szoku, zapoznała się więc tylko z rozkładem i atmosferą szpitala, gawędząc wesoło z lekarzami. Pielęgniarka wyniosła moje wymiociny, a Catherine przyciągnęła fachowo stojący w nogach łóżka metalowy stoliczek i wyładowała nań plik czasopism. Usiadłszy obok mnie, obrzuciła bystrym spojrzeniem moją nie ogoloną twarz i rozdygotane ręce.

Spróbowałem się do niej uśmiechnąć. Szwy założone na rozcięcie biegnące przez wierzch głowy, tę drugą linię włosów dwa centymetry w lewo od oryginalnej, utrudniały mi zmianę wyrazu twarzy. W małym lusterku, które podstawiła mi przed nos pielęgniarki, przypominałem zafrasowanego cyrkowego człowieka gumę przestraszonego swoją odbiegającą od normy anatomią.

- Przepraszam. - Wziąłem ją za rękę. - Chyba nienaj lepiej wyglądam.

- Wyglądasz świetnie - zapewniła mnie. - Absolutnie. Przypominasz czyjąś ofiarę z gabinetu figur woskowych madame Tussaud.

- Postaraj się wpaść jutro.

- Postaram się. - Dotknęła mojego czoła, zerkając z troską na ranę na głowie. - Przyniosę ci trochę kosmetyków. Tutejszym pacjentom urodę poprawia się chyba tylko w do mu pogrzebowym w Ashford.

Spojrzałem na nią trochę przytomniej. Ciepło i żonina troska, jakie mi okazywała, przyjemnie zaskakiwały. Przez ostatnie lata psychologiczny rozziw pomiędzy moją pracą w komercyjnych studiach telewizyjnych w Shepperton a jej pączkującą karierą w dziale turystyki zagranicznej Pan American coraz bardziej nas od siebie oddalał. Catherine

brała teraz lekcje latania i z jednym ze swoich przyjaciół założyła małą firmę czarterową turystyki lotniczej. Podejmując wszystkie te przedsięwzięcia, szczerze i wyraźnie podkreślała swoją niezależność i samowystarczalność, grodziła jak gdyby teren, który z czasem zyska na wartości. Reagowałem na to jak większość mężów, rozwijając szybko obszerny repertuar zrezygnowanych postaw. Cichy, lecz zdecydowany pomruk jej lekkiego samolociku, w każdym weekend przecinającego niebo nad naszą kamienicą, był sygnałem alarmowym wygrywającym nutę naszego związku. Blondwłosey lekarz przechodzący przez salę pozdrowił Catherine skinieniem głowy. Kiedy odwróciła się plecami do mnie, by wprawnie oszacować seksualny potencjał tego młodego człowieka, podsuwająca się w górę spódniczka odsłoniła jej uda aż po pulchne łono. Zauważyłem, że ubrana jest bardziej na wytworny lunch z jakąś szyszką z linii lotniczych niż na wizytę u leżącego w szpitalu męża. Dowiedziałem się później, że na lotnisku maglowali ją oficerowie policji prowadzący dochodzenie w sprawie mężczyzny, który zginął w kraksie. Najwyraźniej w ten świąteczny nastrój wprawiły ją wypadek oraz wisząca nade mną groźba oskarżenia o nieumyślne spowodowanie czyjejś śmierci.

- Ta sala jest zarezerwowana dla ofiar katastrof lotniczych - poinformowałem Catherine. - Te łóżka zawsze tu czekają w pogotowiu.

- Jeśli w sobotę nie wyjdzie mi lądowanie, to może obudziwszy się zastaniesz mnie na sąsiednim łóżku. - Catherine rozejrzała się po pustych łóżkach wyobrażając sobie chyba wszelkie możliwe obrażenia. - Jutro wstajesz. Chcą, żebyś zaczął chodzić. - Spojrzała na mnie z troską. - Bieda czek. Podpadłeś im czymś?

Puściłem to pytanie mimo uszu, ale Catherine dodała:

- Żona tamtego mężczyzny jest lekarką - doktor Helen Remington.

Założyła nogę na nogę i podjęła próbę przypalenia papierosa, wojując z nie znaną sobie zapalniczką. Od którego z nowych kochanków pożyczyla to paskudztwo, bo nie ulegało wątpliwości, że stanowi toto własność mężczyzny? Zmajstrowane zostało z łuski pocisku do działka lotniczego i bardziej przypominało jakąś broń niż zapalniczkę. Od lat, tylko na podstawie obserwacji zmian nawyków Catherine -

nagle zainteresowanie jakimś trzeciorzędnym gatunkiem wina albo filmowcem, inna taktyka żeglowania po wodach polityki awiacyjnej - potrafiłem wyczuć bezbłędnie każdy jej kolejny romans już w parę godzin po pierwszym akcie seksualnym. Częstość udawało mi się nawet odgadnąć imię jej ostatniego kochanka na długo przed tym, jak wymknęło się jej ono w kulminacyjnych momentach naszych aktów seksualnych. Ta przewrotna gra była potrzebna nam obojgu. Leżąc ramię w ramię na łóżku opisywaliśmy sobie ze szczegółami nasze miłosne przygody, od pierwszego zagadnięcia na jakimś przyjęciu wydawanym przez linie lotnicze poczynając, a na samym akcie seksualnym kończąc. Kulminacją gry było imię partnera w cudzołóstwie. Wyjawiane dopiero w ostatniej chwili zawsze doprowadzało nas oboje do niepowtarzalnych orgazmów. Czasami odnosiłem wrażenie, że romanse te nawiązywane były tylko po to, by dostarczyć nam surowego materiału dla naszych seksualnych gier.

Obserwując dym z jej papierosa rozplywający się po pustej sali zastanawiałem się, z kim spędziła Catherine tych kilka ostatnich dni. Świadomość, że jej mąż zabił człowieka, bez wątpienia użyczała nowego wymiaru ich aktom seksualnym, odbywającym się przypuszczalnie na naszym łóżku, z chromowanym telefonem, który pierwszy przyniósł Catherine wiadomość o moim wypadku, w zasięgu wzroku. Elementy nowoczesnej techniki podsycaly nasze namiętności.

Zirytowany grzmotem samolotowych silników, uniosłem się na łokciu. Potłuczona klatka piersiowa bolała przy każdym oddechu. Catherine przyglądała mi się z z troskaniem, wyraźnie poruszona świadomością, że mogłem przecież zginąć na miejscu. Włożyła mi papierosa w usta. Zaciągnąłem się niepewnie dymem o zapachu geranium. Ciepły koniec papierosa poplamiony różową szminką krył w sobie niepowtarzalny posmak ciała Catherine, woń, która w przesyconych fenolem odorach szpitala zdążyła już wylecieć mi z pamięci. Catherine sięgnęła po swojego papierosa, ale przyssałem się do niego jak dziecko. Jego usmarowany koniec przypominał mi jej sutki chojnie powleczone szminką, które przyciskam do twarzy, do ramion i piersi, wyobrażając sobie w duchu, że ślady, jakie pozostawiają, to rany. Pewnego razu miałem koszmarny sen, w którym Catherine

rodziła diabelskie dziecko, a jej nabrzmiąle piersi tryskały rzadkim kałem.

Do sali weszła ciemnowłosa uczennica szkoły pielęgniarzkiej. Uśmiechnęła się do mojej żony, odrzuciła koc i wyłuskała kaczkę spomiędzy moich nóg. Sprawdzając poziom moczu w naczyniu przykryła mnie z powrotem. Z penisa natychmiast zaczęło mi kapać; otumaniony długą serią środków znieczulających z trudem panowałem nad zwieraczem. Leżąc tak z osłabionym pęcherzem, zachodziłem w głowę, dlaczego po tym tragicznym wypadku, w którym śmierć poniósł młody mężczyzna - jego tożsamość, pomimo pytań, jakimi zasypywałem Catherine, nadal pozostawała dla mnie niewiadomą, zupełnie jakbym zabił w bezsensownym pojedynku anonimowego przeciwnika - wszystkie te kobiety wokół mnie zdają się dbać tylko o moje najintymniejsze strefy. Pielęgniarki, które podstawiały mi baseny i pobudzały do wypróżnień gruszkami do lewatywy, które wyjmowały mi penisa przez rozprek szortów od piżamy i poprawiały rurki drenów w kolanach, które zmywały ropę z opatrunków na mojej głowie i twardymi rękami ocierały mi usta - te wykrochmalone kobiety we wszystkich swoich rolach przypominały mi niańki z dzieciństwa, komisarzy na straży wszystkich moich otworów.

Uczennica szkoły pielęgniarzkiej obeszała moje łóżko. Pod spódnicą rysowały się jej smukłe uda. Nie odrywała zawistnego wzroku od wspaniałej figury Catherine. Czyżby, zainspirowana dziwną pozycją jej męża na łóżku albo - banalniej - wartością jej kosztownego stroju i biżuterii, szacowała, ilu kochanków wzięła już sobie Catherine od dnia wypadku? Z kolei Catherine bez żenady wodziła spojrzeniem po ciele tej młodej dziewczyny. Otwarcie i z zainteresowaniem taksowała zarysy jej ud i pośladków, piersi i pach oraz ich związek z chromowanymi prętami wyciągu podtrzymującego moją nogę, tej abstrakcyjnej rzeźby zaprojektowanej po to, by poprzez kontrast podkreślić smukłość figury dziewczyny. Skłonności Catherine ubarwiała interesujące lesbijskie odchylenie. Często, kiedy się kochaliśmy, prosiła mnie, żebym wyobrażał ją sobie w objęciach innej kobiety - zazwyczaj jej sekretarki Karen, wiecznie poważnej dziewczyny o ustach pociągniętych srebrną szminką, która całe biurowe przyjęcie przed Bożym Narodzeniem spędziła pozerając Catherine wzrokiem niczym pointer w okresie rui.



Catherine pytała mnie często, jak mogłaby się dać uwieść Karen. Szybko podchwyciła propozycję, żeby zabrała Karen na zakupy do domu towarowego i tam poprosiła ją o pomoc w wyborze rozmaitych części bielizny. Czekałem na nie pod przymierzalnią, przy wieszakach z nocnymi koszulami. Od czasu do czasu zapuszczałem żurawia przez szparę w kotarze i przyglądałem się im. Ciała i palce obu kobiet zaabsorbowane były kontemplacją anatomii piersi Catherine i kroju biustonoszy mających uwypuklić ten czy inny ich walor. Karen dotykała mej żony z osobliwą pieszczotliwością, gładząc ją lekko koniuszkami palców najpierw po ramionach wzdłuż różowych wgłębień pozostawionych przez ramiączka bielizny, potem po plecach, gdzie odcisnęły się na skórze metalowe sprzączki biustonosza, a w końcu po wgłębieniach od elastycznego ściągacza biustonosza pod samymi piersiami Catherine. Moja żona stała w trakcie tego jak w transie, pomrukując cicho pod nosem, ilekroć prawy palec wskazujący Karen musnął jej sutek.

Pamiętam znudzone spojrzenie, jakim obrzuciła mnie ekspedientka, niewiasta w średnim wieku o zblazowanej twarzy zepsutej lalki, kiedy obie młode kobiety odsunęły kotarę i opuściły przymierzalnię z minami od razu zdradzającymi, że zakończyły przed chwilą jakąś małą seksualną zabawę. Z jej grymasu wynikało, że orientuje się bardzo dobrze, że kabiny te często są do tych celów wykorzystywane, i zdaje sobie sprawę, że ja nie tylko wiem, co tam się wyprawiało, ale że te doświadczenie będzie potem dla mnie i dla Catherine inspiracją w naszych wyrafinowanych igraszkach. Siedząc obok żony w samochodzie, przesunąłem palcami po desce rozdzielczej, przekręciłem kluczyk w stacyjce, włączyłem kierunkowskaz, wrzuciłem bieg. I czyniąc to uświadomiłem sobie naraz, że z wielką precyzją odtwarzam wobec samochodu to, co zaobserwowałem u Karen dotykającej ciała Catherine. W płynnych ruchach, jakimi uruchamiałem wóz, zawierał się jej skupiony erotyzm, elegancki dystans, jaki zachowywała pomiędzy koniuszkami swoich palców a sutkami mojej żony.

Trwające nadal erotyczne zainteresowanie Catherine swoją sekretarką łączyło chyba w sobie zarówno pragnienie uprawiania z nią miłości, jak również czerpania fizycznych Przyjemności z aktu seksualnego jako takiego. Niemniej jednak eksperymenty owe zaczęły przesuwac nasze związki,

te wzajemne i te z innymi osobami, w sferę coraz większej abstrakcji. Wkrótce Catherine nie była już w stanie osiągnąć orgazmu bez snucia wyrafinowanych fantazji o lesbijskich aktach seksualnych z Karen, o pobudzaniu językiem łechtaczki, o weszbranych sutkach, o drażnieniu odbytu. Treść tych fantazji zdawała się językiem poszukiwania odmiany, a być może nawet zaczątkami nowej, nie dającej się w żaden sposób wyrazić seksualności.

Podjejrzałem, że Catherine przynajmniej raz kochała się z Karen, ale znajdowaliśmy się teraz na etapie, na którym nie miało to już większego znaczenia ani żadnych konsekwencji, jeśli nie liczyć paru centymetrów kwadratowych śluzu pochwowego, paru połamanych paznokci oraz posiniaczonych warg i sutków. Ze swojej horyzontalnej pozycji na szpitalnym łóżku obserwowałem Catherine taksującą smukłe nogi i jędrne pośladki uczennicy szkoły pielęgniarstwa oraz wąską talię i szerokie biodra dziewczyny podkreślone przez granatowy pasek. Czekałem tylko, kiedy sięgnie do piersi dziewczyny albo wsunie jej rękę pod spódniczkę i pocierając kantem dłoni szparę sromową rozprowadzi po kroczu lepki wydzielany przez pochwę śluz. Pielęgniarka prawdopodobnie robiłaby dalej swoje, daleka od wydania pisku wściekłości czy chociażby rozkoszy, nie poruszona tym seksualnym gestem znaczącym dla niej co najwyżej tyle, co najzwyczajniejsze pod słońcem zagadnięcie.

Catherine wyjęła z torebki szarą kopertę. Rozpoznałem redakcję scenariusza reklamy telewizyjnej mojego autorstwa. Mieliliśmy nadzieję, że do tego wysokobudżetowego filmiku, trzydziestosekundowego klipa reklamującego całą nową gamę sportowych wozów Forda, uda nam się zaangażować którąś z dobrze znanych aktorek. W dniu wypadku miałem po południu naradę z Aidą Jones, nie zrzeczoną reżyserką, z którą podpisaliśmy ostatnio kontrakt. Tak się szczęśliwie składało, że jedna z wytypowanych przez nas aktorek - Elizabeth Taylor - miała wkrótce rozpocząć zdjęcia do nowego filmu fabularnego w Shepperton.

- Telefonowała Aida. Przekazuje ci wyrazy współczucia i prosi, żebyś przejrzał jeszcze raz tę redakcję. Wprowadziła sporo poprawek.

Machnąłem niecierpliwie ręką. Przyglądałem się swemu odbiciu w lusterku Catherine. Na skutek zerwania nerwu na wierzchu głowy opadła mi nieco prawa brew. Miałem wra-

żenie, że ta naturalna klapka na oko ukrywa przede mną mój nowo nabyty charakter. Ta silna deformacja widoczna była we wszystkim, co mnie otaczało. Wpatrywałem się w swoją bladą twarz manekina i usiłowałem odcyfrować jej rysy. Gładka skóra wydawała się należeć do kogoś z filmu fantastycznonaukowego, kto po odbyciu wielkiej podróży w głąb siebie wysiada z kapsuły na powierzchni nieznannej planety. Niebiosa w każdej chwili mogą się rozstać...

- Gdzie samochód? - spytałem pod wpływem impulsu. - Pod budynkiem... na parkingu dla konsultantów.

- Co? - podparłem się na łokciu, żeby wyjrzeć przez okno przy moim łóżku. - Nie pytam o twój samochód, tylko o mój. - Widziałem go już oczyma wyobraźni, jak stoi na postumencie przed blokiem operacyjnym ku przestrodze dla innych.

- To kompletny wrak. Policja odholowała go na swój parking za posterunkiem.

- Widziałas go?

- Sierżant kazał mi go zidentyfikować. Nie wierzył, że wyszedłem z tego z życiem. - Zdusiła w popielniczce niedo pałek papierosa. - Tak mi żal tego drugiego mężczyzny - męża doktor Remington.

Zerknąłem znacząco na zegar nad drzwiami, dając jej do zrozumienia, że mogłaby już sobie pójść. To nieszczerze współczucie okazywane zabitemu zirytowało mnie, było jedynie pretekstem do gimnastykowania morale. Obcesowość młodych pielęgniarek stanowiła fragment tej samej pantonimy ubolewania. Poświęciłem już zabitemu wiele godzin rozmyślań, wyobrażając sobie, jaki wpływ mogła wywrzeć jego śmierć na żonę i rodzinę. Myślałem o ostatnich chwilach jego życia, o tych szalonych milisekundach bólu i paniki, w których katapultowany z miłego domowego interludium leciał na spotkanie metalizowanej śmierci. Odczucia te egzystowały w moim związku z zabitym, w rzeczywistości ran na mej klatce piersiowej i nogach oraz w niezapomnianej wtórnej kolizji mojego ciała z wnętrzem samochodu. W porównaniu z tym udawany żal Catherine był zaledwie stylizacją gestu -czekałem tylko, kiedy zaintonuje pieśń, uderzy się dłonią w czoło, dotknie co drugiej tabliczki z wykresem temperatury na sali, włączy co czwarty zestaw słuchawek radiowych.

Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że moje uczucia wobec zabitego i jego żony lekarki są już zdominowane

przez jakąś nie zdefiniowaną wrogość, wykluwające się marzenie o zemście.

Catherine przyglądała się, jak próbuję zaczerpnąć tchu. Wziąłem jej lewą rękę i przyłożyłem sobie do mostka. W jej inteligentnych oczach stawałem się już rodzajem emocjonalnej kasety, zastępującej mnie wszystkimi tymi scenami bólu i gwałtu, które ozdabiają marginesy naszych egzystencji -telewizyjnymi migawkami z wojen i zamieszek studenckich, relacjami z miejsc dotkniętych klęskami naturalnymi, świadectwami brutalności policji, które oglądaliśmy jednym okiem na ekranie naszego kolorowego telewizora w sypialni, masturbując się nawzajem. Gwałt doświadczany w tyłu odsłonach zaczął się nam kojarzyć intymnie z naszymi aktami seksualnymi. Pobicia i podpalenia utożsamialiśmy podświadomie z rozkosznym drzeniem naszych tkanek wzwodnych, rozlew studenckiej krwi z wydzielinami genitaliów zwilżającymi nasze palce i wargi. Nawet mój własny ból, jakiego doznałem na szpitalnym łóżku, kiedy Catherine, wsuwając mi szklany basen między nogi, uszczypnęła mnie lakierowanymi paznokciami w penisa, nawet to tępe pulsowanie w piersiach zdawały się przedłużeniami realnego świata gwałtu wyciskanego i poskramianego w naszych programach telewizyjnych i na stronicach gazet.

Catherine wreszcie sobie poszła, zabierając połowę kwiatów, jakie mi przyniosła. Na widok starszego z dwóch lekarzy Azjatów przyglądającego się jej od progu, zatrzymała się jeszcze w nogach mego łóżka i uśmiechnęła do mnie z nagłym ciepłem, jakby nie miała pewności, czy jeszcze kiedyś mnie zobaczy.

Na salę weszła pielęgniarka z miską w ręku. Była to dystyngowana kobieta pod czterdziestkę, nowa na oddziale urazowym. Przywitała się uprzejmie, a potem ściągnęła ze mnie koc i przystąpiła do skrupulatnych oględzin moich opatrunków, wodząc pełnym powagi wzrokiem po konturach sińców. Udało mi się raz przyciągnąć jej uwagę, ale spojrzała tylko na mnie obojętnie i powróciła do swej pracy, wodząc gąbką wokół centralnego bandaża, który biegł od talii i znikał między moimi nogami. O czym myślała -o kolacji dla męża, o niegroźnej infekcji, jaką złapało ostatnio jej dziecko? Czy zdawała sobie sprawę, że cienie majaczące na mojej skórze i muskulaturze to jakby odbitki stykowe części samochodowych? Może zastanawiała się, jaki

model samochodu prowadziłem, odgadywała masę limuzyny, szacowała kąt pochylania kolumny kierownicy.

- Po której stronie pan woli?

Spojrzałem w dół. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymała mego zwiotczałego penisa, czekając aż zadecyduję, czy ma go ułożyć po prawej, czy po lewej stronie biegnącego środkiem bandaża.

Ten ożywczy impuls zaraz potem pobudził me lędźwie do pełnego wzwodu i dosłownie podniósł z łoża boleści. Na trzeci dzień kuśtykałem już o własnych siłach na oddział fizykoterapii, wysługiwałem się pielęgniarkom w charakterze chłopca na posyłki i przesiadywałem w pokoju służbowym, próbując wciągać w pogawędki znudzonych lekarzy. Świadomość powracającej potencji seksualnej rozpędziła na cztery wiatry niezdrową euforię rozpamiętywań, prześladowujące mnie nieokreślone poczucie winy wobec mężczyzny, którego zabiłem. Po wypadku przez tydzień błąkałem się po labiryncie bólów i szalonych fantazji. Szara codzienność z jej wydumanymi dramatami dawno już stępiła i wytarła z mej pamięci całe organiczne doświadczenie związane z radzeniem sobie w sytuacji fizycznego uszkodzenia ciała. Kraksa była moim pierwszym od lat przeżyciem z prawdziwego zdarzenia. Po raz pierwszy znalazłem się w fizycznej konfrontacji ze swym własnym ciałem, tą niewyczerpalną encyklopedią bólów i wydzielin, z wrogimi spojrzeniami innych ludzi, i z faktem pozbawienia kogoś życia. Po nie kończącym się bombardowaniu propagandą bezpieczeństwa na drogach, udział w prawdziwym wypadku drogowym przyniósł mi coś w rodzaju ulgi. Jak każdy straszony i pouczany na co dzień przez plakaty i telewizyjne filmiki o zainscenizowanych wypadkach, miałem jakieś niejasne, nieprzyjemne przeczucie, że kulminacja mego życia została wyreżyserowana na wiele lat naprzód, i że nastąpi w końcu na jakiejś autostradzie albo skrzyżowaniu znanym tylko producentom tych filmów. Czasami spekulowałem nawet, w jakiego rodzaju wypadku drogowym zginę.

Posłano mnie na rentgen. Miła młoda kobieta technik podyskutowała ze mną najpierw o stanie przemysłu filmowego, a potem przystąpiła do fotografowania moich kolan. przyjemnie mi się z nią rozmawiało. Zafascynował mnie kontrast między jej idealistycznym poglądem na komercyjny film fabularny a wprawą, z jaką obsługiwała swoją skomplikowaną aparaturę. Podobnie jak u wszystkich techników laboratoryjnych, tak i w jej pulchnym opakowanym w biały fartuch ciele było coś klinicznie seksualnego. Silnymi ramionami obracała mnie wte i wewte, i układała nogi niczym jakiejś ogromnej lalce, jednemu z tych skomplikowanych humanoidalnych manekinów posiadających wszystkie możliwe otwory i reagujących na ból.

Leżałem na wznak, a ona przystawiła oko do wziernika swojej maszyny. Lewa pierś wypychała jej od wewnątrz biały fartuch niczym fala wzbierająca pod obojczykiem. Gdzieś pod tym nylonem i krochmaloną bawełną krył się wielki, uśpiony sutek, a przesycony szpitalnymi woniami materiał napierał na jego różową powierzchnię. Kiedy układała mi ramiona w nowej pozycji, obserwowałem jej usta oddalone od moich o kilkanaście centymetrów. Nieświadoma mego zainteresowania jej ciałem, odeszła do wyłącznika zdalnego sterowania. Jak ją ożywić - pakując któryś z tych masywnych stalowych wtyków w gniazdko u nasady jej kręgosłupa? Może to by ją ocuciło, zaczęłaby mi opowiadać ożywionym tonem o najnowszej retrospektywie Hitchcocka, zagaiła agresywną dyskusję o prawach kobiet, nastawiła prowokacyjnie biodro, obnażyła sutek.

Zamiast tego patrzyliśmy jedno na drugie w tym labiryncie elektronicznej aparatury jak bezmózgowcy. Pośród skomplikowanego sprzętu, który nas otaczał, czekały w uśpieniu języki niewidzialnych erotyzmów, nie odkrytych aktów seksualnych. Ta sama niewidoczna seksualność unosiła się nad pełnymi pasażerów terminalami portów lotniczych, tymi skupiskami ledwie zakrytych genitaliów, gondoli silników olbrzymich samolotów, odętych ust stewardes. Dwa miesiące przed wypadkiem, kiedy leciałem do Paryża, zestawienie płowej gabardynowej spódnicy stewardesy jadącej przede mną schodami ruchomymi z widocznym w oddali kadłubem samolotu, który skojarzył mi się natychmiast ze srebrzystym penisem wycelowanym w jej szparę sromową, tak mnie podnieciło, że mimowolnie dotknąłem lewego

pośladka dziewczyny. Przykryłem dłonią małą fałdkę, jaka powstała na lekko znoszonym materiale spódnicy, kiedy ta młoda kobieta, której twarzy nie widziałem, przeniosła ciężar ciała z lewego na prawe udo. Zrazu nie zareagowała. Dopiero po dłuższej chwili obejrzała się i obrzuciła mnie wymownym spojrzeniem. Machnąłem neseserem i wymamrotałem coś łamaną francuszczyzną, odstawiając jednocześnie pantomimę przewracania się na sunących w górę schodach ruchomych tak przekonująco, że omal rzeczywiście nie straciłem równowagi. Krótki lot na Orly upłynął mi pod znakiem sceptycznych spojrzeń dwojga pasażerów - jakiegoś holenderskiego biznesmena i jego żony - którzy byli świadkami tego epizodu. Przez całą drogę, rozmyślając

o dziwnie wyrazistym i geometrycznym krajobrazie budynków portu lotniczego, o wstęgach zmatowiałego aluminium

i płytach imitującego drewno laminatu, znajdowałem się w stanie silnego podniecenia. Nawet mój związek z pewnym młodym barmanem zainspirowały konturowe oprawy oświetleniowe nad jego łysiejącą głową, wykładany kafelkami bar i stylizowany uniform mężczyzny. Wspominałem swoje ostatnie wymuszone orgazmy z Catherine, podczas których nasienie wyciskane niemrawo przez me znudzone lędźwie skapywało ospale do jej pochwy. Nad profilami ciała Catherine górę brały teraz metalizowane podniety z naszych wspólnych rojeń o technice. Eleganckie, powleczone aluminium kratki na wlotach kanałów wentylacyjnych pod sufitem pracowni rentgenowskiej wabiły mnie z siłą najcieplejszych organicznych otworów.

- W porządku, skończyłam z panem. - Wsunęła mi silne ramię pod plecy i pomogła usiąść. Jej ciało znalazło się tak blisko mojego, jakby to był akt seksualny. Trzymałem ją za rękę powyżej łokcia, przyciskając nadgarstek do jej piersi. Za nią stał aparat rentgenowski na wysokim wysięgniku, po podłodze pełzały grube kable. Oddalając się stamtąd noga za nogą korytarzem, czułem wciąż ucisk jej silnych dłoni na rozmaitych częściach swego ciała.

Zmęczony marszem o kulach zatrzymałem się przy wejściu na żeńską salę urazową i oparłem o ścianę działową korytarza. Siostra przełożona besztala właśnie młodą kolorową pielęgniarkę. Leżące w łózkach pacjentki przysłuchiwały się temu ze znudzeniem. Dwie z nich miały nogi zawieszane na wyciągach, których konstrukcja wylęła się



chyba w wyobraźni jakiegoś szalonego teoretyka gimnastyki. Jednym z pierwszych zadań, w jakich pozwoliły mi się wyręczać pielęgniarki, było pobieranie próbek moczu od leżącej na tej sali starszej kobiety, na którą najechało dziecko na rowerze. Amputowano jej prawą nogę i teraz całymi dniami owijała sobie krótki kikut jedwabną chustką, zawiązując i rozwiązując końce, jakby bez końca pakowała paczkę. Za dnia staruszka ta była oczkiem w głowie pielęgniarek, ale wieczorami, kiedy wyszedł już ostatni odwiedzający, cierpiała upokorzenia zmuszona samodzielnie korzystać z basenu i ostentacyjnie ignorowana przez dwie zakonnice szydełkujące w pokoju pielęgniarek.

Siostra rzuciła ostro jakąś reprimendę i odwróciła się na pięcie. Z prywatnej sali zarezerwowanej dla „przyjaciół” szpitala, czyli dla personelu pielęgniarskiego, lekarzy i ich rodzin, wyszli młoda kobieta w szlafroku i lekarz w białym fartuchu. Tego ostatniego często widywałem. Tors pod białym fartuchem miał zawsze nagi, a zakres jego obowiązków niewiele odbiegał od niewyszukanych drobnych posług, jakich ja z nudów się podejmowałem. Wyglądał mi na świeżo upieczonego absolwenta akademii medycznej specjalizującego się w tym lotniczym szpitalu w chirurgii urazowej. W silnych dłoniach trzymał nesesor pełen fotografii. Widok jego dziobatej szczęki międlącej pracowicie grudkę gumy do żucia podsunął mi nagle zwariowane podejrzenie, że facet trudni się pewnie potajemnym rozprowadzaniem na salach obscenicznych fotografii, płyty rentgenowskich z pornograficzną treścią i będących na indeksie wyników analiz moczu. Nagą pierś zdobił mu medalion z brązu zawieszony na czarnej aksamitnej tasiemce, ale przede wszystkim wyróżniała go blizna biegnąca od czoła do ust, pamiątka po jakimś przerażającym akcie gwałtu. Robił na mnie wrażenie jednego z tych ambitnych młodych lekarzy, których coraz więcej w tej profesji, oportunistów pozujących zgodnie z obowiązującą modą na obwiesiów, obnoszących się ze swoją wrogością wobec pacjentów. W czasie swego krótkiego pobytu w szpitalu zdażyłem się już przekonać, że zawód lekarza to otwarte drzwi dla każdego, kto pielęguje w sobie niechęć do rodzaju ludzkiego.

Młody lekarz zmierzył mnie od stóp do głów profesjonalnym spojrzaniem, z nieklamany zainteresowaniem wychwytyjąc każdy szczegół moich obrażeń, ale mnie absorbowwała bardziej towarzysząca mu młoda kobieta wspierająca

się na lasce. Ta laska wcale nie była jej potrzebna, stanowiła rekwizyt dający pretekst do przekrzywiania głowy ku uniesionemu ramieniu, by ukryć szpecącą policzek szramę. Ostatni raz widziałem ją, jak siedziała w ambulansie przy zwłokach swojego męża i patrzyła na mnie z zimną nienawiścią.

- Doktor Remington...? - wyrwało mi się.

Szła bez słowa na mnie, zmieniając w marszu chwyt na lasce, zupełnie jakby gotowała się do zdzielenia mnie nią przez twarz. Poruszyła głową, osobliwie wykręcając szyję, z rozmysłem demonstrując mi swoją kontuzję. Zatrzymała się w progu drzwi prowadzących na salę urazową, dając do zrozumienia, że mam się jej usunąć z drogi. Spojrzałem na bliznę na jej twarzy, na długi na osiem centymetrów szew przywodzący na myśl zasunięty zamek błyskawiczny, biegnący od prawego oka do kącika ust. Ta nowa linia, wraz z fałdą nosowo — wargową, tworzyła układ kojarzący mi się z nieuchwytnymi liniami jakiejś wrażliwej dłoni. Odczytując wyimaginowaną biografię zapisaną w historii skóry tej kobiety, wyobraziłem ją sobie jako zdolną, lecz przepracowaną studentkę medycyny, która po otrzymaniu dyplomu lekarza zrywa wreszcie z wydłużonym okresem młodzieńczym, odbywając ze swoim mężem inżynierem szereg nieporadnych, kończących się szczęśliwie głębokim emocjonalnym i genitalnym zespoleniem stosunków seksualnych, w trakcie których każde plądruje ciało drugiego niczym Robinson Crusoe szabrujący swój statek. Jej skóra pod dolną wargą zdążyła się już pomarszczyć w palisadę drobnych żłobków, pozostałość po wdowiej arytmetyce, po rozpaczliwych kalkulacjach, z których wychodziło jej, że już nigdy nie znajdzie innego kochanka. Pod jej fiołkoworóżowym szlafrokiem wyczuwałem silne ciało i klatkę piersiową osłoniętą częściowo przez warstwę białego gipsu, która biegła od ramienia do przeciwległej pachy, jak w klasycznej hollywoodzkiej sukni balowej.

Zdecydowała się potraktować mnie jak powietrze i wkroczyła sztywno do przedsionka sali, demonstrując swój gniew i odniesioną kontuzję.

Do końca pobytu w szpitalu nie spotkałem się już z doktor Helen Remington, ale leżąc w pustej sali wspominałem

bez przerwy kraknę, w której skrzyżowały się nasze drogi. Pomiedzy mną a tą pogrążoną w żalobie kobietą zrodziło się raptownie potężne poczucie erotyzmu, tak jakbym podświadomie pragnęła zacząć na nowo w jej łonie męża, którego straciła. Wchodząc w jej pochwę pośród metalowych szafek i białych kabli pracowni rentgenowskiej, w jakimś sensie wskrzesiłbym jej męża z martwych, z zestawienia jej lewej pacy z chromowanym wysięgnikiem aparatu, z mariażu naszych genitaliów z elegancko obrobioną osłoną obiektywu.

Przysłuchiwałem się podniesionym głosem pielęgniarek, sprzeczącących się w pokoju dla personelu. Przyszła do mnie z wizytą Catherine. Zwilżywszy sobie prawą dłoń o mokrą kostkę mydła toaletowego, którą znalazła w mojej szafce, masturbowała mnie teraz, trzymając w lewej ręce papieros nie znanego mi gatunku i wpatrując się bezmyślnie jasnymi oczyma w zastawione kwiatami okno. Ni z tego, ni z owego zaczęła mówić o mojej kraksie i o policyjnym dochodzeniu. Z pasją zboczeńca, wywołując u mnie niemal dreszcz zgrozy swoją makabryczną wizją pogiętej kraty wlotu chłodnicy i krwi rozchlapanej na masce, opisała mi uszkodzenia samochodu.

- Powinnaś była pójść na pogrzeb - powiedziałem.

- Chciałam - odparła. - Ale tak szybko go pochowali... powinni ich przez parę miesięcy trzymać na lodzie. Nie byłam gotowa.

- Remington był.

- Nie wątpię.

- A co z jego żoną? - zapytałem. - Tą lekarką? Odwiedziłaś ją już?

- Nie, nie mogłam. Jest mi zbyt bliska.

Catherine widziała mnie już w nowym świetle. Czyżby fakt, że w jedyny chyba sposób, w jaki można teraz legalnie odebrać komuś życie, zabiłem człowieka, wzbudzał w niej respekt albo nawet zazdrość? W trakcie kraksy samochodowej śmierć zadawana jest przez wektory szybkości, przemocy i agresji. Czyżby Catherine reagowała na ich rozkład uchwycony, jak na fotografii albo stop — klatce taśmy filmowej, w ciemnych sińcach i fizycznym zarysie kierownicy pokrywających me ciało? Blizny na moim lewym kolanie, powyżej zgruchotanej rzepki, odwzorowywały dokładnie położenie wyłączników wycieraczek przedniej szyby i świa-

teł postojowych. Kiedy byłem już bliski orgazmu, zaczęła mydlić rękę co dziesięć sekund i zapominając o papierosie, podobnie jak pielęgniarki, które doglądały mnie w pierwszych godzinach po wypadku, skoncentrowała całą swoją uwagę na tym jednym otworze mojego ciała. Kiedy nasienie trysnęło jej w dłoń, ścisnęła mocno mojego penisa, jakby ten pierwszy od dnia kraksy orgazm uświetnił jakieś unikalne wydarzenie. Ze swoim urzeczonym wzrokiem przypomniła mi włoską guwernantkę pracującą u pewnego głównego księgowego z Mediolanu, z którym spędziliśmy jedno lato w Sestri Levante. Owa sztywna stara panna nie widziała świata poza seksualnym organem dwuletniego chłopca, którym się opiekowała. Obsypywała bez końca pocałunkami jego mały penis, ssła żarłocznie żołądź, pokazywała go wszystkim z niezmierną dumą.

Skinąłem ze zrozumieniem głową, wsunąłem rękę pod sukienkę Catherine i położyłem dłoń na jej udzie. Karmiona przez lata dietą reportaży z katastrof lotniczych i wojen, skojarzyła sobie natychmiast mój wypadek ze wszystkimi koszmarowymi plagami świata, które postrzegala jako nieodłączną część swoich seksualnych igraszek. Pogłaskałem jej ciepłe podbrzusze poprzez rozdarcie w kroczu rajstop, a potem przesunąłem palcem wskazującym wokół kępki blond włosów łonowych, które wyrastały niczym splełany płomień z wierzchołka jej sromu. Lędźwie urządzał jej chyba jakiś ekscentryczny szmuklerz.

W nadziei, że zdołam w ten sposób rozładować hiperpodniecenie, jakie wzniciła u Catherine moja kraksa - teraz, we wspomnieniach jeszcze większe, bardziej okrutne i spektakularne - zacząłem pocierać palcem jej lechtaczkę. Wyszła wkrótce potem rozkojarzona, pocałowałszy mnie w usta, jakby nie spodziewała się ujrzeć mnie więcej żywym. Mówiła i mówiła, jakby jej się wydawało, że do mojej kraksy jeszcze nie doszło.

Chcesz prowadzić? Ależ twoje nogi... James, ty ledwie chodzisz!

Pędziliśmy ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę pustą Western Avenue, a w głosie Catherine pobrzmiwała pokrępiająca nutka żoninej desperacji. Siedziałem sobie wygodnie w profilowanym fotelu jej sportowego wozu i przyglądałem się rozanielony, jak co rusz odgarnia z oczu niesforne kosmyki blond włosów i smukłymi dłońmi wodzi tam i z powrotem po miniaturowej kierownicy powleczonej pokrowcem z lamparciej skóry. Po moim wypadku Catherine, zamiast lepiej, prowadziła coraz gorzej, jakby przekonana, że nad jej bezpieczeństwem podczas nieostrożnej jazdy tymi szybkimi betonowymi alejami czuwają niewidzialne siły wszechświata.

W ostatniej chwili pokazałem jej palcem wlokącą się przed nami ciężarówkę z naczepą — chłodnią, która zarzucała na boki na przepompowanych oponach. Catherine wdepnęła drobną stópką pedał hamulca i zjeżdżając na pas wolnego ruchu wyprzedziła zawalidrogę. Odłożyłem broszurę agencji wynajmu samochodów i zapatrzyłem się na puste stanowiska postojowe dla samolotów za ogrodzeniem z drucianej siatki. Jakiś niewypowiedziany spokój zdawał się zalegać nad tym popękany betonem i pniącą się dziko trawą. Szklanościane budynki terminalu i wielopiętrowe parkingi w tle należały jakby do zaczarowanego królestwa.

- Chcesz wynająć samochód... na jak długo?

- Na tydzień. Będę się kręcił w okolicach lotniska, żebyś mogła mnie mieć na oku ze swojego biura.

- I będę miała.
- Catherine, ja muszę więcej wychodzić. - Zabębniłem obiema pięściami w deskę rozdzielczą. - Nie mogę przesiedzieć reszty życia na balkonie... Zaczynam się czuć jak roślina doniczkowa.
- Rozumiem.
- Nic nie rozumiesz.

Przez ostatni tydzień, od powrotu taksówką ze szpitala, siedziałem dzień w dzień w tym samym rozkładanym fotelu na balkonie naszego mieszkania, i z wysokości dziesiątego piętra kontemlowałem obcą okolicę rozpościerającą się za anodyzowanymi prętami balkonowej balustrady. Pierwszego popołudnia ledwo poznałem bezkresne morze betonu i stali konstrukcyjnej, które rozciągało się między drogami szybkiego ruchu a południowym krańcem lotniska, oblewało tam pajęczynę pasów startowych i rozpościerało dalej aż po nowe osiedla mieszkaniowe wzniesione wzdłuż Western Avenue. Nasz dom w Dayton Park stał dwa kilometry na północ od lotniska, wśród sympatycznej wyspy nowoczesnych bloków mieszkalnych, wkomponowanych w krajobraz stacji benzynowych i supermarketów, którą od bryły Londynu odgradzała odnoga północnej obwodnicy, przemykająca nie opodal na eleganckich betonowych słupach. Patrzyłem z góry na tę ogromną ruchomą rzeźbę o jezdniach zdających się przewyższać poręcz balkonowej balustrady, o którą się opierałem. Odzyskiwałem powoli orientację w jej pokrępowanej masie, jej znajomych perspektywach szybkości, celu i kierunku. Domy naszych znajomych, sklep z winem, w którym zaopatrywałem się w ten trunek, małe kino studyjne, do którego chodziliśmy z Catherine na amerykańskie filmy awangardowe i niemieckie seksinstruktaże, powracały stopniowo na swoje miejsca z obu stron palisady, jaką stanowiła w moich oczach droga szybkiego ruchu. Uświadamiałem sobie coraz bardziej, że ludzie zamieszkujący ten stechnicyzowany krajobraz nie stanowią już jego najbardziej charakterystycznych punktów odniesienia, jego kluczy do granicznych stref tożsamości. Powabny krok Frances Waring, zblazowanej żony mojego współnika, przemierzającej labirynty lokalnego supermarketu, rodzinne kłótnie zamożnych sąsiadów z naszego domu, wszystkie nadzieje i przywary tej spokojnej podmiejskiej enklawy przesiąkniętej tysiącami zdrad małżeńskich rozmywały się w zetknięciu z surową rzeczywistością skarp drogi szybkiego ruchu z ich stałą, bezbłędną geometrią oraz z idealnymi prostokątami płyt parkingów.

Jadąc z Catherine ze szpitala do domu na tylnej kanapie taksówki, z zaskoczeniem odkrywałem, jak bardzo w moich oczach zmienił się obraz samochodu. Zupełnie jakby mój wypadek obnażył wreszcie jego prawdziwą naturę. Przywierając czołem do szyby i dygocząc z podniecenia śledziłem sznury pojazdów sunące estakadami Western Avenue. Tnące lance popołudniowego światła odbijające się od chromowanych powierzchni pruły mi skórę. Ostry jazz kratek na wlotach chłodnic, samochody nadjeżdżające z naprzeciwną zalanymi słońcem pasami jezdni w kierunku londyńskiego lotniska, znaki drogowe i tablice informacyjne - wszystko to wydawało mi się jakieś groźne, nadrealne i ekscytujące.

Widząc moją egzaltację, Catherine wepchnęła mnie, czym prędzej do windy. Zmieniły się również wizualne perspektywy naszego mieszkania. Odtrąciłem ją i wyszedłem na balkon. Samochody zalewały podmiejskie uliczki, tłoczyły się na parkingach przed supermarketami, wdzierały na trotuary. Na Western Avenue doszło do dwóch stłuczek i na wiadukcie nad tunelem prowadzącym na lotnisko utworzył się gigantyczny korek. Obserwowany z pokoju przez Catherine trzymającą rękę na stojącym za nią aparacie telefonicznym, siedziałem podekscytowany na balkonie i chłonałem wzrokiem tę ogromną koronę polerowanego mrowiska ciągnącą się od południowego widnokręgu po drogi szybkiego ruchu na północy, jakbym widział to wszystko po raz pierwszy. Dręczyło mnie jakieś nieokreślone przecucie zagrożenia, obawa, że lada chwila dojdzie do wypadku z udziałem tych wszystkich samochodów. Pasażerowie wielkich samolotów, które podrywały się z lotniska, czmychali z miejsca nadciągającej katastrofy, uciekali przed wiszącą w powietrzu autozagładą.

Owo przecucie katastrofy nie opuszczało mnie. Pierwsze dni po powrocie ze szpitala spędzałem na balkonie, obserwując tłok na drodze szybkiego ruchu, wypatrując tam pilnie pierwszych oznak tego końca świata spowodowanego przez samochody, do którego mój wypadek był osobistą przygrywką.

Wywołałem Catherine na balkon i pokazałem jej stłuczkę na południowym podejździe na drogę szybkiego ruchu.

Biała furgonetka jakiejś pralni wjechała w kufer kombi pełnego gości weselnych.

- Są jak aktorzy na próbie. Kiedy wszyscy przećwiczymy już przypisane nam role, zaczniesz się. - Samolot nadlatujący nad śródmieście Londynu wypuszczał podwozie. Po dachach domów niósł się ryk jego silników. - Następna partia niecierpliwych ofiar... człowiek ma wrażenie, że lada chwila ujrzy Breughla i Hieronima Boscha jadących ulicą wynajętymi samochodami.

Catherine uknęła obok, opierając łokieć na chromowanej poręczy mego fotela. Ten sam refleks światła widziałem na desce rozdzielczej swego wozu, kiedy siedziałem za pękniętą kierownicą i czekałem, aż policjanci wytną mnie ze zgniecionej kabiny. Z rozdającym się zainteresowaniem badała wzrokiem zmienione kontury mojej rzepki kolanowej. Per wersja we wszystkich swych formach budziła naturalną i zdrową ciekawość Catherine.

—James, muszę już pędzić do biura... poradzisz sobie? - Zdawała sobie w pełni sprawę, że dla niej gotowy jestem na każde oszustwo.

—Naturalnie. Czy mi się wydaje, czy natężenie ruchu się ostatnio zwiększyło? Odnoszę wrażenie, że samochodów jest ze trzy razy tyle co przed moim wypadkiem.

—Jakoś nie zauważyłam. Nie będziesz próbował pożyczyć samochodu od portiera?

Wzruszająca była ta jej troska. Od czasu wypadku zdawała się po raz pierwszy od wielu lat wobec mnie całkowicie na luzie. Moja kraksa stanowiła dla niej przewrotną lekcję z gatunku tych, które dzięki swojemu doświadczeniu życiowemu i własnej seksualności nauczyła się rozumieć. Moje ciało, które gdzieś po roku małżeństwa zaczęła postrzegać w jakiejś bliżej nie określonej seksualnej perspektywie, znowu ją pociągało. Zafascynowana bliznami na mej klatce piersiowej, muskała je zwilżonymi śliną wargami. Sam również wyczuwałem te szczęśliwe zmiany. Kiedyś ciało Catherine leżące obok mnie na łóżku zdawało się tak samo bezwładne i bezduszne, jak nadmuchiwana lalka z sexshopu wyposażona w neoprenową pochwę. Upokarzając się z siebie tylko wiadomych perwersyjnych powodów, ostentacyjnie obnażała przede mną rozmaite części ciała, zdając sobie doskonale sprawę, że ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy, to ten blond otwór między jej nogami.



Wziąłem ją za rękę.

- Zejdę z tobą na dół... no, nie patrz tak na mnie.

Przyglądałem się z dziedzińca przed domem, jak odjeżdża swoim sportowym wozem na lotnisko. Jej białe krocze migało między pracującymi udami rozpustnym semaforem. Kierowcy znudzeni śledzeniem obracających się monotonicznie skal dystrybutorów na stacjach benzynowych musieli mieć rozrywkę podziwiając ukradkiem zmieniającą się geometrię jej wzgóрка łonowego.

Zniknęła mi z oczu, a ja, zamiast wrócić do mieszkania, zszedłem do podziemi. W garażu stało kilkanaście aut należących w większości do żon prawników i producentów filmowych mieszkających w naszej kamienicy. Miejsce postojowe zarezerwowane dla mojego wozu ziało wciąż pustką. Cementowy prostokąt posadzki znaczyła tam znajoma kompozycja plam po oleju. Przebijając wzrokiem półmrok, zacząłem zaglądać poprzez zasunięte szyby drogich samochodów, zwracając szczególną uwagę na deski rozdzielcze. Na tylnej półce jednego z aut leżała jedwabna apaszka. Przypomniałem sobie, jak Catherine wyliczała nasze rzeczy osobiste rozsypane po podłodze i siedzeniach mojego samochodu tuż po kraksie - turystyczna mapa drogowa, pusta buteleczka po lakierze do paznokci, jakieś brązowe czasopismo. Wyizolowanie tych cząstek naszego życia, kojarzących się nieodparcie z hołubionymi wspomnieniami i intymnymi przeżyciami, które ekipa budowlanców wyniosła pod gołe niebo z czterech ścian wyburzanego domu, stanowiło przedłużenie tego samego banału, do którego sprowadziłem nieumyślnie śmierć Remingtona. Szara jodełka rękawa jego płaszcza, biel kołnierzyka koszuli już nieodwracalnie wtopiły się w okoliczności tamtego tragicznego wypadku.

Z dali dochodził zrozpaczony chór klaksonów aut uwięzionych w korku. Wpatrując się w plamy po oleju na swoim miejscu parkingowym, myślałem o zabitym. W tych nieścieralnych śladach zdawał się tkwić utrwalony cały wypadek - policja, gapie i sanitariusze z ambulansu zastygli w pozach, które wryły mi się w pamięć, kiedy siedziałem za kierownicą rozbitego samochodu.

Za moimi plecami grało radio tranzystorowe. Portier, młodzieniec z włosami prawie do pasa, wrócił do swojego kantorka przy wejściu do windy. Siedział tam na metalo-

wym biurku obejmując ramieniem przyjaciółeczkę o figurze i buzi dziecka. Udając, że nie dostrzegam ich pełnych szacunku spojrzeń,

wyszedłem z powrotem na dziedziniec. Wysadzana drzewami aleja prowadząca do osiedlowego centrum handlowego świeciła pustkami. Wzdłuż jej krawężników, pod platanami, parkowały zderzak w zderzak samochody. Rad, że mogę tak sobie iść nie ryzykując potrącenia przez jakąś agresywną gospodynię domową, kroczyłem środkiem jezdni, zatrzymując się co kawałek i odpoczywając wsparty o lśniący błotnik. Dochodziła druga po południu i w centrum handlowym było pusto.auta stały jedno za drugim przy głównej arterii i parkowały w dwóch rzędach w bocznych uliczkach, czekając na swoich kierowców, którzy odpoczywali schroniwszy się pod dachem przed prażącym słońcem. Przeciąłem wyłożony płytami placyk pośrodku centrum handlowego i wspiąłem się po schodach na parking usytuowany na dachu supermarketu. Ze stu urządzonych tutaj miejsc parkingowych zajęte były wszystkie. Szeregi przednich szyb odbijały promienie słońca niczym szklany pancierz.

Oparłem się o betonową bandę i uświadomiłem sobie niewypowiedzianą ciszę zalegającą nad krajobrazem, który mnie otaczał. O dziwo, nie lądował akurat ani nie podrywał się z pasów startowych lotniska żaden samolot. Niezmiernie rzadko się to zdarzało. Pojazdy zmierzające drogą szybkiego ruchu na południe tkwiły w długim korku. Wszystkie pasy Western Avenue zapchane były szczelnie samochodami i autobusami linii lotniczych czekającymi na zmianę świateł. Podjazd na wiadukt dźwigał na sobie trzy nieruchome rzędy pojazdów próbujących się dostać na nowy odcinek drogi szybkiego ruchu.

Podczas mojego pobytu w szpitalu brygady drogowców zdążyły przeciągnąć jej szerokie jezdnie o kilometr dalej na południe. Przyglądając się baczniej temu cichemu pejzażowi, zdałem sobie naraz sprawę, że cała strefa wyznaczająca krajobraz mego życia jest teraz ograniczona nieprzerwanym, sztucznym horyzontem, który tworzą bandy i skarpy dróg szybkiego ruchu, ich drogi dojazdowe i skrzyżowania. Otaczały one pojazdy stłoczone w dole niczym ściany krateru o średnicy kilku kilometrów.

Cisza trwała. To tu, to tam poprawił się za kierownicą jakiś nieszczęsny kierowca uwięziony na słonecznym skwa-

rze, i odniosłem nagle wrażenie, że świat się zatrzymał. Rany na moich kolanach i klatce piersiowej były radio latarniami nastrojonymi na mrowie wabiących nadajników, odbierającymi bez mej wiedzy sygnały, które miały rozsypać cały ten zastój i uwolnić kierowców, by ci mogli kontynuować drogę ku miejscom przeznaczenia, jakie wyznaczyli swoim pojazdom.

Wspomnienie tamtej nadzwyczajnej ciszy pozostawało żywe w mej pamięci, kiedy Catherine wiozła mnie do mojego biura w Shepperton. Pojazdy pędziły na wypródki Western Avenue od jednego korka do drugiego. Niebo nad nami grzmiało hukami silników samolotów pasażerskich startujących z londyńskiego lotniska. Tamten krótki rzut oka na nieruchomy świat, na te tysiące kierowców siedzących biernie w swoich samochodach stłoczonych w zastygłe sznury aż po horyzont na biegnącej skarpą drodze szybkiego ruchu, był chyba jedyną w swoim rodzaju wizją maszynowego krajobrazu, zaproszeniem do badania wiaduktów naszych umysłów.

Przed wszystkim musiałem zakończyć wreszcie rekonwalescencję i wynająć samochód. Kiedy dotarliśmy do studio telewizji komercyjnej, Catherine, nieskora mnie wysadzić, zaczęła krążyć bez celu po parkingu. Młody kierowca agencji wynajmu samochodów obserwował nasze manewry, stojąc przy swoim wozie.

- Zabierasz ze sobą Renatę? - spytała Catherine. Przenikliwość tego zadanego mimochodem pytania za skoczyła mnie.

- Pomyślałem sobie, że czemu by jej nie zabrać... prowadzenie samochodu po takiej przerwie może się okazać bar dziej męczące, niż mi się wydaje.

- Dziwię się, że ona nie boi się z tobą jechać.

- Chyba nie jesteś zazdrosna?

- Może troszkę.

Aby nie dopuścić do zawiązania się ewentualnego lokalnego przymierza między tymi dwoma kobietami, pożegnałem się szybko z Catherine. Następną godzinę spędziłem w biurach produkcyjnych, omawiając z Paulem Waringiem trudności kontraktowe blokujące realizację reklamy samochodu, do wystąpienia, w której miałem nadzieję nakłonić

aktorke filmową Elizabeth Taylor. Jednak przez cały ten czas skupiałem uwagę na aucie z agencji wynajmu czekającym na mnie na parkingu. Wszystko inne - piekłacy się Waring, ciasnota biur, hałaśliwość pracowników - stanowiło mgliste tło, niezadowolający materiał z sesji zdjęciowej, który trzeba będzie później przemontować.

Ledwie zauważyłem Renatę, kiedy dosiadła się do mnie do samochodu.

- Dobrze się czujesz? Dokąd jedziemy?

Gapiłem się na kierownicę, na której zaciskałem dłonie, na deskę rozdzielczą z jej zegarami i przełącznikami.

- A jak myślisz?

Agresywna stylizacja kabiny tego masowo produkowanego wozu, topornie grube oprawy przyrządów podsycaly jeszcze narastające poczucie jakiejś nowej więzi pomiędzy moim ciałem a autem, poczucie pociągu silniejsze od tego, który wzbudzały we mnie rozłożyste biodra Renaty i jej silne nogi ukryte przed wzrokiem pod czerwonym plastikowym płaszczem przeciwdeszczowym. Pochyliłem się w przód, uciskając brzeg kierownicy bliznami na piersi, napierając kolanami na przełącznik zapłonu i dźwignię ręcznego hamulca.

Pół godziny później dojeżdżaliśmy już do stóp wiaduktu. Było popołudnie. Mknąca Western Avenue rzeka pojazdów rozdzielała się na dwoje na wysokości zjazdu z drogi szybkiego ruchu. Minąłem miejsce swojego wypadku, dojechałem do znajdującego się kilometr dalej na północ nawrotu, zawróciłem i pojechałem z powrotem trasą, którą pędziłem na kilka minut przed kraksą. Tak się złożyło, że droga była pusta. Czteryście metrów przede mną na wiadukt pięła się ciężarówka. U wylotu drogi dojazdowej pojawiło się jakieś kombi, ale przyśpieszyłem i przemknąłem mu przed maską. Kilka sekund później dojechaliśmy do punktu zderzenia. Zwolniłem i zatrzymałem wóz na betonowym poboczu.

- Wolno tu parkować?

- Nie.

- W porządku - policja zrobi dla ciebie wyjątek.

Rozpiąłem Renacie płaszcz przeciwdeszczowy i położyłem dłoń na jej udzie. Trzymając mnie uspokajająco za ramię, niczym tkliwa guwernantka, pozwoliła mi się pocałować w szyję.

- Spotkaliśmy się tuż przed wypadkiem - powiedziałem. - Pamiętasz? Kochaliśmy się.

- Wciąż łączysz mnie ze swoją kraksą?

Przesunąłem dłonią po jej udzie. Natrafiłem na wilgotny kwiat sromu. Minał nas autobus linii lotniczych. Pasażerowie udający się do Stuttgartu albo Mediolanu spoglądali na nas ciekawie z góry. Renata zapięła płaszcz i ze schowka w desce rozdzielczej wyciągnęła egzemplarz „Paris Match”. przewracała strony, oglądając pobieżnie fotografie ofiar głodu na Filipinach. To rzekome zatopienie się w treściach pokrewnych przemocy i gwałtowi stanowiło ochronną maskę. Jej skupiony wzrok ledwie się zatrzymał na zajmującym całą stronę zdjęciu przedstawiającym spuchniętego trupa. Owo połączenie śmierci z oszpecceniem przesunęło się pod jej zręcznymi palcami, ja tymczasem patrzyłem na skrzyżowanie, gdzie, pięćdziesiąt metrów od samochodu, w którym teraz siedziałem, zabiłem niedawno człowieka. Anonimowość tego skrzyżowania przypominała mi ciało Renaty, z jego przyjaznym repertuarem otworów i szczelin, ciało, które pewnego dnia stanie się tak obce i niepowabne dla jakiegoś męża z przedmieścia, jak dla mnie te tutaj krawężniki i białe linie na jezdni.

Nadjeżdżał biały kabriolet. Wysiadłem właśnie i jego kierowca błysnął ostrzegawczo światłami. Zatoczyłem się, prawe kolano sforsowane wysiłkiem włożonym w prowadzenie samochodu odmawiało posłuszeństwa. Pod nogami chrzęścił mi śmietnik zeschłych liści, pustych paczek po papierosach i kryształków szkła. Te kruszyny roztrzaskanych w drobny mak hartowanych szyb, zmiotane na bok przez pokolenia sanitariuszy z ambulansów, tworzyły przy skraju drogi wąskie pasemko. Patrzyłem na ten zakurzony naszyjnik, pozostałość po tysiącach samochodowych wypadków. W ciągu pięćdziesięciu lat, w miarę jak zderzać się tu będzie coraz więcej samochodów, z kruszynek szkła powstanie najpierw pokaźny pas, a po dalszych trzydziestu latach cała plaża z ostrego kryształu. Wtedy może się pojawić nowa rasa przeczesywaczy plaż, kucających wśród tych hałd potłuczonych przednich szyb, przesiewających je w poszukiwaniu niedopałków, zużytych kondomów i zgubionych monet. Pod tą nową warstwą geologiczną nałożoną przez sto lat wypadków samochodowych pogrzebana będzie moja własna, mała śmierć, anonimowa, jak zeszkłona blizna na skamieniałym drzewie.

Na poboczu, sto metrów za nami, stał zakurzony amerykański wóz. Barczysty kierowca, oparty plecami o słupek

drzwiczek, przyglądał mi się przez zachlapaną błotem przednią szybę. Kiedy przechodziłem na drugą stronę jezdni, uniósł do oka aparat z teleobiektywem i spojrzął na mnie przez wizjer.

Renata obejrzała się nań przez ramię, zaskoczona tak samo jak ja jego agresywną postawą. Otworzyła mi drzwiczki.

- Możesz prowadzić? Co to za jeden? Jakiś prywatny detektyw?

Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę Western Avenue, tamten wysoki, odziany w skórzaną kurtkę mężczyzna podszedł poboczem do miejsca, w którym parkowałem. Ciekawy jego twarzy, zawróciłem na nawrocie.

Minęliśmy go w odległości trzech metrów. Kręcił się tam i z powrotem pomiędzy śladami opon, zupełnie jakby odtwarzał w wyobraźni jakąś niewidoczną trajektorię. Słoneczny blask uwypuklał blizny na jego czole i wokół ust. Kiedy podniósł na mnie wzrok, rozpoznałem młodego lekarza, którego widziałem ostatnio, jak opuszczał pokój Helen Remington w szpitalu urazowym Ashford.

Przez kilka następnych dni wypożyczałem coraz to nowe auta z agencji wynajmu działającej przy studio, wybierając każdy możliwy typ od nieruchawego amerykańskiego kabrioletu poczynając, poprzez sportową limuzynę o imponujących osiąгах, a na włoskim maluchu kończąc. To, co zaczęło się jako ironiczny gest mający sprowokować Catherine i Renatę - obie najchętniej nie pozwoliłyby mi już wsiąść za kółko - wkrótce nabrało zupełnie innego znaczenia. Moja pierwsza krótka wyprawa na miejsce wypadku wskrzesiła na nowo widmo zabitego i, co ważniejsze, sprawiła, że zacząłem przemyślać o własnej śmierci. Przejeżdżałem trasę sprzed wypadku każdym z wynajmowanych samochodów i wyobrażałem sobie rozmaite wersje śmierci w kraksie i rozmaite rodzaje związanych z nią urazów.

Pomimo wysiłku, jaki wkładano w czyszczenie samochodów, nie dawało się usunąć z ich wnętrza pozostałości po poprzednich użytkownikach - śladów obcasów na gumowych dywanikach pod pedałami; zasuszonych petów z umazanymi niemodną już szminką filtrami, przywartych do resztek przeżutej gumy pod stropami popielniczek; pajęczyn dziwnych rys na winylowych obiciach siedzeń, przywodzących na myśl choreograficzny zapis jakichś szalonych zapasów dwojga gwałcących się na wzajem kalek. Kładąc stopy na pedałach, wyobrażałem sobie wszystkich kierowców, którzy je wcześniej naciskali, przestrzeń zajmowaną przez ich ciała, ich umówione spotkania, ich ucieczki, znudzenie, jakie odczuwali tu przede mną. Świadom tego wszystkiego,

mimowolnie oferowałem swe ciało wystającej kolumnie kierownicy i osłonom przeciwsłonecznym sterującym znad przedniej szyby, i wiele mnie kosztowało, by przymusić się do ostrożnej jazdy.

Najpierw krążyłem bez celu drogami na południe od lotniska, wczuwając się pośród zbiorników wodnych w Stanwell w możliwości nie znanego mi wozu. Stamtąd jechałem wzdłuż wschodniego skraju lotniska do wielopoziomowych skrzyżowań w Harlington, gdzie porywała mnie ogromna fala pływowa metalu mknąca w godzinach szczytu od strony Londynu całą szerokością Western Avenue. Tak się jakoś składało, że w porze wypadku lądowałem za każdym razem w okolicach wiaduktu i albo mijałem miejsce kolizji posuwając się zrywami wraz z rzeką pojazdów ku następnym światłom, albo oglądałem je tkwiąc w ogromnym korku, dajmy na to, trzy metry od punktu zderzenia.

Kiedy wypożyczałem amerykański kabriolet, usłyszałem od pracownika agencji:

- Aleśmy mieli roboty, żeby go doprowadzić do ładu, panie Ballard. Jedna z pańskich wytwórni telewizyjnych go używała - ślady po zaciskach kamery na dachu, na wszystkich drzwiczkach, na masce...

To, że samochód jest nadal wykorzystywany do pozoracji jakiegoś wyimaginowanego zdarzenia, dotarło do mnie, kiedy wyjeżdżałem z garażu w Shepperton. Podobnie jak w innych autach, jakie wypożyczałem, w tym również roilo się od rys, odcisków obcasów i śladów po przypaleniu papierosem, przełożonych na olśniewający wymiar konstrukcji rodem z Detroit. W różowym winylowym obiciu fotela ziała głęboka dziura, zdolna pomieścić drzewce flagi albo, dajmy na to, penisa. Ślady te powstały przypuszczalnie w kontekście wyimaginowanych dramatów wymyślonych przez rozmaite korzystające w przeszłości z samochodu wytwórnie, przez aktorów grających role detektywów i drobnych rzezimieszków, tajnych agentów i spadkobierczyń, które rzucają wszystko i uciekają z domu. Na sfatygowanej kierownicy zalegały warstwy tłuszczu pozostawione tam przez setki rąk, które trzymały ją w pozycjach narzucanych przez reżysera filmu i operatora.

Jadąc wieczorem Western Avenue, wyobrażałem sobie, że ponoszę śmierć w tym ogromnym natłoku fikcji, wyob-



rażałem sobie swoje ciało naznaczone piętnem setek telewizyjnych seriali kryminalnych, sygnaturami zapomnianych dramatów, które, wiele lat po znalezieniu się na półkach archiwów, odciskają na mojej skórze swoje ostatnie linie kredytowe.

Otrząsając się z zadumy nad tymi nieodpartymi pragnieniami, stwierdziłem nagle, że jestem na skrzyżowaniu z drogą szybkiego ruchu i jadę niewłaściwym pasem. Uzmysłowiłem sobie, że siląc się na wpasowanie swych obrażeń i doświadczenia w mastodontyczne linie mojego masywnego samochodu wyposażonego w potężny silnik i przesadnie sprawne hamulce, przejawiam przerost ambicji. Z postanowieniem wynajęcia samochodu takiego samego jak ten, który rozbiłem, skręciłem w drogę dojazdową do lotniska.

Przed wjazdem do tunelu utworzył się wielki korek, odbiłem więc w prawo i przecinając jezdnię wjechałem na plac przed lotniskiem, rozległe skupisko tranzytowych hoteli i całodobowych supermarketów. Wyprowadzając wóz ze stacji benzynowej przy samym tunelu, zauważyłem znaną mi z widzenia trójkę lotniskowych dziwek przechadzających się tam i z powrotem po małej wysepce pośrodku jezdni.

Na widok mojego auta najstarsza z trzech kobiet, zakładając chyba, że jestem amerykańskim albo niemieckim turystą, ruszyła w moją stronę. Spacerowały w zapadającym zmierzchu po tej wysepce, śledząc przemykające mimo samochody tak pilnie, jakby starały się wyluskać wzrokiem podróżnych gotowych do przeprawy na drugą stronę Styksu. Cała ta trójka - gadatliwa brunetka z Liverpoolu, która wszędzie była i wszystko robiła; nieśmiała, tępa blondynka, która najwyraźniej pociągała Catherine, sądząc po sposobie, w jaki ta zwykła mi ją pokazywać; i starsza kobieta o zmęczonej twarzy i obfitym biuście, która swego czasu pracowała na stacji benzynowej w warsztacie samochodowym przy Western Avenue - zdawała się tworzyć podstawową komórkę seksualną, zdolną w taki czy inny sposób zadowolić wszystkich potrzebujących.

Zatrzymałem się przy wysepce. Skinąłem głową i najstarsza z kobiet podeszła do mnie. Oparła się o drzwiczki od strony pasażera, dociskając silne ramię do chromowanego słupka. Wsiadając do samochodu pomachała ręką do dwóch

koleżanek, którym oczy latały tam i z powrotem jak wycieraczki, śledząc szyby przejeżdżających samochodów lśniące w promieniach zachodzącego słońca.

Włączyłem się do ruchu i wjechałem w tunel prowadzący na lotnisko. Żyłaste ciało kobiety siedzącej obok mnie w wynajętym amerykańskim krążowniku, tej anonimowej gwiazdzie tyłu trzeciorzędnych seriali telewizyjnych, sprawiło, że uświadomiłem sobie nagle obolałość kolan i ud. Pomimo wspomagania hamulców i układu kierowniczego, prowadzenie tego wozu było wyczerpujące.

- Dokąd jedziemy? - zapytała moja towarzyszką, kiedy wyjechałem z tunelu i skierowałem się w stronę zabudowań terminalu.

— Do wielopiętrowych parkingów - ostatnie poziomy są wieczorami puste.

Port lotniczy i jego otoczkę okupowała luźna hierarchia prostytutek. Można je było spotkać w hotelach, w dyskotekach, gdzie nigdy nie grała muzyka, pod sypialniami dla tysięcy przejezdnych pasażerów, którzy nigdy nie opuszczali lotniska; drugi eszelon pracował w halach budynków terminalu i na półpiętrach restauracji; na samym końcu plasowała się armia cichodajek wynajmujących pokoje na dniówki w osiedlach mieszkaniowych przy drodze szybkiego ruchu.

Dojechaliśmy do wielopiętrowego parkingu za budynkiem bagażowni. Pokonałem kilka betonowych poziomów tej pozbawionej okien, tajemniczej konstrukcji i znalazłem wolne miejsce wśród samochodów parkujących na dachu. Upchnąwszy otrzymane banknoty w srebrzystej torebce, kobieta pochyliła zafrasowaną twarz nad moim podolkiem i wprawnym ruchem rozsunęła zamek błyskawiczny rozporoka. Wsparłszy się wygodnie na moich kolanach, przystąpiła do systematycznej obróbki mego penisa ustami i dłońmi jednocześnie. Łokcie miała tak twarde, że aż skrzywiłem się z bólu.

— Co ci się stało w nogi? Miałeś wypadek?

Zabrzmiało to w jej ustach jak seksualne wyzwanie.

Podczas gdy ona wskrzeszała mojego penisa, ja spoglądałem z góry na jej silne plecy, na zestawienie zarysów jej łopatek, podkreślanych ramiączkami stanika, ze starannie zaprojektowaną deską rozdzielczą tego amerykańskiego samochodu, jej tłustego pośladka pod mą lewą dłońią z pas-

telowymi oprawami zegara i prędkościomierza. Mój lewy palec serdeczny, zainspirowany tymi okapturzonymi skalami, powędrował ku jej odbytowi.

Z dziedzińca pod nami dobiegł ryk klaksonów. Z tyłu błysnął flesz, oświetlając na moment zaskoczoną twarz znużonej prostytutki obejmującej wargami mojego penisa i jej spłowiałe włosy rozsypane po chromowanych szprychach kierownicy. Odepchnąłem ją i wyrząłem przez balustradę. Autobus linii lotniczych wjechał w kufer taksówki stojącej pod Terminalem Europejskim. Dwaj taksówkarze i mężczyzna z plastikowym neseserem wyciągali rannego kierowcę z kabiny. Ogromny korek taksówek i autobusów zablokował ulicę dojazdową. Wóz policyjny z błyskającym kogutem przebijał się chodnikiem przez tłumy pasażerów i bagażowych, roztrzaskując zderzakiem walizki.

Kątem oka dostrzegłem poruszenie na chromowanym słupku dzielącym na dwoje przednią szybę i spojrzałem w prawo. Kilka metrów i kilka miejsc parkingowych od nas, na masce samochodu stojącego pod betonową balustradą siedział człowiek z aparatem fotograficznym. Rozpoznałem w nim mężczyznę z pokancerowanym czołem, który obserwował mnie w pobliżu miejsca wypadku pod wiaduktem, lekarza w białym kitlu ze szpitala. Wyciągnął z flesza zużytą żarówkę i kopniakiem posłał ją pod samochody. Zaczął wyciągać film z polaroida, przyglądając mi się bez specjalnego zainteresowania; można by rzec, że podglądanie prostytutek obsługujących klienta na dachu wielopiętrowego parkingu jest dlań chlebem powszednim.

- Możesz skończyć. Wszystko w porządku. - Kobieta przetrząsała znowu moje krocze w poszukiwaniu opornego penisa. Dałem jej znak, że ma usiąść prosto. Poprawiła sobie włosy we wstecznym lusterku, po czym, nie spoglądając już na mnie, wysiadła z wozu i pomaszerowała do windy.

Wysoki mężczyzna z aparatem spacerował po dachu. Zajrzałem przez tylną szybę do jego samochodu. Fotel pasażera zavalony był sprzętem fotograficznym - aparaty, trójnóg, pełen karton żarówek do flesza. Na podstawie przymocowanej do deski rozdzielczej zauważyłem kamerę filmową.

Mężczyzna, trzymając aparat jak broń za pistoletowy uchwyt, wrócił do swojego samochodu. Kiedy zbliżył się do

balustrady, błysk policyjnego koguta oświetlił mu twarz. Dotarło do mnie, że przecież znam tę ospowatą twarz z wielu zapomnianych już programów telewizyjnych i dzienników - był to Vaughan, doktor Robert Vaughan, były specjalista komputerowy. Jako jeden z pierwszych przedstawicieli nowej rasy specjalistów telewizyjnych, Vaughan łączył w sobie wielką charyzmę - gęste czarne włosy, pokryta bliznami twarz i kurtka wojskowa amerykańskiej armii - z agresywnym stylem bycia wykładowcy wierzącego niezachwianie w uprawianą dziedzinę wiedzy, czyli w zastosowania techniki komputerowej do sterowania wszelkimi międzynarodowymi systemami ruchu. Przed trzema laty, w pierwszych programach swojej serii, Vaughan stworzył sobie przekonujący image naukowca — pirata drogowego, jeżdżąc ze swego laboratorium do centrum telewizyjnego potężnym motocyklem. Oczytany, ambitny i potrafiący zadbać o reklamę, zdołał się uchronić przed zaliczeniem do grona karierowiczów ze stopniem naukowym, propagując naiwny idealizm oraz swoją dziwną wizję auta i jego rzeczywistej roli w naszym życiu.

Stał przy balustradzie, patrząc z góry na wypadek. Reflektory samochodów oświetlały twarde krawędzie blizn nad brwiami i wokół ust, złamany i nastawiony mostek nosa. Pamiętałem, jak urwała się nagle kariera Vaughana - w połowie swojej serii telewizyjnej uległ poważnemu wypadkowi motocyklowemu. Jego twarz i osobowość aż za wyraźnie nosiły jeszcze wspomnienie tamtej kraksy, jakiejś strasznej kolizji na drodze szybkiego ruchu w North, kiedy to tylne koła ciężarówki zgruchotały mu obie nogi. Twarz miał jakby przemieszczoną w bok, przywróconą po wypadku przez lekarzy do jakiego takiego stanu na podstawie wyblakłych fotografii prasowych. Blizny na czole i przy ustach, samodzielnie strzyżone włosy i brak obu górnych siekaczy nadawały mu wygląd odpychającego abnegata. Spod postrzępionych mankietów skórzanej kurtki wystawały szczupłe przeguby z wydatnymi kostkami przypominającymi kajdanki.

Wsiadł do swojego samochodu. Był to dziesięcioletni model lincolna continental, pojazdu tej samej marki co odkryta limuzyna, w której zginął prezydent Kennedy. Przypomniałem sobie, że jedną z obsesji Vaughana był zamach na Kennedy'ego.

Wrzucił wsteczny bieg i wycofał się ocierając błotnikiem lincolna o moje kolano. Kiedy zjeżdżał pochylnią, przeszedłem na drugą stronę dachu. To pierwsze spotkanie z Vaughanem wryło mi się silnie w pamięć. Wiedziałem, że motywy, dla których mnie śledził, nie mają nic wspólnego z zemstą czy szantażem.

Poczawszy od spotkania na dachu lotniskowego parkingu, czułem wciąż obecność Vaughana. Nie śledził mnie już ostentacyjnie, lecz majaczył niczym tajny agent gdzieś na peryferiach mego życia, bez przerwy mnie monitorując. Pędząc pasami szybkiego ruchu Western Avenue zerkałem co chwila we wsteczne lustro oraz przemiatiałem wzrokiem parapety kładek dla pieszych i wielopiętrowych parkingów.

W jakimś sensie zwerbowałem już Vaughana do mojego polowania na ślepo. Tkwiłem w korku na wiadukcie, a aluminiowe ściany autobusów linii lotniczych przesłaniały mi niebo. Obserwując z naszego balkonu zapchane pasma drogi szybkiego ruchu, kiedy Catherine przygotowywała dla nas drinki, dochodziłem do przekonania, że klucz do tego bezkresnego metalizowanego krajobrazu leży gdzieś w tych stałych, powtarzających się układach ulicznego ruchu.

Na szczęście Paul Waring, mój współnik, zauważył szybko meksjanistyczne obsesje, jakim ulegałem. Umówił się z Catherine, że będą ograniczali czas moich wizyt w biurach wytwórni do godziny dziennie. Przyjemnie zmęczony i podekscytowany wdałem się w absurdalną kłótnię z sekretarką Waringa. Wszystko to jednak było jakieś trywialne i nierealne. Przejąłem się o wiele bardziej, kiedy lokalny dealer dostarczył mi nowy samochód.

Catherine podeszła do mojego wyboru z nieskrywaną podejrzliwością. Marka i model wozu były dokładnie takie same co samochodu, w którym się rozbiłem. Wybrałem nawet ten sam rodzaj bocznego lusterka i chlapa czy. Przy-

glądały mi się krytycznie, ona i jej sekretarka, na dziedzińcu biur lotniska towarowego. Karen stała za Catherine niemal dotykając jej łopatkę wystawionym łokciem. Przypominała młodą i ambitną madame mającą oko na swoje ostatnie odkrycie.

- Po co nas tu wywołałaś? - spytała Catherine. - Nie wydaje mi się, żeby któraś z nas miała jeszcze ochotę oglądać jakieś samochody.

- A już na pewno nie ten, pani Ballard.

- Czy Vaughan cię śledzi? - spytałem Catherine. - Rozmawiałaś z nim w szpitalu.

- Powiedział, że jest fotografem policyjnym. Czego on chce?

Karen nie odrywała oczu od mojej pokiereszowanej głowy.

- Trudno uwierzyć, że występował kiedyś w telewizji.

Z pewnym wysiłkiem wytrzymałem wzrok Karen. Przyglądała mi się niczym jakieś drapieżne zwierzę, które zaraz wyszczerzy kły skryte za pociągniętymi srebrną szminką wargami.

- Czy ktoś widział go na miejscu wypadku?

- Nie mam pojęcia. Zamierzasz rozbić się jeszcze raz specjalnie dla niego? - Catherine obchodziła w kółko samo chód. Potem, usadowiwszy się w przednim fotelu pasażera, zaczęła wciągać w nozdrza ostrą woń nowiutkiego winyłu.

- Wcale nie myślę o kraksie.

- Dostajesz obsesji na punkcie tego Vaughana... wciąż o nim mówisz. - Catherine patrzyła przez nieskazitelną przednią szybę, siedząc w sformalizowanej pozie z rozchylonymi lekko udami.

Uderzył mnie kontrast pomiędzy tą wspaniałą pozą a szklanymi ścianami budynków lotniska i salonowym lśnieniem nowego samochodu. Siedząc w dokładnej replice pojazdu, w którym się o mało nie zabiłem, wyobrażałem sobie pogniecione błotniki i kratkę wlotu chłodnicy, precyzyjną deformację profilu maski, boczne przemieszczenie słupków przedniej szyby. Trójkąt wzgórką łonowego Catherine przypomniał mi, że do pierwszego aktu seksualnego dopiero w tym samochodzie dojdzie.

Pokazałem przepustkę dozorca parkingu policyjnego w Northolt, kustoszowi tego muzeum wraków. Było mi trochę nieswojo. Czuję się jak mąż odbierający żonę z aresztu w jakimś dziwnym, perwersyjnym śnie. Pod murem

byłego kina pławiło się w słońcu ze dwadzieścia rozbitych pojazdów. W samym końcu wyasfaltowanego placu stała ciężarówka z kabiną tak doszczętnie zmiażdżoną, jakby wokół ciała kierowcy skurczyły się gwałtownie wymiary przestrzeni.

Podeksytowany nagromadzonymi tu deformacjami przechodziłem od samochodu do samochodu. Pierwszy pojazd, niebieska taksówka, uderzony został w sam przedni reflektor - karoseria z jednej strony była nietknięta, z drugiej przednie koło wbiło się do kabiny aż po fotel pasażera. Obok stało białe kombi, po którym musiało przejechać coś ogromnego. W poprzek dachu wgniecione go aż po garb osłony wału napędowego między siedzeniami biegły ślady olbrzymich opon.

Rozpoznałem mój samochód. Z przedniego zderzaka zwisał kawałek linki holowniczej, a blachy karoserii zapaćkane były olejem i smarem. Przetarłem dłonią zabłoconą szybę i zajrzałem do kabiny. Odruchowo ukląknęłam przed maską i popatrzyłam na pogniecione błotniki i kratkę wlotu chłodnicy.

Przez kilka minut oglądałem swój rozbity samochód, odtwarzając jego tożsamość. Straszne wydarzenia przetaczały się na jego sflaczałych kołach przez mój umysł. Najbardziej zaskakiwały mnie rozmiary uszkodzeń. Podczas kraksy maska wybrzuszyła się nad przedziałem silnika, ukrywając przed moim wzrokiem prawdziwe skutki kolizji. Oba przednie koła i silnik wtłoczone zostały do kabiny, wypiętrzając podłogę. Na masce widniały jeszcze ślady krwi, pasemka czarnej koronki biegnące ku rynienkom wycieraczek przedniej szyby. Fotel i kierownica spryskane były maleńkimi plamkami. Wspomniałem tamtego martwego mężczyznę leżącego na masce. Krew ciekąca potłuczonymi komórkami była płynem o wiele potężniejszym od stygnącego w jego jądrach nasienia.

Przez plac szło dwóch policjantów z czarnym owczarkiem alzackim. Przyglądali mi się, jak kręcę się przy samochodzie, nie wiedzieć, czemu zniesmaczeni tym, że go dotykam. Kiedy zniknęli, spróbowałem otworzyć drzwiczki od strony kierowcy. Musiałem mocno szarpnąć, żeby pokonać ich opór.

Wsunąłem się na zakurzony winylowy fotel, odchylony do tyłu na skutek wybrzuszenia, jakie powstało w podłodze. Kolumna kierownicy cofnęła się i miałem ją teraz o dobre piętnaście centymetrów bliżej klatki piersiowej. Wciągną-



lem rozdygotane nogi do samochodu i położyłem stopy na gumowych nakładkach pedałów, które siłą uderzenia wypchnęła z przedziału silnika tak wysoko, że kolana miałem teraz pod brodą. Wybrzuszyła się również do środka deska rozdzielcza, przez co popękały skale zegara i prędkościomierza. Siedząc w zdeformowanej kabinie wypełnionej kurzem i wilgotnymi dywanikami, starałem się wyobrazić sobie siebie w momencie kolizji, wyobrazić to zachwianie technicznej zależności pomiędzy moim ciałem, rozciągliwością skóry i wytrzymałością konstrukcji, na której była rozpięta. Przypomniałem sobie wizytę z bliskim przyjacielem w Muzeum Wojny Imperialnej i patos, który otaczał fragment kokpitu japońskiego myśliwca Zero z okresu drugiej wojny światowej. Kłęb elektrycznego okablowania i podarta brezentowa taśma na podłodze wyrażały całą izolację wojny. W zmatowiałym perspeksie osłony kokpitu zastygł fragmentecik pacyficznego nieba, ryk silnika samolotu rozgrzewanego przed trzydziestu laty na pokładzie lotniskowca.

Przyglądałem się przez chwilę dwóm policjantom, którzy ćwiczyli psa w drugim końcu placu. Potem otworzyłem schowek w desce rozdzielczej i siłą odgiąłem drzwiczki do dołu. Wewnątrz znajdowało się kilka pokrytych kurzem i płatkami łuszczącego się plastyku rzeczy, których zwrotu Catherine nie mogła się doprosić: zestaw map drogowych, umiarkowanie pornograficzna powieść, którą pożyczyła mi Renata, fotografia z polaroida, którą zrobiłem jej obok zbiorników wodnych, kiedy siedziała w samochodzie z obnażoną lewą piersią.

Odciągnąłem popielniczkę. Metalowa tacka wyskoczyła mi na kolana i wysypało się z niej kilkanaście usmarowanych szminką niedopałków. Każdy z tych papierosów, wypalonych przez Renatę, kiedy jechaliśmy z biura do jej mieszkania, przypominał mi o jednym z aktów seksualnych, do jakich między nami doszło. Spoglądając teraz z góry na to małe muzeum podniecenia i możliwości, uświadomiłem sobie, że zgnieciona kabina mojego samochodu, przypominająca jakiś dziwny pojazd zaadaptowany do potrzeb skrajnego kaleki, jest idealnym modulem do podróży we wszystkie nabierające tempa przyszłości mego życia.

Przed samochodem ktoś przeszedł. Z dyżurki przy bramie doleciało wołanie policjanta. Przez przednią szybę ujrzałem kobietę w białym płaszczu przeciwdeszczowym idącą

wzdłuż rzędu rozbitych samochodów. Pojawienie się na tym złomowisku atrakcyjnej kobiety, przechodzącej od samochodu do samochodu niczym inteligentny widz w galerii sztuki, wyrwało mnie z zadumy nad tymi dwunastoma niedopałkami. Kobieta zbliżyła się do sąsiedniego wozu, kabrioletu z tyłem sprasowanym w jakiejś potężnej kraksie. Miała inteligentną twarz, twarz pracownicy lekarskiej, wysokie czoło maskowane przez opadające nań włosy, i patrzyła na to, co zostało z miejsca pasażera.

Pod wpływem impulsu chciałem się już wygramolić z auta, ale powstrzymałem się i dalej siedziałem cicho za kierownicą. Helen Remington odwróciła się od rozbitego kabrioletu. Zerknęła na maskę mojego samochodu, najwyraźniej nie rozpoznając w nim pojazdu, który uśmiercił jej męża. Podnosząc wzrok dostrzegła mnie poprzez dziurę po przedniej szybie, siedzącego za zdeformowaną kierownicą pośród plam zakrzepłej krwi jej męża. Jej oczy ledwie zmieniły wyraz, ale ręka powędrowała odruchowo do policzka. Chłoneła uszkodzenia mojego samochodu, przenosząc uwagę z wgiętej kratki wlotu chłodnicy na uniesione wysoko koło kierownicy, które trzymałem w rękach. Potem przystąpiła do szybkich oględzin mojej osoby, mierząc mnie badawczym wzrokiem jak lekarka mająca przed sobą trudny przypadek pacjenta cierpiącego na zespół objawów pobjażania samemu sobie.

Oddaliła się w stronę rozbitej ciężarówki. A mnie uderzył znów nienormalny sposób, w jaki stawiała nogi. Wewnętrzne powierzchnie ud osadzonych w szerokiej miednicy wykręcały się na zewnątrz, obnażając się jakby przed szeregiem rozbitych pojazdów. Czyżby czekała, aż odwiedzę to policyjne złomowisko? Wiedziałem, że jakiegoś rodzaju konfrontacja między nami jest nieuchronna, ale na tę świadomość nakładały się już inne odczucia - litość, erotyzm, nawet dziwna zazdrość o zabitego, którego ona знаła, a ja nie.

Kiedy wracała, wysiadłem i czekałem na nią na poplamionym olejem asfalcie przed moim wozem.

Pokazała na rozbite pojazdy.

- Jak po takim czymś ludzie mogą jeszcze spojrzeć na samochód, nie mówiąc już o prowadzeniu? - Kiedy nie odpowiadałem, dodała matowym głosem: - Próbuję odnaleźć samochód Charlesa.

- Nie ma go tu. Może policja jeszcze go trzyma. Ich technicy...  
- Powiedzieli, że tu jest. Dzisiaj rano mi powiedzieli. - Spojrzała krytycznie na moje auto, zaintrygowana jakby jego zwichromianą geometrią, której przedłużenie znajdowała w moim spaczyonym charakterze. - To pański wóz?

Wyciągnęła rękę w rękawiczce i dotknęła kratki wlotu chłodnicy, wymacując chromowane żeberko wyłamane z rzędu innych, jak gdyby pośród spryskanego krwią metalu szukała jakiegoś śladu obecności męża. Nie odzywałem się nadal do tej znużonej kobiety, a czułem, że powinienem przeprosić ją formalnie za spowodowanie śmierci jej męża i wstrząsający akt gwałtu, w którym braliśmy udział. Jednocześnie jej obleczona w rękawiczkę dłoń na porysowanym chromie budziła we mnie ostre seksualne podniecenie.

- Rozedrze sobie pani rękawiczkę. - Odciągnąłem jej rękę od kratki. - Chyba nie powinniśmy tu przychodzić... Dziwię się, że policja bardziej tego nie utrudnia.

Jej silny nadgarstek opierał się moim palcom z czymś w rodzaju przewrotnej irytacji, jakby przeprowadzała próbę dokonania na mnie fizycznej zemsty. Nie odrywała oczu od czarnego konfetti rozsianego po masce i siedzeniach.

- Bardzo pan ucierpiał? - spytała. - Chyba widzieliśmy się w szpitalu.

Świadom niemal obsesyjnego sposobu, w jaki zgarniała sobie włosy na policzek, stwierdziłem, że nie potrafię nic jej powiedzieć. Jej silne ciało z emanującą zeń nerwową seksualnością tworzyło potężną więź z powginanym i ubłoconym samochodem.

- Wcale nie chcę znaleźć tego samochodu - wyznała. - Prawdę mówiąc, bałam się, że będę musiała płacić za jego ściągnięcie.

Nie odchodziła, obserwując mnie z mieszaniną wrogości i zaciekawienia, zupełnie jakby przyznawała, że motywy, które sprowadziły ją na to złomowisko, są tak samo niejednoznaczne jak moje. Wyczuwałem to w wysubtelnym, trzeźwym sposobie, w jaki rozważała już możliwości, które przed nią otworzyłem, oglądając ten wytwór perwersyjnej techniki, który zabił jej męża i zamknął główną aleję jej życia.

Zaproponowałem, że ją podwiozę.

- Dziękuję. - Ruszyła przodem. - Na lotnisko, jeśli pan uprzejmy.

- Na lotnisko? - Ogarnęło mnie dziwne poczucie straty. - Po co...? Wyjeżdża pani?

- Jeszcze nie, choć przekonałam się, że niektórym ludziom byłoby to w smak. - Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i obdarzyła mnie smutnym uśmiechem. - Śmierć w rodzinie lekarza wzbudza niepokój u pacjentów.

- Jak rozumiem, nie nosi się pani na biało, żeby ich uspokoić?

- Jeśli będę chciała, ubiorę się w krwawe kimono. Zajęliśmy miejsca w moim samochodzie. Powiedziała mi, że pracuje w dziale imigracyjnym londyńskiego lotniska. Odsuwając się ode mnie na stosowną odległość, oparła się o słupek drzwiczek i omiotła wnętrze wozu, to oczywiście wskrzeszenie gładkiego winylu i polerowanego szkła, krytycznym spojrzeniem. Potem zaczęła śledzić gesty moich rąk uruchamiających samochód. Nacisk jej ud na gorący plastik siedzenia wprowadzał mnie w intensywne podniecenie. Domyślałem się już, że ona ma tego świadomość. Za sprawą jakiegoś przerażającego paradoksu, akt seksualny między nami byłby dla niej formą zemsty.

Na północnej nitce drogi szybkiego ruchu z Ashford do londyńskiego portu lotniczego utworzył się potężny korek. Słońce przypiekało przegrzane ciała. Zmęczeni kierowcy wychylali się przez otwarte okna, słuchając niekończących się wiadomości płynących z radiów. Niedoszli pasażerowie uwięzieni w autobusach linii lotniczych obserwowali bezradnie odrzutowce podrywające się do lotu z odległych pasów startowych lotniska. Na północ od budynków terminalu widziałem zatkaną samochodami jezdnię wiaduktu nad tunelem prowadzącym na lotnisko. Odnosiłem wrażenie, że zaraz dojdzie do odtworzenia w zwolnionym tempie naszej kraksy.

Helen Remington wyciągnęła z kieszeni płaszcza paczkę papierosów. Zaczęła szukać zapalniczki w desce rozdzielczej. Jej prawa ręka poruszała się nad moimi kolanami niczym spłoszony ptak.

- Chce pan papierosa? - Zdarła silnymi palcami celo fan. - Zaczęłam palić w Ashford... to chyba nierozsądne z mojej strony.

- Proszę tylko spojrzeć na ten tłok... nie odmówię żadnego środka uspokajającego.

- Teraz jest o wiele gorzej - zauważył pan, prawda? W dniu, kiedy wypisali mnie z Ashford, odnosiłam niesamowite wrażenie, że wszystkie te samochody zbierają się w jakimś określonym celu, którego nie rozumiem. Zdawało się ich dziesięć razy więcej niż zwykle.

- Czy my sobie to wyobrażamy? Pokazała papierosem na wnętrzu samochodu.

- Kupił pan sobie znowu dokładnie taki sam samochód. Ten sam kształt i kolor.

Odwróciła się twarzą do mnie, nie próbując już ukrywać szpecącej ją blizny. Byłem w pełni świadom zbliżającej się silnej powrotnej fali wrogości. Dowlekliśmy się z ospałą rzeką pojazdów do skrzyżowania w Stanwell. Jechałem w kolejce samochodów zastanawiając się już, jak też Helen Remington zachowuje się w trakcie stosunku seksualnego. Próbowałem sobie wyobrazić jej szerokie usta obejmujące penisa męża, smukłe palce szukające między jego pośladekami prostaty. Wystawiła rękę przez okno i dotknęła żółtego korpusu zatrzymującej się obok nas cysterny, której wielkie tylne koła przetoczyły się zaledwie kilkanaście centymetrów od jej łokcia. Korzystając z tego, że odczytuje instrukcje przeciwpożarowe wymalowane na zbiorniku, spojrzałem na jej silne łydki i uda. Czy upatrzyła już sobie mężczyznę, bądź kobietę, z którą odbędzie następny akt seksualny? Wraz ze zmieniającymi się światłami poczułem, jak budzi się do życia mój penis. Zmieniłem pas ruchu z szybkiego na wolny, wjeżdżając przed cysternę.

Luk wiaduktu piął się pod niebo, północny zjazd z niego zasłaniał biały prostokąt fabryki tworzyw sztucznych. Niewzruszone, prostopadłościennie bryły tego budynku zlewały mi się z konturami łydek i ud Heleny Remington napierającymi na winylowe siedzenia. Najwyraźniej nieświadoma, że zmierzamy ku miejscu naszego pierwszego spotkania, Helen Remington to zakładała nogę na nogę, to je rozkrzyżowywała, błyskając tymi białymi kolumnami na tle frontowych elewacji przesuwającej się za oknem fabryki tworzyw sztucznych.

Odbiłem od chodnika. Pędziliśmy w kierunku skrzyżowania z odnogą drogi szybkiego ruchu Drayton Park. Helen Remington chwyciła się chromowanego słupka owiewki, omal nie upuszczając sobie papierosa na kolana. Usiłując panować nad samochodem, docisnąłem czubek penisa do dolnego brzegu koła kierownicy. Samochód skręcił ku pierwszemu punktowi zderzenia z krawężnikiem centralnego pasa zieleni. Linie na jezdni umykały nam po przekątnej spod kół, gdzieś za moim ramieniem zamierał ryk czyjś klaksonu. Szyby migotały w słońcu niczym lampy morse'a.

Struga nasienia runęła moim penisem. Straciłem panowanie nad kierownicą i przednie koło uderzyło w krawężnik centralnego pasa zieleni, ciskając w przednią szybę tornadem kurzu i pustych paczek po papierosach. Samochód skręcił ostro z pasa szybkiego ruchu i pomknął prosto na autobus linii lotniczych wyłaniający się z nawrotu. Wyhamowałem tuż za autobusem. Nasienie ściekało mi z penisa. Zamarł ostatni dreszcz tego małego orgazmu.

Poczułem na ramieniu dłoń Helen Remington. Przesunęła się na środek siedzenia, napała silnym ramieniem na moje ramię i nakryła dłonią moją rękę ściskającą kierownicę. Obserwowała trąbiące samochody, które wyprzedzały nas z obu stron.

- Zjedź tutaj... musisz trochę ochłonać.

Skręciłem w boczną drogę prowadzącą na opuszczone betonowe aleje osiedla bungalowów. Przez godzinę krążyliśmy pustymi ulicami. Pod bramami bungalowów stały dziecięce rowery i kolorowe wózki. Helen Remington trzymała mnie pod ramię, oczy miała skryte za okularami przeciwsłonecznymi. Opowiadała mi o swojej pracy w dziale imigracyjnym lotniska i o trudnościach z poświadczeniem autentyczności ostatniej woli męża. Czy wiedziała, co zaszło w moim samochodzie, czy wiedziała, że przemierzałem tę trasę tyłoma różnymi pojazdami i że uczciłem śmierć jej męża zespoleniem naszych obrażeń i mojego orgazmu?

Ruch gęstniał, rozbiegające się na boki betonowe jezdnie przesłaniały krajobraz. Wracaliśmy z Catherine z przesłuchania u koronera, a mnie te poskręcane zwoje piętrzących się jedno nad drugim pasm wiaduktów przywodziły na myśl kopulujących olbrzymów, którzy okraczają się nawzajem kłocowatymi nogami. Suchy, bezduszny werdykt uznawał ponownie, że śmierć nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku; policja nie wysuwała wobec mnie żadnych oskarżeń o nieumyślne pozbawienie człowieka życia ani o nieostrożną jazdę. Po przesłuchaniu pojechałem z Catherine do jej biura. Siedziałem przez pół godziny przy oknie, patrząc z góry na setki samochodów stłoczonych na parkingu. Ich dachy tworzyły metalowe jezioro. Za plecami Catherine stała jej sekretarka i czekała, aż sobie wreszcie pójdę. Kiedy podawała Catherine okulary, zauważyłem, że usta ma wciąż pociągnięte białą szminką, prawdopodobnie dla uczczenia tego dnia śmierci.

Catherine odprowadziła mnie do hallu.

- James, musisz iść do pracy -uwierz mi, kochanie, staram się ci pomóc, jak mogę. - Dotknęła niepewnie mego prawego ramienia, jakby spodziewała się wyczuć tam jakąś nową rozkwitającą dopiero ranę. Przez całe przesłuchanie ścisnęła mnie dziwnie za rękę, jakby w obawie, że wyfrunę przez okno.

Nie mając ochoty na droczenie się z gburowatymi, wyniosłymi taksówkarzami, których interesują jedynie kursy do Londynu, ruszyłem przez parking przed budynkiem lot-

niczego portu towarowego. Nade mną pasażerski odrzutowiec prul z wizgiem metalizowane powietrze. Kiedy przeleciał, uniosłem głowę i po prawej stronie, jakieś sto metrów od siebie, dostrzegłem doktor Helen Remington kluczącą między samochodami.

Na przesłuchaniu nie potrafiłem oderwać oczu od blizny na jej twarzy. Patrzyłem, jak idzie spokojnie wśród rzędów samochodów w kierunku wejścia do działu imigracyjnego lotniska. Wysuwała beztrzesko zarysowaną zdecydowanie szczękę i odwracała głowę udając, że mnie nie widzi, zupełnie jakby pragnęła ostentacyjnie wytrzeć ze świadomości wszelkie ślady mojego istnienia. Jednocześnie odnosiłem przemożne wrażenie, że jest kompletnie zagubiona.

Tydzień po przesłuchaniu, odjeżdżając spod biura Catherine, zauważyłem ją na postoju taksówek pod Terminalem Oceanicznym. Zawołałem do niej, zatrzymałem się za autobusem linii lotniczych i zapraszającym gestem wskazałem na fotel pasażera. Wymachując torebką zawieszoną za pasek na przegubie podeszła do mego samochodu i, rozpoznawszy mnie dopiero teraz, skrzywiła się.

Kiedy jechaliśmy w kierunku Western Avenue, z niekłamanym zainteresowaniem śledziła ruch na drodze. Odgarnęła włosy z twarzy, z premedytacją odsłaniając zanikającą już szramę.

- Dokąd cię podwieźć?

- A możemy trochę pokrażyć? - zapytała. - Taki ruch dzisiaj... lubię na niego patrzeć.

Czyżby kpila sobie ze mnie? Domyślałem się, że na swój trzeźwy sposób oceniała już możliwości, jakie przed nią otworzyłem. Teraz z poziomu ulicy i z dachów wielopiętrowych parkingów śledziła bystrym, chłodnym okiem technikę, która sprowadziła śmierć na jej męża.

Zaczęła paplać z wymuszonym ożywieniem:

- Wczoraj wsiadłam do taksówki i kazałam kierowcy, żeby powoził mnie trochę bez celu. „Wszystko jedno gdzie”, powiedziałam. Ugrzęźliśmy w potężnym korku przed tunelem. Nie wiem, czy ujechaliśmy w sumie pięćdziesiąt metrów. Jego to ani trochę nie wzruszyło.

Jechaliśmy Western Avenue, mając po lewej budynki zaplecza lotniska i ogrodzenie. Trzymałem się pasa wolnego



ruchu, w lusterku wstecznym widziałem zostającą w tyle jezdnię wiaduktu. Helen opowiadała o drugim życiu, jakie już sobie planowała.

- W Laboratorium Badawczym Ruchu Drogowego potrzebują konsultanta medycznego - wyższa pensja, a to muszę w obecnej sytuacji brać pod uwagę. W materializmie jest pewna czystość moralna.

- Laboratorium Badawcze Ruchu Drogowego... - powtórzyłem. W telewizyjnych programach dokumentalnych pokazywano często materiały filmowe z symulowanych kraks samochodowych; z tymi okaleczanymi maszynami wiązał się dziwny patos. - Czy to aby nie za szybko po...?

- W tym właśnie rzecz. Oprócz tego wiem, że teraz mogę wnieść od siebie coś, istnienia czego dawniej zupełnie sobie nie uświadamiałam. To nie tyle sprawa obowiązku, ile zaangażowania.

Piętnaście minut później, kiedy jadąc z powrotem w stronę wiaduktu obieraliśmy znowu kurs na zderzenie, już w milczeniu śledziła ruchy moich rąk manipulujących kierownicą i drażkiem zmiany biegów.

To samo spokojne, a przy tym zaciekawione spojrzenie, jak gdyby wciąż nie bardzo wiedziała, w jaki sposób mnie wykorzystać, spoczęło na mej twarzy wkrótce potem, kiedy zatrzymałem samochód na pustej służbowej drodze pośród zbiorników na wodę ustawionych na zachód od lotniska. Otoczyłem ją ramieniem, a ona uśmiechnęła się przelotnie do siebie. Nerwowy skurcz górnej wargi odsłonił złotą koronkę na prawym siekaczu. Dotknąłem jej ust swoimi, ugniatając woskową skorupę pastelowej szminki i patrząc, jak jej ręka wędruje ku chromowanemu słupkowi owiewki. Przywarłem wargami do obnażonego, nieskazitelnego szkliwa jej górnych zębów, zafascynowany ruchem jej palców, którymi jęła wodzić po gładkim chromie słupka. Powierzchnię jego przedniej krawędzi znaczyła smuga niebieskiego lakieru pozostawiona przez nieuważnego robotnika z linii produkcyjnej, zaczynająca się od parapetu okna i pnąca skosem w górę pod tym samym kątem, co betonowa skarpa rowu irygacyjnego przebiegającego trzy metry od samochodu. Skubała owo zgrubienie paznokciem palca wskazującego. Paralaksa ta zlewała mi się z obrazem porzuconego

auta leżącego w przyprószonej rdzą trawie u stóp nasypu zbiornika. Krótkotrwała lawina pudru, która opadła jej na oczy z powiek, kiedy przesunąłem po nich wargami, niosła w sobie całą melancholię tego bezpieczeństwa pojazdu, oleju wyciekającego mu z silnika i płynu sączącego się z chłodnicy.

Sześćset metrów za nami, na górującej nad okolicą drodze szybkiego ruchu powstał zator, a po szybach tkwiących w nim autobusów linii lotniczych i samochodów osobowych wędrował odbłask popołudniowego słońca. Sunąc dłonią po zewnętrznej krzywiznie uda Helen natrafiłem na rozsunięty zamek błyskawiczny spódnicy. Ostre jak igły ogniwka skaleczyły mi kłykcie i w tym samym momencie poczułem jej zęby na uchu. Ostrość bólu towarzyszącego obu tym doznaniom przypominała mi kąsanie okruciami szkła z roztrzaskanej przedniej szyby, siekących mi twarz podczas mojej kraksy. Helen rozchyliła nogi i zacząłem gładzić jej wzgórek łonowy osłonięty nylonową siateczką, wspaniałym welonem dla lędźwi tej poważnej lekarki. Spoglądając na jej twarz, na spragnione, zdyszane usta gotowe same siebie pożreć, ująłem jej rękę i zatoczyłem nią krąg wkoło biustu. Mówiła teraz do siebie bez związku, jak nieprzytomna ofiara wypadku. Wyłuskała prawą pierś ze stanika i docisnęła moją dłoń do gorącego sutka. Złożyłem pocałunek na jednej, potem na drugiej piersi, przygryzając narbrzmiałe sutki każdej zębami.

Wabiąc mnie swym ciałem w tej altanie ze szkła, metalu i winylu, Helen wsunęła mi rękę pod koszulę i poszukała moich sutków. Naprowadziłem jej rękę na swojego penisa. Zacisnęła na nim palce. We wstecznym lusterku dostrzegłem nadjeżdżającą ciężarówkę służb wodociągowych. Przemknęła mimo z rykiem, ciągnąc za sobą obłok kurzu i spalin z dieslowskiego silnika, które zabębniły o drzwiczki mojego wozu. Raptowny przypływ podniecenia wpompował mi w penisa pierwsze krople nasienia. Dziesięć minut później, kiedy ciężarówka wróciła, wprowadzone w wibrację szyby doprowadziły mnie do orgazmu. Helen klęczała nade mną okramkiem, wspierając się łokciami o oparcie fotela po obu stronach mojej głowy. Odchyliłem się do tyłu, czując pod plecami gorący, wonny winyl. Zadarłem jej spódnicę powyżej talii, by widzieć obłóć bioder. Powolnymi ruchami miednicy unosiłem ją i opuszczałem, napierając twardym

penisem na łechtaczkę. Elementy jej ciała, jej kanciaste rzepki kolanowe pod moimi łokciami, jej prawa pierś uwolniona z miseczki stanika, małe znamię pod sutkiem, wszystko to obramowane było kabiną samochodu. Dociskając żołądź do szyjki macicy, w której wyczuwałem maszynę śmierci - wkładkę, rozglądałem się po otaczającym mnie ciasnym wnętrzu. Kanciaste powierzchnie elementów wyposażenia i opływowe fragmenty ludzkich ciał, które to wnętrze wypełniały, korespondowały ze sobą w nieznanym związku, przywodzących na myśl pierwszy akt homoseksualnego stosunku w kabinie kapsuły Apollo. Na silne uda Helen ścisnące moje biodra, na jej lewą pięść wtłoczoną w mój bark, na jej usta dyszące chrapliwie tuż przy moich, na kształt i wilgotność jej odbytu, który pocierałem palcem serdecznym, na wszystko to nakładały się wytwory łaskawej techniki - wytłaczane oprawy skal zegarów, profilowany pancierz osłony kolumny kierownicy, ekstrawagancki pistoletowy uchwyt dźwigni ręcznego hamulca. Pomacałem ciepły winyl sąsiedniego siedzenia, a potem zacząłem gładzić wilgotną przełącz krocza Helen. Nacisnęła dłonią moje prawe jądro. Plastikowe laminaty wokół mnie miały ten sam odcień wyblakłego antracytu, co jej włosy łonowe rozdzielone westybulum sromu. Kabina otaczała nas niczym maszyna generująca z naszego aktu seksualnego homunkulusa z krwi, nasienia i płynu chłodzącego. Czując penisa w pochwie Helen, wsunąłem palec w jej odbyt. Jego membrany, cienkie jak błony śluzowe jej nosa, który muskałem językiem, odbijały się w szklanych szybkach zegarów z deski rozdzielczej, w regularnej krzywiznie przedniej szyby.

Ugryzła mnie w lewy bark. Krew splamiła mi koszulę niczym ślad po szmince. Odruchowo uderzyłem ją otwartą dłonią w bok głowy.

- Przepraszam! - wydyszała mi w twarz. - Nie poruszaj się, proszę! - Wprowadziła sobie penisa z powrotem do pochwy. Ścisnąc obiema rękami jej pośladki, gwałtownymi wyrzutami bioder zmierzalem gorączkowo ku orgazmowi. Helen Remington przyglądała mi się z góry w skupieniu, zupełnie jakby przywracała do życia pacjenta. Błyszcząca warstewka wilgoci na skórze wokół jej ust przypominała mi rosę osiadającą rano na przedniej szybie. Przez chwilę pompowała zapamiętałe pośladkami, napierając na mnie kością łonową, potem odchyliła się i oparła o deskę

rozdzielczą. W tym samym momencie drogą przemknął z łomotem land rover, miotając chmurą kurzu w okna.

Tuż przed wytryskiem uniosła się, zsuwając z mojego penisa, i nasienie bluznęło mi na krocze. Helen siedziała oparta plecami o kierownicę, trzymając w ręku wilgotny żołądz. Rozglądała się po kabinie, zastanawiając się jakby, do czego mógłby jeszcze posłużyć nasz akt seksualny. Zanikająca szrama na jej twarzy, oświetlana przez popołudniowe słońce, odznaczała te ukryte motywy niczym tajemna granica zaanektowanego terytorium. Z zamiarem pocieszenia w jakiś sposób Helen, wyłuskałem jej lewą pierś ze stanika i zacząłem ją pieścić. Wodziłem przy tym wzrokiem po wysadzanej klejnotami grocie deski rozdzielczej, po obudowie sterzącej kolumny kierownicy i po chromowych główkach przełączników, radośnie poruszony znajomą geometrią tego wszystkiego.

Na drodze za nami pojawił się wóz policyjny. Jego biały kadłub telepał się ciężko po wertepach. Helen zsunęła się na siedzenie obok i wprawną ręką upchnęła piersi z powrotem w stanik. Szybko doprowadziła do porządku ubranie i przeglądając się w lusterku puderniczki zaczęła poprawiać sobie makijaż. Z taką samą szybkością, z jaką zaczęliśmy, nabrała teraz dystansu do własnej seksualności.

Okazało się potem, że Helen Remington zawsze szybko przechodzi do porządku nad takimi nietypowymi wyskokami, jak akty seksualne w ciasnej kabinie mojego samochodu zaparkowanego na rozmaitych bocznych drogach, w zaułkach i pustych o północy alejach. Kiedy w ciągu kilku następnych tygodni przyjeżdżałem po nią pod dom, który wynajęła w Northolt, albo czekałem na nią w recepcji lotniskowych biur imigracyjnych, nie chciało mi się wierzyć, że łączy mnie jakiś seksualny związek z tą wrażliwą lekarką w białym fartuchu, wysłuchującą z pobłażaniem nie trzymających się kupy wyjaśnień zagruźliczonego Pakistańczyka.

Dziwne to, ale do aktów seksualnych między nami dochodziło wyłącznie w moim samochodzie. W wielkiej sypialni jej wynajętego domu nie byłem nawet w stanie wywołać u siebie erekcji, Helen zaś stawała się tam kłótniwa, rozkojarzona i potrafiła rozmawiać jedynie o nudnych aspektach swojej pracy. Za to po znalezieniu się w moim samochodzie na tłocznych ulicach zapchanych pojazdami, które

wiozły niewidoczną i nie widzącą widownię, potrafilismy podniecić się nawzajem momentalnie. Przy każdej takiej okazji, nawet kiedy usiłowała studzić moje zainteresowanie swoją osobą, nie kryła rosnącego pociągu do mnie i mojego ciała. W każdym akcie seksualnym, do jakiego między nami dochodziło, podsumowywalismy śmierć jej męża, zasiewalimśy na nowo wizję jego ciała w jej pochwie, przekładając to w obrębie metalowo — winylowego wnętrza samochodu na setki układów naszych ust i ud, sutków i języków.

Spodziewalem się, że Catherine lada dzień odkryje moje częste spotkania z tą samotną lekarką, ale ona, ku memu zdziwieniu, okazywała tylko pobieżne zainteresowanie osobą Helen Remington. Catherine oddała się ponownie swojemu małżeństwu. Przed moim wypadkiem nasz związek był od strony seksualnej prawie całkowicie abstrakcyjny, podtrzymywany szeregiem gier wyobraźni i perwersyjnych zachowań. Kiedy rankami wstawała z łóżka, sprawiała wrażenie jakiegoś sprawnego mechanika konserwującego samego siebie: obowiązkowy prysznic; oddanie nagromadzonej przez noc uryny do muszli klozetowej; wyjęcie wkładki domacicznej, przesmarowanie jej i założenie z powrotem (jak, gdzie i z którym z pilotów albo dyrektorów linii lotniczych kochała się podczas przerwy na lunch?); słuchanie wiadomości z radia podczas filtrowania kawy...

Wszystko to teraz minęło, zostało zastąpione skąpym, ale rozrastającym się szybko repertuarem czułości i drobnych dowodów miłości. Kiedy leżała obok mnie, nie bacząc na to, że spóźni się do biura, potrafilem doprowadzić się do orgazmu samym wspomnianiem samochodu, w którym z doktor Helen Remington celebrowalimśy nasze akty seksualne.

Ta miła domowa idylla, z towarzyszącymi jej zachwycającymi stosunkami pozamałżeńskimi, urwała się wraz z pojawieniem się Roberta Vaughana, koszmarne anioła dróg ekspresowych.

Catherine wyjechała do Paryża na trzydniową konferencję przewoźników powietrznych, a ja zabrałem Helen na wyścigi starych samochodów odbywające się na stadionie w Northolt; tak z ciekawości. Kilku kierowców — kaskaderów zaangażowanych do filmu z Elizabeth Taylor kręconego w Shepperton Studios dawało pokaz „jazdy — na — złamanie — karku”. Na bilety krążące po wytwórni i naszych biurach nie było wielu chętnych. Renata, nie pochwalająca mego związku z wdową po człowieku, którego zabiłem, podarowała mi dwa takie, przypuszczalnie powodowana przekorą.

Siedzieliśmy z Helen na świecącej pustkami trybunie i patrzyliśmy, jak chmara sfatygowanych limuzyn ściga się w kółko po żużlowej bieżni. Ze skraju boiska piłkarskiego przyglądał się temu znudzony tłumek. Nad głowami huczał nam głos spikera. Po zakończeniu każdego wyścigu żony kierowców wiwatowały bez specjalnego entuzjazmu.

Helen obejmowała mnie ręką w pasie, dotykając głową mego ramienia. Twarz miała otepiałą od nieustającego ryku nie wyciszonych tłumikami silników.

- Dziwne... myślałam, że tego rodzaju impreza wywoła o wiele większe zainteresowanie.

- Na ulicy można oglądać takie coś za darmo. - Pokazałem na żółtą kartkę z programem. - To powinno być bardziej

zajmujące - „Odtworzenie spektakularnego wypadku drogowego”.

Wyrównano bieżnię i białymi pachołkami wytyczono umowne skrzyżowanie ulic. W boksach pod naszą trybuną stał samochód bez drzwiczek. Do fotela kierowcy przytraczano pasami umorusanego smarem mężczyznę w kurtce nabijanej srebrnymi ćwiekami. Długie do ramion, farbowane na blond włosy miał związane z tyłu głowy szkarłatną szmatą. Jego surową twarz cechowały bladość i wygłodniała ość pozostającego bez pracy robotnika cyrkowego. Rozpoznałem w nim jednego z kaskaderów z wytwórni, byłego kierowcę wyścigowego nazwiskiem Seagrave.

W inscenizacji wypadku - karambolu, do którego doszło zeszłego lata na North Circular Road, i który pociągnął za sobą siedem ofiar śmiertelnych - miało wziąć udział pięć samochodów. Kiedy wyjeżdżały na wyznaczone na boisku pozycje wyjściowe, spiker zaczął pracować nad wzbudzaniem zainteresowania publiczności. Wzmocnione fragmenty jego komentarza niosły się po pustych trybunach, jakby szukały stąd drogi ucieczki.

Pokazałem palcem na wysokiego, odzianego w wojskową kurtkę człowieka z aparatem fotograficznym, który miotał się wokół samochodu Seagrave'a i przekrzykując ryk silnika wydawał mu jakieś instrukcje przez wybite przednie okno.

- Znowu Vaughan. Ten, który rozmawiał z tobą w szpitalu.
- Jest fotografem?
- Szczególnego rodzaju.
- Myślałam, że prowadzi jakieś badania na temat wypadków drogowych. Kazał mi opisywać w najdrobniejszych szczegółach naszą kraksę.

Obecna rola Vaughana na stadionie zdawała się sprowadzać do funkcji reżysera filmowego. Wsparty o słupek przedniej szyby, agresywnymi gestami kreślił założenia jakiejś nowej choreografii gwałtu i kolizji. Można było odnieść wrażenie, że Seagrave jest jego gwiazdą, wielką niewiadomą, od której zależy reputacja Vaughana. Seagrave siedział w niedbalej pozie i pociągając od czasu do czasu dymka z prowizorycznego skręta z haszem, którego trzymał mu Vaughan, regulował napięcie pasów bezpieczeństwa oraz nachylenie kolumny kierownicy. Jego farbowane blond włosy stanowiły ośrodek zainteresowania całego stadionu.

Dowiedzieliśmy się od spikera, że Seagrave będzie prowadził wóz, który wpadająca w poślizg ciężarówka ciśnie pod koła czterech nadjeżdżających z przeciwnika samochodów.

W pewnym momencie Vaughan wbiegł na szczyt trybuny i znikł w znajdującej się za nami budce komentatora. Na chwilę zaległa cisza, po czym z pewnym wzruszeniem oznajmiono nam, że na prośbę Seagrave'a wpadająca w poślizg ciężarówkę poprowadzi jego najbliższy przyjaciel. To ostatnie dramatyczne oświadczenie jakoś nie wprawiło widzów w euforię, ale Vaughan wyglądał na zadowolonego. Schodząc z trybuny przejściem między ławkami uśmiechał się błogo, rozchylając surowe usta o pokiereszowanych wargach. Dostrzegłszy Helen Remington i mnie, pomachał nam radośnie, jak zagorzałym kibicom tego rodzaju patologicznych widowisk.

Dwadzieścia minut później siedziałem już w swoim samochodzie za lincolnem Vaughana, a przez parking prowadzono pod ręce zamroczonego Seagrave'a. Odtworzenie wypadku nie udało się - wóz Seagrave'a, staranowany przez wpadającą w poślizg ciężarówkę, nadział się na jej pocięte zderzaki niczym krótkowzroczny torreador na rogi byka. Ciężarówka pchała go przed sobą przez dobre pięćdziesiąt metrów, by na koniec staranować nim jeden z wozów nadjeżdżających z przeciwnika. Potężna, nie pozorowana kolizja poderwała na nogi całą widownię, z Helen i mną włącznie.

Nieporuszony pozostał tylko Vaughan. Kiedy otumanieni kierowcy gramolili się ze swoich samochodów i wyciągali Seagrave'a zza kierownicy, Vaughan wkroczył szybkim krokiem na boisko i kiwnął rozkazująco na Helen Remington. Ruszyłem za nią przez żuźlową bieżnię, ale Vaughan zupełnie mnie zignorował. Pociągnął Helen za sobą przez tłum mechaników i gapiów.

Chociaż Seagrave, pomimo że bezmyślnie wycierał Usmarowane dłonie w srebrne spodnie kombinezonu i jak ślepiec macał powietrze przed sobą, mógł iść o własnych siłach, Vaughan nakłonił jednak Helen, by towarzyszyła im do Northolt General Hospital. Kiedy ruszyliśmy, poczułem nieodpartą potrzebę trzymania się za samochodem Vaughana, zakurzonym lincolnem z zamontowanym z tyłu re-



flektorkiem. Ledwie Seagrave wczuł się za Helen na tylną kanapę, Vaughan ruszył z kopyta i pomknął poprzez noc. Prowadził z łokciem wystawionym za okno, postukując dłonią o dach. Przypuszczałem, że zachowując się tak nonszalancko sprawdza, czy potrafi mnie zgubić; zwolnił na światłach, obserwując mnie we wstecznym lusterku odczekał aż zrobię to samo, a wtedy przyspieszył raptownie i przeciął skrzyżowanie na żółtym. Wpadając na wiadukt w Northolt przekraczał już sporo dozwoloną prędkość. Jak gdyby nigdy nic, wyprzedził z niewłaściwej strony policyjny wóz patrolowy. Kierowca błysnął światłami, ale ujrawszy na włosach Seagrave'e szkarłatną szmatę, którą wziął chyba za plamę krwi, i ponaglające reflektory mego wozu tuż za sobą, zgłupiał.

Zjechaliśmy z wiaduktu na betonową drogę biegnącą przez zachodnie Northolt, osiedle pracowników lotniska. W małych ogródkach stały tu skromne piętrowe domki oddzielone od siebie płotkami z drucianej siatki. Zamieszkiwał je niższy personel linii lotniczych, pracownicy parkingów, kelnerki i były stewardesy. Wielu z tych ludzi pracowało na zmiany, które odsypiali w popołudnia oraz wieczory, i pokonując puste uliczki widzieliśmy same po zasłanianie okna.

Skręciliśmy w alejkę dojazdową do szpitala. Vaughan minął parking dla odwiedzających, wejście na oddział urazowy i zatrzymał się z piskiem opon na parkingu dla lekarzy konsultantów. Wyskoczył zza kierownicy i skinął na Helen, żeby też wysiadła. Seagrave, przyglądając blond włosy, wygramolił się niezdarnie z tylnej kanapy. Do tej pory nie odzyskał poczucia równowagi i natychmiast oparł swe masywne ciało o słupek przedniej szyby. Patrząc na jego mętne oczy i poobijaną głowę doszedłem do przekonania, że było to tylko ostatnie z długiej serii podobnych zamroczeń. Kiedy Vaughan ujął w dłonie jego głowę, Seagrave splunął w Usmarowane ręce, wziął Vaughana pod rękę i zataczając się ruszył za Helen w stronę oddziału urazowego.

Czekaliśmy na ich powrót. Vaughan siedział w ciemnościach na masce swojego wozu, przecinając udem snop światła płynący z jednego z reflektorów. Po jakimś czasie wstał i zniecierpliwiony zaczął się przechadzać z uniesioną

głową dookoła wozu, nie odwzajemniając spojrzeń wieczornych odwiedzających zmierzających na poszczególne oddziały. Obserwując go ze swojego zaparkowanego obok samochodu uświadomiłem sobie, że nawet teraz Vaughan gra przed tymi anonimowymi przechodniami; trzymał się wciąż w świetle reflektorów, jakby czekał, aż weźmie go w kadr jakaś niewidzialna kamera. Ze wszystkich jego impulsywnych ruchów wyłaził sfrustrowany aktor i to w irytujący sposób determinowało moją reakcję na jego osobę. Krocząc sprężysto w zdartych białych tenisówkach, zaszedł samochód od tyłu i uniósł klapę bagażnika.

Oślepiiony odbiciem reflektorów jego wozu w szklanych drzwiach prowadzących na oddział fizykoterapii, wysiadłem z samochodu i zacząłem się przyglądać, jak Vaughan szuka czegoś wśród aparatów fotograficznych, kamer i lamp błyskowych wypełniających bagażnik. Wybrał kamerę filmową z pistoletowym uchwytem, zatrzasnął bagażnik i wsunął się za kierownicę, zostawiając jedną nogę w wystudiowanej pozie na czarnym asfalcie.

Otworzył drzwiczki od strony pasażera.

- Wsiadaj, Ballard. Zabawią tam dłużej, niż się tej Remington wydaje.

Usiadłem obok niego z przodu lincolna. Przyłożywszy oko do wizjera kamery, zaczął wodzić obiektywem tam i z powrotem po wejściu na oddział urazowy. Po brudnej podłodze pod moimi butami walał się plik zdjęć rozbitych samochodów. Najbardziej intrygowało mnie dziwne ułożenie ud i bioder Vaughana. Odnosiło się niemal wrażenie, że przymierza się do przebiccia genitaliami deski rozdzielczej wozu. Obserwowałem, jak patrząc przez wizjer kamery zwiera uda i zaciska pośladki. Ledwie stłumiłem impuls, który kazał mi chwycić w obie ręce jego penisa i nakierować czubek na podświetlone skale zegarów. Wyobrazilem sobie silną nogę Vaughana wciskającą do dechy pedał gazu. Gnomy zakręcającym pasmem betonu, strzałka prędkościomierza pnie się w górę, a kropelki jego nasienia niwelują stylizowane odstępki między kreskami podziałki.

Moja znajomość z Vaughanem miała trwać od tego pierwszego wieczoru aż do jego śmierci rok później, ale cały jej przebieg zderminowany został w ciągu tych kilku minut, jakie czekaliśmy na parkingu dla lekarzy na Seagrave'a i Helen Remington. Siedząc tak obok niego czułem, że moja

wrogość ustępuje miejsca jakiemuś szacunkowi; może nawet uległości. Styl, w jakim Vaughan prowadził samochód, nadawał ton całej gamie jego zachowań - na zmianę agresji, roztargnieniu, wrażliwości, toporności, zaabsorbowaniu i brutalności. Lincoln miał automatyczną skrzynię, w której brakowało drugiego biegu - poszedł w drobny mak, jak wyjaśnił mi później Vaughan, podczas ulicznego wyścigu z Seagrave'em. Zdarzało się potem, że blokowaliśmy innym drogę wlokąc się Western Avenue pasem szybkiego ruchu dwadzieścia kilometrów na godzinę i czekając, kiedy okaleczona przekładnia wejdzie wreszcie na odpowiednie obroty. Vaughan potrafił się zachowywać niczym paraplegik - kręcił niezdarnie kierownicą, jakby prowadził wóz przystosowany dla inwalidy, i przebierał nieporadnie nogami, a tymczasem w oczach rósł nam tył stojącej na czerwonym świetle taksówki. W ostatniej chwili zatrzymywał wóz z ostrym szarpnięciem, wystawiając sobie jak najgorsze świadectwo w roli kierowcy.

Jego zachowaniem w stosunku do wszystkich kobiet, jakie znał, rządziły te same obsesyjne gry. Do Helen Remington zwracał się zazwyczaj w niedbały, ironiczny sposób, ale kiedy indziej stawał się uprzejmy i pełen szacunku, zwierając mi się bez końca w toaletach lotniskowych hoteli, zachodząc w głowę, czy Helen zgodzi się leczyć żonę i małego synka Seagrave'a, a może i jego samego. Potem coś mu się nagle odmieniało i dyskredytował jej pracę oraz medyczne kwalifikacje. Nawet po ich romansie nastroje Vaughana miały się huścić od uwielbienia do przedłużających się okresów znudzenia. Obserwował ją zza kierownicy swojego samochodu, kiedy szła ku nam z biur działu imigracyjnego, i szacował chłodnym okiem obszary ewentualnych obrażeń.

Vaughan oparł kamerę filmową o brzeg kierownicy. Odchylił się do tyłu, rozstawił nogi i jedną ręką poprawił sobie ciężkie krocze. Biel jego ramion i klatki piersiowej oraz blizny znaczące, jak u mnie, skórę nadawały jego ciału niezdrowy, metaliczny połysk przywodzący na myśl wytarty winyl samochodowego wnętrza. Te najwyraźniej nic dlań nie znaczące nacięcia na skórze, przypominające żłobki pozostawione przez dłuto, upamiętniały ostry uścisk zgniatanej kabiny samochodowej klinującej ciało pękającymi ska-

lami zegarów, wyginającymi się drążkami zmiany biegów i przełącznikami świateł postojowych. Wspólnie definiowały one precyzyjny język bólu i cierpienia, erotyzmu i pożądania. Odbite światło reflektorów wozu Vaughana wyławiało z mroku upięć blizn otaczających jego prawego sutka, znak dla dłoni, która spocznie na jego piersi.

Staliśmy z Vaughanem obok siebie przed pisuarami w ubikacji oddziału urazowego. Zerknąłem na jego penisa, ciekaw, czy on również jest pokryty bliznami. Na żołądki wystającej spomiędzy jego palców wskazującego i środkowego zauważyłem ostrą szramę, jakby kanał odpływowy dla nadmiaru nasienia albo śluzu pochwowego. Która część jakiegoś rozbijającego się samochodu skaleczyła tego penisa, i w jakim mariażu orgazmu z chromowanym czubkiem tego elementu? Kiedy lawirując między odwiedzającymi wracaliśmy z Vaughanem do samochodu, w głowie kłębiły mi się przerażające wizje podnieceń związanych z tą blizną. Jej lekko ukośny przebieg, pod kątem zbliżonym do nachylenia słupków przedniej szyby lincolna, wyrażał całe zwichrowane i obsesyjne przejście Vaughana poprzez otwarte przestrzenie mego umysłu.

Wieczne niebo nad piętrzącą się nad nami skarpą drogi szybkiego ruchu oświetlały, niczym zawieszone na horyzoncie latarnie, reflektory stojących w korku pojazdów. Z pasa startowego czterysta metrów po lewej stronie podrywał się do lotu samolot pasażerski wynoszony w mroczne powietrze przez dygoczące nerwowo silniki. Pośród rozbuchanej trawy za ogrodzeniem lotniska ciągnęły się długie rzędy metalowych słupków. Szpalery świateł ładowniczych tworzyły elektryczną pajęczynę przywodzącą na myśl pławiące się w blasku dzielnic metropolii. Jechałem za wozem Vaughana pustą boczną drogą. Pędziliśmy przez plac budowy na południowych obrzeżach lotniska, nie oświetlone osiedle na wpół wykończonych trzypiętrowych budynków mieszkalnych dla personelu linii lotniczych, hoteli i stacji benzynowych. Minęliśmy pustą skorupę supermarketu stojącą w morzu błota. Reflektory wozu Vaughana wyłowiły z mroku białą plamę tablicy informacyjnej inwestora budowlanego ustawioną na skraju drogi.

W oddali pojawiła się linia latarni ulicznych wytyczająca granicę tego tranzytowego kompleksu wypoczynkowego. Zaraz za nim, na zachodnich peryferiach Stanwell, znajdowała się dzielnica złomowisk i autoszrotów, małych warsztatów samochodowych i zakładów blacharki pojazdowej. Minęliśmy zaparkowany ciągnik siodłowy z dwupokładową naczepą załadowaną wrakami aut. Seagrave wyprostował się na tylnej kanapie wozu Vaughana; do jego wyczerpanego mózgu przedarł się jakiś znajomy bodziec. Przez całą drogę ze szpitala leżał bezwładnie z głową odrzuconą na półkę pod

tylną szybą, a jego farbowane na blond włosy błyszcząły w światłach moich reflektorów jak nylonowe runo. Siedząca obok niego Helen Remington oglądała się co chwila na mnie. Nie ufając chyba Vaughanowi, uparła się, że odwieziemy Seagrave'a do domu.

Skręciliśmy na dziedziniec garażu i salonu wystawienniczego Seagrave'a. Prowadzona przezeń firma, która najwyraźniej miała już za sobą dni świetności przypadające na ten krótki okres, kiedy Seagrave był kierowcą wyścigowym, specjalizowała się w tak zwanych hotrodach, czyli starych samochodach z silnikiem wymienionym na nowy, potężniejszy, oraz w autach na zamówienie. Za brudną szybą salonu wystawienniczego zobaczyłem wykonaną z włókna szklanego replikę samochodu wyścigowego Brooklands z 1930 roku.

Z ociąganiem wszedłem za Helen Remington i Vaughanem, którzy prowadzili pod ręce Seagrave'a, do livingroomu. Kierowca — kaskader potoczył półprzytomnym wzrokiem po tandetnych skórzanych meblach, nie rozpoznając zrazu własnego pokoju. Potem rzucił się na sofę, a jego żona naskoczyła na Helen, jakby to w niej, lekarce, upatrywała osobę odpowiedzialną za stan męża. Nie wiedzieć czemu, Vera Seagrave zwalniała od wszelkiej odpowiedzialności Vaughana, chociaż - z czego ja zdałem sobie sprawę dopiero później, lecz ona musiała wiedzieć o tym już wtedy - Vaughan wykorzystywał jej męża w charakterze królika doświadczalnego w jakimś eksperymencie. Była przystojną, nerwową kobietą około trzydziestki i nosiła perukę zrobioną na afro. Spomiędzy jej nóg patrzyło na nas małe dziecko wodzące krótkimi paluszkami po dwóch długich bliznach na udach matki, nie zasłanianych przez minispódniczkę.

Vaughan, objawszy w przelocie talię Very Seagrave wytrząsającej się nad Helen Remington, podszedł do trójki siedzącej na bliźniaczej sofie naprzeciwko. Mężczyzna, producent telewizyjny, który robił pierwsze programy Vaughana, kiwał zachęcająco głową, kiedy Vaughan opisywał mu wypadek Seagrave'a, ale był zbyt zamroczony haszyszem - smuga zawiesistego dymu unosiła się po przekątnej pokoju - by skupić się na możliwości wykorzystania tych informacji w jakimś programie. Siedząca obok niego młoda kobieta o ostrych rysach twarzy przygotowywała następnego skręta. Widząc, jak wałkuje porcję żywicy w kawałku srebr-

nej folii, Vaghan wyciągnął z kieszeni mosiężną zapalniczkę. Rozdrobniła żywicę i wytrząsnęła proszek na bibułkę czekającą w

maszynce do skrętów, którą trzymała na kolanach. Była pracownicą socjalną wydziału opieki nad dziećmi w Stanwell i długoletnią przyjaciółką Very Seagrave.

Na nogach miała ślady blizn - ledwie widoczne, okrągłe zagłębienia na rzepkach kolanowych - chyba po zgorzeli gazowej. Zauważyła, że patrzę na te blizny, ale nie uczyniła nic, by je zasłonić przed moim wzrokiem. Na sofie obok niej leżała chromowana metalowa laska. Kiedy kobieta się poruszyła, zauważyłem, że podbicia obu jej stóp tkwią w metalowych zaciskach chirurgicznej szyny. Nienaturalna sztywność, z jaką się trzymała, sugerowała, że nosi również jakiś gorset. Wyjęła zwiniętego skręta z maszynki, zerkając na mnie z wyraźną podejrzliwością. Domyśliłem się, że ten odruch wrogości wywołało przypuszczenie, że w odróżnieniu od Vaughana, jej samej i Seagrave'a nie mam żadnych obrażeń odniesionych w samochodowej kraksie.

Mojego ramienia dotknęła Helen Remington.

- Seagrave... - wskazała na rozwaloną na sofie postać blond kierowcy. Odżył już i bawił się z synkiem podrzucając go w górę. - Jutro w wytwórni mają być kręcone jakieś sceny z udziałem kierowców — kaskaderów. Chce iść. Czy mógłbyś go powstrzymać?

- Zwróć się z tym do jego żony. Albo do Vaughana - on tu chyba gra pierwsze skrzypce.

- No, ja nie wiem...

- Seagrave dubluje teraz wszystkie aktorki! - zawołał producent telewizyjny. - To przez te piękne blond włosy. A co robisz dla brunetki, Seagrave?

Seagrave dał prztyczka małeńkiemu penisowi synka.

- Wpycham jej to w tyłek. Najpierw trochę haszu, dla rozluźnienia, a potem do roboty. Dwa numerki za cenę jednego. - Spojrzał refleksyjnie na swoje osmarowane dło nie. - Chciałbym mieć je wszystkie w tych samochodach, którymi musimy jeździć. Co ty na to, Vaughan?

- Nadejdzie jeszcze taki dzień. - W głosie Vaughana spoglądającego z góry na kierowcę — kaskadera pojawił się dziwny ton szacunku. - Nadejdzie.

- Z użyciem tych tanich cholernych uprząży, które musi my nosić. - Seagrave zaciągnął się wykruszonym papierosem, którego podał mu Vaughan. Zatrzymując dym w płu-

cach, patrzył na górę samochodowych wraków w ogrodzie. - Wyobrażasz je sobie, Vaughan, w którymś z tych karamboli na pełnej szybkości? Albo podczas dachowania? Albo w zderzeniu czołowym? Marzę o tym. Wszystko w twoich rękach, Vaughan.

Vaughan uśmiechnął się do niego pokrzepiająco, twarz ułożyła mu się w metaliczny grymas.

- Masz, naturalnie, rację. Od której zaczniemy? Seagrave uśmiechnął się zza kłębow dymu. Nie zwracał

uwagi na żonę, która usiłowała go uspokoić, i patrzył na Vaughana.

- Ja wiem, od której bym zaczął...

- Być może.

- ...już widzę te wielkie cycki rozcinane o deskę rozdzielczą.

Vaughan odwrócił się gwałtownie, jakby w obawie, że Seagrave całkiem go sobie podporządkuje. Blizny na wargach i czole nadawały jego twarzy wyraz wymykający się opisowi. Zerknął na drugą sofę, gdzie producent telewizyjny i okaleczona kobieta, Gabrielle, przekazywali sobie na przemian papierosa.

Odwróciłem się, żeby wyjść i poczekać na Helen w samochodzie. Vaughan dogonił mnie tuż za progiem i ścisnął silnie za ramię.

- Nie odchodź jeszcze, Ballard, chcę, żebyś mi pomógł.

Kiedy wodził wzrokiem po obecnych, odniosłem wrażenie, że kontroluje nas wszystkich, dając każdemu to, czego najbardziej pragnie i czego się najbardziej obawia.

Poszedłem za nim korytarzem do pracowni fotograficznej. Zaprosił mnie gestem ręki na środek pomieszczenia i zamknął drzwi

- To nowy projekt, Ballard. - Zatoczył ręką w koło. - Pracuję nad specjalnym serialem telewizyjnym na zlecenie.

- Odszedłeś z NCL?

- Oczywiście - ten projekt jest zbyt ważny. - Potrząsnął głową, pozbywając się skojarzenia. - Wielkie państwowe laboratorium nie jest do czegoś takiego przygotowane, zaró wno psychicznie, jak i pod innymi względami.

Pomieszczenie pełne było fotografii przypiętych pinezkami do ścian i rozłożonych między emaliowanymi kuweta-



mi na stołach laboratoryjnych. Podłogę wokół powiększalnika zaścielały na wpół wywołane odbitki, odrzucone ledwie zaczęły ujawniać obraz, jakim zostały naświetlone. Podczas gdy Vaughan szukał czegoś przy centralnym stole, przewracając stronicę oprawnego w skórę albumu, ja patrzyłem na walające mi się pod nogami odrzucone odbitki. Były to w większości nieostre fotografie samochodów i ciężkich pojazdów biorących udział w kolizjach na autostradzie, otaczanych przez gapiów i policję, oraz zbliżenia powyginanych kratek wlotu chłodnicy i rozbitych przednich szyb. Wiele robiono z wolnej ręki z jadącego samochodu, i na tych widać było rozmazane zarysy gniewnych twarzy policjantów i sanitariuszy upominających przejeżdżającego fotografa.

Na pierwszy rzut oka na fotografiach tych nie pojawiały się żadne rozpoznawalne postacie ludzkie, ale na ścianie nad metalowym zlewem przy oknie wisiały powiększone odbitki zdjęć sześciu kobiet w średnim wieku. Uderzyło mnie ich zaskakujące podobieństwo do Very Seagrave, która właśnie tak powinna wyglądać za dwadzieścia lat. Każda z kobiet reprezentowała inny typ - od, jak przypuszczałem, dobrze zakonserwowanej żony prosperującego biznesmena z futrem z lisa narzuconym na ramiona, poprzez przewkwitającą kasjerkę z supermarketu, do bileterki z nadwagą w gabardynowym uniformie. W odróżnieniu od reszty fotografii, te sześć zdjęć zrobiono z widoczną pieczołowitością przez teleobiektyw wycelowany w przednie szyby samochodu bądź w obrotowe drzwi.

Vaughan otworzył album na chybił trafił i podał go mi. Oparłszy się plecami o drzwi patrzył, jak reguluję sobie biurkową lampę.

Pierwsze trzydzieści stron dokumentowało krakę, hospitalizację i porekonwalescencyjny romans młodej pracowniczki socjalnej Gabrielle, która w tej chwili siedziała na sofie w pokoju Seagrave'a i zwijała skręty, które tam palono. Jakimś zbiegiem okoliczności jej mały sportowy samochód zderzył się z autobusem linii lotniczych przy wjeździe do prowadzącego na lotnisko tunelu, niedaleko miejsca mojego wypadku. Jej twarz o ostro zarysowanej szczęce i skórze, która zaczynała obwisać na podobieństwo pierwszego suwu ruszającej lawiny, leżała na tle poplamionego olejem siedzenia. Wokół zmiążdżonego samochodu zebrała się grupka policjantów, sanitariuszy z ambulansu i gapiów. Na pierw-

szym planie pierwszej fotografii strażak z palnikiem acetylenowym przecinał prawy słupek przedniej szyby. Obrażenia, jakie odniosła młoda kobieta, jeszcze się nie ujawniły. Jej pozbawiona wyrazu twarz patrzyła od dołu na trzymającego palnik strażaka, zupełnie jakby kobieta spodziewała się z jego strony jakiejś dziwacznej napaści seksualnej. Na dalszych fotografiach, niczym pierwsze zarysy drugiej osobowości, podgląd ukrytych oblicz jej psychiki, mających się ujawnić dopiero w późnym wieku średnim, zaczynały się pojawiać sińce, które wkrótce pokryją maską całą jej twarz. Uderzyły mnie pierwsze linie tych sińców tworzące się wokół jej szerokich ust. Owe niezdrowe wgłębienia upodabniały ją do egoistycznej starej panny z całym życiowym bagażem nieszczęśliwych miłości. Później zaczęły się pokazywać zasinienia na jej rękach i nogach - ślady po kolumnie kierownicy i desce rozdzielczej - zupełnie jakby te dwie kochanki biły ją z coraz bardziej abstrakcyjną rozpaczą całą gamą groteskowych narzędzi.

Stojący za mną Vaughan nadal opierał się plecami o drzwi. Jego ciało, po raz pierwszy od kiedy się poznaliśmy, zastygło w kompletnym bezruchu, moje zaabsorbowanie zawartością albumu w jakiś sposób wytłumiło nerwowe, nie skoordynowane ruchy, jakie zazwyczaj wykonywało. Przewracałem kolejne stronicę. Vaughan zebrał wyczerpujące dossier tej młodej kobiety. Domyślałem się, że przypadkiem znalazł się na miejscu jej wypadku kilka minut po tym, jak wpadłszy w poślizg uderzyła w tył autobusu linii lotniczych. Przestraszone twarze kilku pasażerów Variga gapiły się z góry przez tylne okno na rozbity samochód, który ta ranna kobieta wpasowała jak żywą rzeźbę w nie chronione niczym podwozie pod ich siedzeniami.

Na następnym zdjęciu wydobywano ją z samochodu. Białą spódniczkę miała ciężką od krwi. Jej pusta twarz spoczywała bezwładnie na ramieniu strażaka, który podnosił ją z krwawego basenu fotela kierowcy niczym kapłan jakiegoś szalonego kultu z amerykańskiego Południa swoją wy znawczynię po ceremonii chrztu z chrzcielnicy napełnionej krwią jagnięcia. Jedną rączkę noszy trzymał kierowca wozu policyjnego. Był bez czapki, a lewe udo kobiety napierało z boku na jego kwadratową szczękę. Pomiędzy dwoma ratownikami ciemniał trójkąt jej krocza.

Następnych kilka stron wypełniały fotografie rozbitego sportowego samochodu na złomowisku oraz zbliżenia płam

zakrzepłej krwi na fotelach kierowcy i pasażera. Na jednym z nich pojawiał się Vaughan we własnej osobie. Stał w pozie lorda Byrona i spoglądał w zadumie na samochód. Nabrzmiały penis wypychał mu krok obcisłych dżinsów.

Ostatnia grupa zdjęć przedstawiała młodą kobietę w chromowanym fotelu na kółkach - pchaną przez przyjaciółkę po otoczonym rododendronami trawniku instytutu rekonwalescencji, poruszającą się samodzielnie w swoim połyskliwym pojeździe na zawodach łuczniczych, i w końcu biorącą pierwsze lekcje za kierownicą samochodu inwalidzkiego. Widząc, jak ćwiczy posługiwanie się specjalnie przystosowanymi dźwigniami uruchamiania hamulców i zmiany biegów, uświadomiłem sobie rozmiary transformacji, jaką przeszła ta tragicznie okaleczona kobieta w trakcie rekonwalescencji. Pierwsze zdjęcia, na których leżała w rozbitym samochodzie, przedstawiały zwyczajną młodą kobietę, której symetryczna twarz i nie naciągnięta skóra oddają całą ekonomię spokojnego, pasywnego życia z przygodnymi stosunkami na tylnych siedzeniach małych samochodów, odbywanymi bez jakiegokolwiek poczucia prawdziwych możliwości drzemających w jej ciele. Wyobrażałem już ją sobie, jak siedzi w aucie jakiegoś podtatusiałego pracownika opieki społecznej, nieświadoma konjunkcji pomiędzy własnymi genitaliami a stylizowaną deską rozdzielczą, nieświadoma tej geometrii euklidesowej erotyzmu i fantazji, którą odkryje przed nią dopiero kraksa samochodowa, dynamiczny mariaż wykręcający mięsiste punkty jej kolan i łona. Ta spokojna młoda kobieta snująca pospolite seksualne marzenia odrodziła się w załamujących się konturach swojego sportowego samochodu. Trzy miesiące później, siedząc obok instruktora fizykoterapii w nowym samochodzie inwalidzkim, obejmowała chromowane dźwignie silnymi palcami, jakby przedłużeniami własnej łechtaczki. W jej inteligentnych oczach czaiła się świadomość, że młody, muskularny mężczyzna nie odrywa oczu od przestrzeni pomiędzy jej kalekimi nogami. Kiedy manewrowała dźwignią zmiany biegów, jego oczy buszowały pośród wilgotnych moczarów jej łona. Zgnieciona karoseria sportowego samochodu przekształciła ją w istotę o czystej i perwersyjnej seksualności, wyzwalając pośród swych poskręcanych wręg i wyciekającego z chłodnicy płynu wszystkie dewiacyjne możliwości jej seksu. Jej kalekie uda i nie wykorzystywane mięśnie łydek

stanowiły modele fascynujących perwersji. Patrzyła przez szybę w obiektyw aparatu Vaughana przenikliwymi oczyma, wyraźnie świadoma szczerego zainteresowania, jakie w nim wzbudza. Położenie jej rąk na kierownicy i dźwigni gazu, palce skierowane czubkami w stronę piersi stanowiły elementy jakiegoś stylizowanego rytuału masturbacyjnego. Jej wyrazista twarz o nie pasujących do siebie płaszczyznach zdawała się naśladować zdeformowane elementy samochodu, zupełnie jakby zdawała sobie sprawę, że te powyginane oprawy przyrządów z deski rozdzielczej stanowią łatwo dostępną antologię aktów deprawacji, klucze do alternatywnej seksualności. Oglądałem fotografie w ostrym świetle. Mimowolnie wyobraziłem sobie serię zdjęć, jakie sam mógłbym jej zrobić: w rozmaitych aktach seksualnych, z nogami podtrzymywanymi przez skomplikowane bloki, wielokrążki i podpórki; z instruktorem fizykoterapeutą, wpasowującą tego normalnego młodego mężczyznę w nowe parametry swego ciała, doskonalącą umiejętności seksualne w sposób analogiczny do tego, w jaki opanowuje się umiejętności w innych dziedzinach powstających wraz z rozwojem techniki dwudziestego wieku. Myśląc o mięśniach jej pleców napinających się podczas orgazmu, o zjezonych włoskach na jej udach, patrzyłem na widoczny na fotografiach stylizowany emblemat producenta samochodu, na profilowane boki słupków okna.

Vaughan opierał się w milczeniu o drzwi. Przewracałem stronicę. Reszta albumu, tak jak się tego spodziewałem, opisywała przebieg mojego wypadku i rekonwalescencji. Od pierwszej fotografii, na której wnoszono mnie na oddział urazowy szpitala w Ashford, wiedziałem, że Vaughan był już tam, kiedy mnie przywieziono - później dowiedziałem się, że przechwytywał prowadzone z ambulanse rozmowy na paśmie VHF swojego radia samochodowego.

Sekwencja zdjęć tworzyła kronikę raczej Vaughana niż moją. O wiele więcej było w nich krajobrazu i fascynacji fotografa niż obiektu, który fotografował. Oprócz zdjęć mnie leżącego w szpitalnym łóżku, spowitego w więcej bandaży, niż mi się wówczas wydawało, robionymi przy użyciu teleobiektywu przez otwarte okno, tło wszystkich innych było takie samo - samochód jadący drogami szybkiego ruchu otaczającymi lotnisko, stojący w korku na wiadukcie, zaparkowany w ślepych uliczkach i w alejkach

kochanków. Vaughan śledził mnie od policyjnego parkingu do lotniska, od wielopiętrowego parkingu do domu Helen Remington. Z tych nieostrych odbitek wynikało, że całe życie spędzam w samochodzie albo w jego pobliżu. Zainteresowanie Vaughana mną było zdecydowanie minimalne; jego nie zajmowało zachowanie czterdziestoletniego producenta reklam telewizyjnych, lecz wzajemne oddziaływanie na siebie anonimowego osobnika i jego samochodu, przenikanie się ludzkiego ciała z polerowanymi panelami i winylowymi siedzeniami wozu, zarysy twarzy odbijające się w skalach zegarów.

W miarę gojenia się mych ran wylaniał się powoli motyw przewodni tej fotograficznej kroniki: moje związki z żoną, Renatą i doktor Helen Remington, w których czynnikami pośredniczącymi było auto i jego krajobraz. Na tych nieostrych fotografiach Vaughan utrwalił moje niepewne uściski, kiedy nagiąłem swe poranione ciało do pierwszych po wypadku stosunków seksualnych. Uchwycił moją rękę wyciągniętą nad obudową wału napędowego sportowego auta mojej żony, wewnętrzną powierzchnię przedramienia wgniecioną przez chromowaną dźwignię zmiany biegów, mój posiniaczony nadgarstek dociśnięty do białego boku jej uda; moje włosy opadające na parapet okna, kiedy przywierając odrętwiałymi wciąż wargami do lewego sutka Renaty, wyłuskuję jej pierś spod bluzki; Helen Remington ze spódniczką podkasaną powyżej bioder, siedzącą na mnie okrakiem na fotelu pasażera swojego czarnego kombi i wciskającą pokryte bliznami kolana w winylowe siedzenie w reakcji na mojego penisa wchodzącego w jej srom, a w tle biegnąca ukosem deska rozdzielcza tworząca szereg rozmazanych elips przywodzących na myśl pęcherzyki powietrza unoszące się z naszych szczęśliwych lędźwi.

Vaughan stał teraz nade mną jak instruktor gotowy pomóc obiecującemu kursantowi. Kiedy patrzyłem na fotografię przedstawiającą mnie przy piersi Renaty, Vaughan nachylił się zainteresowany czym innym. Złamanym paznokciem o brzegu pobrudzonym olejem silnikowym pokazał chromowany parapet okna i punkt jego przecięcia z rozciągniętym ramiączkiem stanika tej młodej kobiety. Gra światła i cienia na fotografii sprawiała, że dwa te elementy układały się w metalowo — nylonową procę, z której zdawał się strzelać w me usta zniekształcony sutek.

Twarz Vaughana była bez wyrazu. Czyraki, które miał w dzieciństwie, pozostawiły na jego szyi archipelag dziobów. Od jego białych dżinsów biła ostra, ale nie przykra woń mieszaniny nasienia z płynem chłodzącym. Przewracał stronicę albumu, przechylając go co chwila, by uzmysłwić mi lepiej nietypowy kąt ustawienia aparatu.

Patrzyłem, jak Vaughan zamyka album, i zachodziłem w głowę, dlaczego nie mogę się zdobyć choćby na namiastkę gniewu, zbesztać go za to wtrącanie się w moje życie. Ale niezmacony spokój i milczenie Vaughana zrobiły już swoje. Być może jego pełne gwałtu i seksualności fotografie wywołały z głębi mej podświadomości jakiś ukryty homoerotyczny element. Zdeformowane ciało kalekiej młodej kobiety odkrywało, podobnie jak zdeformowane karoserie rozbitych aut, możliwości zupełnie nowej seksualności. Vaughan wyartykuował moją potrzebę jakiejś pozytywnej reakcji na wypadek, któremu uległem.

Spuściłem wzrok na długie uda i twarde pośladki Vaughana. Obojętnie jak zmysłowy byłby homoseksualny stosunek z Vaughanem, brakowałoby w nim wymiaru erotycznego. Pomimo to akt seksualny z Vaughanem był całkiem możliwy. Wsuniecie penisa w jego odbył na tylnym siedzeniu samochodu byłoby wydarzeniem tak samo wystylizowanym i abstrakcyjnym, jak te zarejestrowane na zdjęciach Vaughana.

W progu stanął na chwiejnych nogach reżyser telewizyjny, wałkując w palcach wilgotnego skręta.

- V., mógłbyś to poprawić? Seagrave spartolił. - Przeciągnął bezradnie palcem po pęknięciu z boku skręta i kiwnął do mnie głową. - Ośrodek nerwowy, co? Vaughan potrafi przedstawić wszystko tak, że wygląda na przestępstwo.

Vaughan odstawił trójnog, który oliwił, i wprawnie nasypał tytoniu na bibułkę, uzupełniając go następnie ziarenkami haszu, które wylądowały mu na dłoni. Polizał bibułkę ostrym językiem, który wystrzelił spomiędzy jego pokierszowanych warg jak język gada, i zwinął skręta. Wciągnął nozdrzami dym.

Przeglądałem partię świeżo wywołanych odbitek rozłożonych na stole pod oknem. Przedstawiały znajomą twarz aktorki filmowej sfotografowanej w trakcie wysiadania z limuzyny przed londyńskim hotelem.

- Elizabeth Taylor... śledzisz ją?

- Jeszcze nie. Muszę ją poznać, Ballard.
- W ramach swojego projektu? Wątpię, czy ona będzie w stanie ci pomóc.

Vaughan zaczął się przechadzać na niepewnych nogach po pomieszczeniu.

- Pracuje teraz w Shepperton. Nie bierzesz jej do reklamy Forda?

Vaughan czekał na moją odpowiedź. Wiedziałem, że nie da mi się wykręcić sianem. Wspomniawszy ponure fantazjowanie zamroczonego Seagrave'a na temat zmuszania gwiazd filmowych do przeżywania prawdziwych kraks w samochodach swoich kaskaderów, postanowiłem jednak nie odpowiadać.

Odczytując to wszystko z mej twarzy Vaughan odwrócił się do drzwi.

- Powiem doktor Remington, że na nią czekasz... Jeszcze do tego wrócimy, Ballard.

Wręczył mi, prawdopodobnie w charakterze fajki pokoju, plik podniszczonych duńskich seksmagazynów.

- Przejrzyj je sobie... są zrobione bardziej profesjonalnie. Możesz je oglądać z doktor Remington.

Gabrielle, Vera Seagrave i Helen były w ogrodzie. Ich głosy tonęły w ryku startującego z lotniska samolotu. Gabrielle szła w środku, a sposób, w jaki stawiała ujęte w klamry nogi, stanowił parodię eleganckiego chodu ćwiczonego w szkole dobrych manier. Jej blada skóra odbijała pomarańczowy blask ulicznych latarni. Helen trzymała ją pod lewą rękę, prowadząc ostrożnie przez wysoką do kolan trawę. Dotarło do mnie naraz, że przez cały okres znajomości z Helen Remington nigdy nie rozmawiałem z nią o jej niezującym mężu.

Przejrzałem pobieżnie kolorowe zdjęcia z magazynów; na każdym obiektem centralnym był samochód takiej czy innej marki - sielskie obrazki z młodymi parami w trakcie grupowych stosunków wokół amerykańskiego kabrioletu zaparkowanego na spokojnej łące; nagi biznesmen w średnim wieku ze swoją sekretarką na tylnym siedzeniu mercedesa; homoseksualiści rozbierający jeden drugiego na pikniku na skraju drogi; nastolatki podczas orgii zmotoryzowanego seksu na dwupokładowej lawecie do przewozu pojazdów, wsiadający i wysiadający z zakotwiczonych na niej samochodów; i poprzez wszystkie te stronic przewijał się połysk desek

rozdzielczych i osłon przeciwsłonecznych, blask lśniącego winylu odbijającego miękki brzuch albo udo, gęstwa włosów łonowych wyrastająca z każdego kąta kabin tych samochodów.

Vaughan obserwował mnie z żółtego fotela, a Seagrave bawił się ze swoim małym synkiem. Zapamiętałem jego twarz, nieobecną, lecz skupioną, kiedy rozpiął koszulę i podawał dziecku do ssania swój sutek, a potem, ściskając palcami twardą skórę wokół, formował z niego imitację kobiecej piersi.



Moje spotkanie z Vaughanem oraz album z fotografiami dokumentującymi mój wypadek obudziły na powrót wszystkie wspomnienia tamtej koszmarnej kraksy. Zszedłszy tydzień później do garażu w podziemiach stwierdziłem, że nie jestem w stanie skierować samochodu do wytwórni w Shepperton, zupełnie jakby pojazd przeobraził się w ciągu nocy w japońską jednokierunkową zabawkę albo został, podobnie jak moja głowa, wyposażony w żyroskop, który wskazuje tylko na wjazd na wiadukt przed lotniskiem.

Żeby zabić jakoś czas przed wyjściem Catherine na lekcje pilotażu, pojechałem w kierunku drogi szybkiego ruchu i po kilku minutach utknąłem w korku. Sznury stojących w zatorze pojazdów ciągnęły się aż po horyzont, by tam łączyć się z zapchanymi autostradami odbiegającymi na zachód i na wschód od Londynu. Poruszając się w ślimaczym tempie, zobaczyłem po pewnym czasie swój dom. Ponad barierką balkonu widziałem krzątającą się po salonie Catherine. Sięgała, co chwila po słuchawkę telefonu i notowała coś w zeszycie. Nie wiedzieć, czemu wydało mi się, że bawi się we mnie - wiedziałem już, że wrócę do domu w momencie, kiedy ona będzie z niego wychodziła, i zajmę swoją pozycję rekonwalescenta na wyeksponowanym balkonie. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że siedząc tam, w połowie wysokości budynku, jestem widoczny jak na dłoni, że patrzą na mnie dziesiątki tysięcy zmotoryzowanych, z których wielu musi zachodzić w głowę, kim jest ta spowita w bandaże postać. Musiałem wyglądać w ich oczach na jakiś koszmarny totem, na nie opuszczającego domu idiotę, który

doznał nieodwracalnego uszkodzeniu mózgu w wypadku drogowym i teraz poświęca każdy poranek na oglądanie scenerii swojej psychicznej śmierci.

Rzeka pojazdów płynęła ospale w kierunku wielopoziomowego skrzyżowania z Western Avenue. Straciłem Catherine z oczu, kiedy wsunęły się między nas szklane ściany mieszkalnych wieżowców. Otaczało mnie morze pojazdów skąpane w upstrzonym chmarami much blasku słońca. Dziwne, ale prawie w ogóle nie odczuwałem niepokoju. Przytłaczające przecucie katastrofy, które niczym nadjezdniowy sygnalizator świetlny wisiało nad moimi poprzednimi wypadami na drogi szybkiego ruchu, teraz się ulotniło. Świadomość obecności Vaughana gdzieś w pobliżu, na tych zatłoczonych estakadach, napawała mnie przeświadczeniem, że do owej nadciągającej autozagłady znaleźć można jakiś klucz. Wykonane przezeń fotografie aktów seksualnych, fragmentów samochodowych kratek wlotu chłodnicy i desek rozdzielczych, zestawień łokcia z chromowanym parapetem okna, sromu z oprawami zegara, podsumowywały możliwości nowej logiki stworzonej przez te mnożące się wytwory rąk ludzkich, te kody nowego mariażu uczucia z prawdopodobieństwem.

Vaughan mnie przerażał. Bezwzględność, z jaką eksploatował Seagrave'a, grając na szalonych fantazjach tego zamrozonego kierowcy — kaskadera, była dla mnie ostrzeżeniem, że ten człowiek w dążeniu do postawionego sobie celu nie zawaha się prawdopodobnie wykorzystać każdej nadarzającej się okazji.

Przed samym wielopoziomowym skrzyżowaniem z Western Avenue przyśpieszyłem i na pierwszym zjeździe skręciłem w prawo, kierując się na północ w stronę Drayton Park. Kiedy wjeżdżałem z powrotem do garażu w podziemiach, wydało mi się, że budynek mieszkalny, wznoszący się nade mną w niebo, to postawiona na sztorc szklana trumna.

Znalazłszy się w mieszkaniu, zacząłem je nerwowo przetrząsać, szukając notesu, w którym Catherine zapisywała swoje rozmowy telefoniczne. Postanowiłem przechwytywać wszelkie wiadomości od jej kochanków. Nie powodowała mną seksualna zazdrość, lecz obawa, że te romanse staną przypadkiem na przeszkodzie planom, jakie miał wobec nas wszystkich Vaughan.

Catherine była w stosunku do mnie niezmordowanie wspaniałomyślna i czuła. Tak bardzo nalegała, bym spotkał się z Helen Remington, że czasami odnosiłem wrażenie, że

kładzie podwaliny pod darmową, naznaczoną silnymi lesbijskimi podtekstami konsultację medyczną na temat jakichś niejasnych ginekologicznych dolegliwości - piloci z linii międzynarodowych, z którymi się zadawała, przywlekali ze swoich wojaży prawdopodobnie więcej choróbsk niż wszyscy przerażeni imigranci przepędzani przez gabinet Helen Remington razem wzięci.

Szukając Vaughana, spędziłem cały rano krążąc po drogach dojazdowych do lotniska. Obserwowałem przejeżdżające pojazdy z parkingów przy stacjach benzynowych rozsianych wzdłuż Western Avenue. Sterczałem na tarasie widokowym Terminalu Oceanicznego w nadziei, że zobaczę Vaughana podążającego w ślad za jakąś przyjeżdżną gwiazdą muzyki pop albo politykiem.

Widocznym w dali wiaduktem sunęły ospale sznury samochodów. Nie wiedzieć, czemu przypomniałem sobie, jak Catherine wspomniała kiedyś, że nie spocznie, póki nie zaliczy wreszcie każdego z możliwych do wyobrażenia aktów kopulacyjnych. Gdzieś w tej płątanie betonu i stali konstrukcyjnej, w tym starannie oznakowanym krajobrazie tablic informacyjnych, zjazdów i wjazdów, był Vaughan. Wsparłszy poblížniony łokieć o chromowany parapet okna, krążył swym samochodem po drogach szybkiego ruchu niczym zwiastun, snując za nie umytą przednią szybą marzenia o gwałcie i seksualności.

Zrezygnowałem w końcu z poszukiwań Vaughana i pojechałem do wytwórni w Shepperton. Bramę blokowała wielka ciężarówka. Wychylony z kabiny kierowca wrzeszczał na dwóch wartowników. Na skrzyni ciężarówki spoczywał czarny citroen pallas kombi z długą maską zgniecioną w wyniku zderzenia czołowego.

- Co za straszna maszyna - stwierdziła Renata podchodząc do mnie w słonecznym blasku, kiedy parkowałem samochód. - Ty go zamówiłeś, James?

- Jest potrzebny do filmu z Taylor. Dziś po południu będą kręcone sekwencje wypadku drogowego.

- I ona będzie prowadziła ten wóz? Nie opowiadaj.

- Ona będzie prowadziła inny wóz. Ten wykorzystamy w sekwencjach powypadkowych.

Tego popołudnia, patrząc ponad ramieniem charakteryzatorki na nieskończenie wspaniałszą figurę i wystudiowaną pozę aktorki filmowej siedzącej za kierownicą rozbitego citroena, pomyślałem o okaleczonym ciele Gabrielle. Dźwiękowcy i oświetleniowcy patrzyli na aktorkę z dyskretnej odległości ze skupieniem świadków rzeczywistego wypadku. Charakteryzatorka, subtelna dziewczyna o pokrzepiającym poczuciu humoru - tak niepodobna do tamtych pielęgniarek z oddziału urazowego, których w pewnym sensie była przeciwieństwem - trudziła się od ponad godziny nad symulowanymi ranami.

Aktorka siedziała nieruchomo w fotelu kierowcy, czekając cierpliwie, kiedy ostatnie pociągnięcia pędzelka zakończą wreszcie żmudną pracę nad strużkami krwi spływającymi jej z czoła niczym czerwona mantyla. Drobne dłonie i przedramiona podmalowane miała niebieskimi cieniami symulującymi siniaki. Przyjmowała już pozę ofiary wypadku - palce spoczywające bezwładnie na plamach czerwonej żywicy na kolanach, uda uniesione nieco ponad plastikowe obicie siedziska fotela, jak gdyby oderwane odruchowo od jakiejś szorstkiej błony śluzowej. Patrzyłem, jak dotyka kierownicy, ledwie rozpoznając jej kształt.

W schowku pod wypaczoną deską rozdzielczą leżała przykurzona damska zamszowa rękawiczka. Czy wymalowana w barwy śmierci aktorka siedząca w samochodzie miała przed oczyma rzeczywistą ofiarę wypadku, w którym zgnieciony został ten samochód - tę jakąś frankofilkę z przedmieść albo stewardesę Air France? Czy instynktownie naśladowała pozycję tej rannej kobiety, odwzorowywała na swej wspaniałej osobie urazy odniesione w zwyczajnym wypadku drogowym, te plamy krwi i rozcięcia, by potem szybko o nich zapomnieć? Siedziała w rozbitym samochodzie niczym bogini okupująca świątynię przygotowaną dla niej z krwi szarego członka kongregacji. Chociaż stałem sześć metrów od samochodu, obok dźwiękowca, odnosiłem wrażenie, że jedyne w swoim rodzaju zarysy jej ciała i osobowości przekształcają rozbity wóz. Jej lewa noga spoczywała na ziemi, słupek drzwi i wspornik deski rozdzielczej przemieściły się, by ominąć kolano, cały samochód jakby się zdeformował w wiernopoddańczym geście wokół jej postaci.

Dźwiękowiec obrócił się na pięcie, waląc mnie w łokieć mikrofonem na wysięgniku. Kiedy przeproszał, obok nas przebiegł umundurowany wartownik. W przeciwnym rogu makiety wielopoziomowego skrzyżowania autostrad, którą wzniesiono na potrzeby tych zdjęć plenerowych, wywiązała się szamotanina. Młody Amerykanin, asystent producenta, szarpał się z ciemnowłosym mężczyzną w skórzanej kurtce, usiłując odebrać mu aparat fotograficzny. Kiedy odbłask słońca ześlizgiwał się po soczewce obiektywu, rozpoznałem w tym mężczyźnie Vaughana. Opierał się o dach drugiego citroena, patrzył wyzywająco na producenta i opędział się od niego poblížoną ręką. Obok niego, na masce samochodu, siedział Seagrave. Blond włosy miał związane na czubku głowy w kok, był w dżinsach i płowym damskim zamszowym płaszczu. Czerwoną koszulkę polo wypychał mu biustonosz uformowany w dwie wielkie piersi.

Twarz Seagrave'a była już ucharakteryzowana na podobieństwo twarzy aktorki filmowej, makijaż i maseczka kosmetyczna przyciemniały mu cerę. Ta nieskazitelna maska kobiecego oblicza przypominała koszmarną parodię twarzy aktorki i robiła o wiele większe wrażenie niż rany nakładane właśnie tej ostatniej przez charakteryzatorkę. Domyśliłem się, że ubrany w to samo co aktorka Seagrave, po ukryciu swoich blond włosów pod peruką, miał poprowadzić nietkniętego citroena i zderzyć się nim z trzecim pojazdem, w którym siedział manekin jej kochanka.

Seagrave, patrzący na Vaughana spod swej groteskowej maski, już teraz sprawiał wrażenie osoby w szoku powypadkowym. Z tymi kobiecymi ustami i podmalowanymi oczyma, z farbowanymi na blond włosami upiętymi w kok na czubku głowy, przypominał podstarzałego transwestytę przyłapanego w stanie upojenia alkoholowego w swoim buduarze. Patrzył na Vaughana z jakąś urazą, jak gdyby ten zmuszał go codziennie do przebijania się za tę parodię aktorki.

Vaughan spacyfikował tymczasem asystenta producenta i wartownika, nie oddając im aparatu. Dał Seagrave'owi umówiony znak, rozciągnął w uśmiechu pokiereszowane usta i odwrócił się spokojnie, by odejść w stronę biur kierownictwa produkcji. Kiedy go dogoniłem, skinął na mnie, zapraszając na wspólną przechadzkę.

Seagrave, porzucony przez Vaughana, siedział dalej samotnie na masce citroena niczym oszołomiona wiedźma.

- Czy on się dobrze czuje? Trzeba było sfotografować Seagrave'a.

- Naturalnie, że go sfotografowałem. - Vaughan przewiesił sobie aparat przez prawe ramię. W białej skórzanej kurtce, którą miał na sobie, bardziej przypominał przystojnego aktora niż naukowca renegata.

- Czy on jest jeszcze w stanie prowadzić samochód?

- Owszem, byleby to było po linii prostej.

- Vaughan, zaprowadź go do lekarza.

- To by wszystko zepsuło. Poza tym nie mam czasu. Helen Remington go badała. - Vaughan odwrócił się plecami do dekoracji. - Helen rozpoczyna pracę w Laboratorium Badawczym Ruchu Drogowego. Za tydzień organizują tam dzień otwarty - wybierzemy się wszyscy.

- Ja sobie raczej daruję.

- Nie, Ballard. Przekonasz się, że ta wizyta cię pokrzepi. A zresztą to ważny odcinek mojego serialu telewizyjnego.

Odszedł wyciągniętym krokiem w stronę parkingu.

Owo dokładne przemieszanie fikcji z rzeczywistością uosabiane przez patetyczną, acz przygnębiającą postać Sea-grave'a przebranego za aktorkę filmową, nie dawało mi spokoju przez całe popołudnie, nałożyło się nawet na moją reakcję na widok Catherine, kiedy ta po mnie przyjechała.

Catherine wdała się w pogawędkę z Renatą, ale jej uwagę szybko odciągnęły kolorowe fotografie na ścianach, przedstawiające fragmenty wykonanych na zamówienie samochodów sportowych i luksusowych limuzyn, które pojawiały się w kręconej przez nas reklamie pewnego dealera. Te emblematyczne portrety tylnych pletw i kratek wlotu chłodnicy, desek rozdzielczych i okapów przedniej szyby o żywych pastelowych i akrylowych barwach chyba ją zafascynowały. Zaskoczyły mnie jej dobry humor i tolerancja na Renatę. Wprowadziłem ją do montażowni, gdzie dwaj młodzi montażyści pracowali nad świeżo nakręconym materiałem. Catherine była prawdopodobnie przekonana, że w tym wizualnym kontekście musiało dojść do powstania jakiejś erotycznej więzi pomiędzy mną a Renatą, i że gdyby sama została w tym biurze pośród konturowych fotografii i planów zespołów błotnika, ona również nawiązałaby seksualny stosunek nie tylko z tymi dwoma młodymi montażyстами, ale i z Renatą.

Spędziła ten dzień w Londynie. Jej nadgarstki przywodziły na myśl palety perfum. Pierwsze, co uderzyło mnie w Catherine, to jej nieskazitelna czystość. Odnosiło się wrażenie, że szoruje indywidualnie każdy centymetr kwadratowy swego eleganckiego ciała, udrażniając kolejno każdy jego por. Czasami porcelanowa gładź jej cery, dopracowany w każdym szczególe makijaż przywodzący na myśl model demonstracyjny pięknej kobiecej twarzy, wzbudzały we mnie podejrzenie, że cała jej tożsamość to szarada. Próbowalem sobie wyobrazić dzieciństwo tej pięknej młodej kobiety, to doskonale fałszerstwo ingresu.

W Catherine pociągała mnie ta pasywność, ta jej całkowita akceptacja każdej sytuacji. W trakcie naszych pierwszych aktów seksualnych w anonimowych sypialniach lotniskowych hotelików, metodycznie badałem każdy otwór jej ciała, jaki mogłem znaleźć. Przesuwałem palcami po jej dziąsłach w nadziei, że natrafię na choćby malutki okrusz przyklejonej do zębów cieleciny, wciskałem język w jej ucho w nadziei, że znajdę tam choć ślad smaku woskowiny, przeszukiwałem jej nozdrza i pępek, a w końcu srom i odbyt. Musiałbym wepchnąć palec wskazujący do oporu, by po jego wyciągnięciu poczuć najślabszą woń substancji fekalnej, zobaczyć pod paznokciem cienką brązową obwódke.

Ruszyliśmy w drogę do domu, każde swoim samochodem. Kiedy zatrzymaliśmy się na światłach przed wjazdem na biegnące na północ pasy drogi szybkiego ruchu, zacząłem obserwować wsparte na kierownicy ręce Catherine. Jej prawy palec wskazujący skubał starą nalepkę na przedniej szybie. Czekałem obok niej na zielone i patrzyłem, jak naciskając pedał hamulca trze udem o udo.

Kiedy jechaliśmy już Western Avenue, zapragnąłem, by jej ciało zespoliło się z kabiną samochodu. Dociskałem w wyobraźni jej wilgotny srom do każdej wyeksponowanej powierzchni i listwy, rozgniatąłem delikatnie piersi o słupki drzwi i owiewki, powolnymi spiralami wodziłem jej odbytem po winylowych obiciach siedzeń, przykładałem jej małe dłonie do skal zegarów i parapetów okien. Zespolenie jej błon śluzowych z pojazdem, z moim własnym metalowym ciałem, celebrowały przemykające obok nas samochody. A ukoronowaniem miał być jakiś złożony, niezmiernie perwersyjny akt.

Prawie zahipnotyzowany tymi fantazjami, ocknąłem się nagle, widząc powginany zderzak lincolna Vaughana niespełna metr za sportowym wozem Catherine. Vaughan minął mnie przed chwilą, wcisnął się między nas i teraz jakby czekał na jakiś jej błąd. Przestraszona Catherine schroniła się przed autobusem linii lotniczych, który jechał sąsiednim pasem. Vaughan, trąbiąc i mrugając światłami, zmusił kierowcę autobusu, by zwolnił i wpuścił go przed siebie, i znowu znalazł się za Catherine. Przyśpieszyłem i mijając Vaughana środkowym pasem krzyknąłem na niego, ale on dawał Catherine jakieś znaki, błyskając reflektorami w jej tylny zderzak. Nie zastanawiając się wiele, Catherine skręciła gwałtownie na dziedziniec stacji benzynowej, zmuszając tym manewrem Vaughana do wykonania ostrego nawrotu. Zawrócił z piskiem opon wokół ozdobnego klombu z kwiatami w glazurowanych donicach, ale zjechałem mu drogę swoim wozem.

Catherine, podniecona tym wszystkim, siedziała w samochodzie pośród szkarłatnych dystrybutorów paliwa, wlepiając przestraszony wzrok w Vaughana. Od wysiłku, jaki włożyłem, by ich nie zgubić, rozboleły mnie rany na nogach i klatce piersiowej. Wysiadłem z wozu i ruszyłem w stronę Vaughana. Patrzył, jak podchodzę, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Poruszając miarowo pokieraszowanymi ustami, żuł gumę i zerkał co chwila na samoloty pasażerskie podrywające się z lotniska.

- Vaughan, nie znajdujesz się teraz na jakimś cholernym torze kaskaderskim.

Vaughan wykonał ręką pokojowy gest. Wrzucił wsteczny bieg.

- Jej się to podobało, Ballard. To forma komplementu. Spytaj ją.

Wycofał się szerokim łukiem, omal nie potrącając przy tym przechodzącego pracownika stacji, i włączywszy się w rzekę pojazdów, odjechał.



Vaughan miał rację. Jego osoba zaczęła się coraz częściej pojawiać w seksualnych fantazjach Catherine. W nocy, leżąc w łóżku w naszej sypialni, nieodmiennie, poprzez panteon wspólnych znajomych, schodziliśmy na temat Vaughana.

- Musimy zdobyć trochę więcej haszu. - Catherine patrzyła na odbłaski ulicznego ruchu przesuwane się po szybach. - Skąd u Seagrave'a ta obsesja na punkcie aktorek filmowych? Mówiłeś, że chce się z nimi zderzać.

- To Vaughan podsunął mu ten pomysł. Wykorzystuje Seagrave'a do jakiegoś eksperymentu.

- A co na to jego żona?

- Vaughan owinął ją sobie wokół palca.

- A ciebie?

Catherine leżała plecami do mnie, z tyłeczkiem wciśniętym w moje lędźwie. Poruszając penisem, patrzyłem ponad własnym pobliznionym pępkiem na nieskazitelny jak u lalki rowek między jej pośladkami. Ścisnąłem dłońmi jej piersi, jej zębra wgniatały mi w przegub zegarek. Pasywna postawa Catherine była tylko pozorem; z doświadczenia wiedziałem, że to tylko preludium do erotycznych fantazji, nieśpieszne, okrężne badanie jakiegoś świeżego seksualnego żeru.

- Czy mnie też owinął sobie wokół palca? Nie. Ale trudno stwierdzić, gdzie leży centrum jego osobowości.

- Nie zraża cię, że robi te wszystkie zdjęcia? Wygląda na to, że ciebie również wykorzystuje.

Zacząłem się bawić prawym sutkiem Catherine. Nie gotowa jeszcze na to, wzięła mnie za rękę i położyła ją sobie na piersi.

- Vaughan zawłaszcza ludzi. Z jego stylu bycia przebija wciąż silny element osobowości telewizyjnej.

- Biedak. Te dziewczyny, które podrywa... niektóre z nich to właściwie dzieci.

- Wciąż do tego wracasz. Vaughana nie interesuje seks, lecz technika.

Catherine wcisnęła głowę w poduszkę, co świadczyło u niej o koncentracji.

- Podoba ci się Vaughan?

Przesunąłem palce z powrotem na sutek i zacząłem go pobudzać. Wcisnęła się tyłeczkiem głębiej na mojego penisa. Jej głos przybrał niski, chrapliwy ton.

- W jakim sensie? - zapytałem.

- Fascynuje cię, prawda?

- Coś w nim jest. W tych jego obsesjach.

- W jego odlotowym samochodzie, w sposobie, w jaki go prowadzi, w jego samotności. Ileż kobiet musiał w nim przelecieć.

Pewnie pachnie tam nasieniem...

- A pachnie.

- Uważasz go za pociągającego?

Wysunąłem penisa z jej pochwy i nakierowałem jego czubek na odbył, ale szybkim ruchem ręki wcisnęła go sobie z powrotem w pochwę.

- Jest bardzo blady, blizna na bliźnie...

- Chciałbyś go przelecieć? W tym samochodzie? Znieruchomiałem, starając się opóźnić orgazm, który rwał niczym fala pływowa szybem mego penisa.

- Nie. Ale coś w nim jest, zwłaszcza kiedy prowadzi.

- To seks - seks i ten samochód. Widziałeś jego penisa? Opisując jej Vaughana, wsłuchiwałem się we własny głos wznoszący się nieco ponad odgłosy powodowane przez nasze ciała. Wyszczególniałem kolejno elementy, które składały się w moim umyśle na obraz Vaughana: jego twarde pośladki rysujące się pod wytartymi dżinsami, kiedy przechyliła się na bok, żeby wysiąść z samochodu; ziemista skóra na jego brzuchu i prawie widoczny trójkąt łona, kiedy siedzi rozwalony za kierownicą; róg jego na wpół wzwiedzonego penisa dociśnięty do niej od dołu poprzez zawilgocone krocze spodni; maleńkie grudki brudu, które oskubuje z ostrego nosa i wyciera o powgniatany winyl wewnętrznego obicia drzwi; wrzód na lewym palcu wskazującym, który zauważyłem, kiedy podawał mi zapalniczkę;

twarde sutki rysujące się pod wystrzępioną niebieską koszulą ocierającą się o przycisk klaksonu; ułamany paznokieć kciuka zdrapujący zaschnięte plamy nasienia na siedzeniu między nami.

- Jest obrzezany? - spytała Catherine. - Potrafisz sobie wyobrazić, jak musi wyglądać jego odbyt? Opowiadaj mi o nim.

I opisywałem dalej Vaughana, bardziej chyba z chęci sprawienia przyjemności Catherine niż sobie. Wcisnęła głowę głęboko w poduszkę i odegrała zapamiętały taniec prawą ręką, przymuszając mnie do ugniatania swojego sutka. Chociaż podnieciła mnie trochę wizja stosunku z Vaughanem, w swym odczuciu opisywałem akt seksualny z udziałem nie mnie, lecz kogoś innego. Vaughan rozbudzał w człowieku jakiś ukryty impuls homoseksualny tylko wtedy, kiedy siedział w kabinie swojego samochodu albo jechał autostradą. Pociągał nie tyle zespołem znanych anatomicznych wyzwalaczy pożądania - wypukłością obnażonej klatki piersiowej, łagodną krzywizną pośladka, owłosionym sklepieniem wilgotnego krocza - ile stylizacją swej pozy na tle samochodu. Odseparowany od auta, zwłaszcza od swego pełnego symboli krążownika szos, przestawał wzbudzać jakiegokolwiek zainteresowanie.

- Chciałbyś go przelecieć? Chciałbyś mu włożyć, we pchnąć penisa w odbyt? Powiedz, opisz mi to. Opowiedz, co byś robił? Całowałbyś się z nim w tym samochodzie? Opisz, jak sięgałbyś do jego rozporka, rozsuwał zamek błyskawiczny i wyluskiwał penisa. Pocałowałbyś go, czy od razu zaczął ssać? Którą ręką byś go trzymał? Ssałeś kiedyś penisa?

Catherine odpłynęła już w świat fantazji. Kogo widziała u boku Vaughana, siebie czy mnie?

- ...wiesz, jak smakuje nasienie? Smakowałeś go już kiedy? Niektóre są bardziej słone od innych. Nasienie Vaughana musi być bardzo słone...

Spojrzałem na jej blond włosy zakrywające twarz, na biodra, którymi zarzucała konwulsyjnie wychodząc naprzeciw zbliżającemu się orgazmowi. Chyba po raz pierwszy wyobraziła mnie sobie w akcie homoseksualnym i zaskoczyła mnie intensywność tej fantazji. Zadrzała i wyprężyła się z rozkoszy. Nim zdążyłem ją objąć, obróciła się na brzuch, ukrywszy twarz w poduszce zaczęła, aż wypłynie z niej me nasienie, a potem zsunęła się z łóżka i wbiegła do łazienki.

Przez cały następny tydzień Catherine krążyła po halach lotniska niczym królowa w rui. Z penisem dociśniętym do kierownicy obserwowałem ze swojego samochodu, jak Vaughan wodzi za nią zboczonym spojrzeniem, i czułem mrowienie w lędźwiach.

### Doszedłeś?

Helen Remington dotknęła niepewną ręką mego ramienia, tak jakbym był pacjentem, nad reanimacją którego bardzo się napracowała. Kiedy leżałem wyczerpany na tylnym siedzeniu, ona ubrała się szybko i fachowymi ruchami dekoratorki odziewającej manekina w witrynie domu towarowego wygładziła sobie spódniczkę na biodrach.

Po drodze do Laboratorium Badawczego Ruchu Drogowego zaproponowałem przystanek między zbiornikami na zachód od lotniska. Ubiegłego tygodnia Helen usunęła mnie z pola swojego zainteresowania, umieszczając jak gdyby wraz z wypadkiem w poprzednim życiu, którego realność zamazywała się już w jej świadomości. Zdawałem sobie sprawę, że znajduje się u progu okresu bezmyślnej kopulacji, przez który przechodzi większość ludzi po stracie kogoś bliskiego. Kolizja naszych samochodów i śmierć jej męża stały się kluczem do nowej seksualności. W pierwszych miesiącach po jego śmierci nawiązywała szereg szybko konsumowanych romansów, jak gdyby w nadziei, że biorąc w ręce i wpuszczając do pochwy genitalia innych mężczyzn w jakiś sposób przywróci męża do życia, i że całe to nasienie zmieszane w jej łonie utrwali w jej pamięci blaknący obraz zmarłego.

Nazajutrz po pierwszym akcie seksualnym ze mną, wzięła sobie drugiego kochanka, młodszego patologa ze szpitala w Ashford. Po nim było jeszcze kilku mężczyzn: mąż koleżanki z pracy, również lekarki, radiolog praktykant, kierownik warsztatu samochodowego. We wszystkich tych

przygodach, które bez żenady mi ralacjonowała, uderzyło mnie jedno, a mianowicie obecność w każdym auta. Wszystkie miały miejsce w samochodzie, a to w wielopiętrowym parkingu przy lotnisku, a to nocą na stanowisku smarowniczym warsztatu samochodowego, to znowu na bocznych drogach niedaleko północnej obwodnicy, tak jakby obecność samochodu wprowadzała element, który sam w sobie stanowił akt seksualny. Domyślałem się, że w jej odczuciu te nowe możliwości swego ciała zawdzięcza samochodowi, który w jakiś sposób odtwarza rolę, jaką odegrał w śmierci jej męża. Tylko w samochodzie potrafiła osiągnąć orgazm. Jednak pewnego wieczoru, kiedy leżałem z nią w swoim wozie na dachu wielopiętrowego parkingu w Northolt, poczułem naraz, że jej ciało sztywnieje w przypływie wrogości i frustracji. Położyłem dłoń na ciemnym trójkącie jej wzgórka łonowego, który srebrzył się w mroku wilgocią. Oderwała ode mnie ręce i zapatrzyła się na kabinę samochodu, tak jakby zamierzała rozpruć swoje obnażone piersi na tej pułapce ze szkła i metalowych noży.

Wokół nas, w niewidzialnym morskim świetle słonecznego blasku, stały opuszczone zbiorniki na wodę. Helen zasunęła szybę od swojej strony, odcinając nas od huku startującego samolotu pasażerskiego.

- Więcej tu nie przyjedziemy... musisz znaleźć jakieś inne miejsce.

Czułem ten sam spadek podniecenia. Bez obserwującego nas, rejestrującego swoim aparatem nasze pozycje i obszary skóry Vaughana, orgazm wydawał mi się jakiś pusty i sterylny, przypominał pozbywanie się zbędnej tkanki.

Wyobraziłem sobie kabinę samochodu Helen, ten twardy chrom i winyl, ożywianą mym nasieniem, przekształcaną w buduar obrośnięty egzotycznymi kwiatami, pnączami splatającymi się pod szyberdachem, bujną, wilgotną trawą, która pleni się na podłodze i siedzeniach.

Kiedy spoglądałem na Helen przyśpieszającą na drodze szybkiego ruchu, nasunęło mi się naraz pytanie, jak mógłbym ją zranić. Przemknęło mi przez myśl, żeby zabrać ją na szlak śmierci jej męża - może dzięki temu znowu zaczęłaby mnie pożądać, poczuła na powrót tę erotyczną wrogość wobec mnie i zmarłego.

Skręciliśmy w bramę Laboratorium. Helen siedziała pochylona nad kierownicą, trzymając ją dziwnym chwytem. Jej ciało tworzyło niezgrabny układ geometryczny z kątami nachylenia słupków przedniej szyby i kolumny kierownicy, tak jakby świadomie naśladowała pozycję okaleczonej młodej kobiety imieniem Gabrielle.

Przeszliśmy z zatłoczonego parkingu na plac testowy. Helen wdała się w dyskusję na temat zatwierdzenia przez ministerstwo projektu wprowadzenia stabilizatorów poprzecznych z pracownikiem naukowym, który nas tam powitał. Na betonowej nawierzchni stały w dwóch rzędach rozbite samochody. W pogniecionych wrakach siedziały ciała plastikowych manekinów z twarzami i korpusami popękkanymi w trakcie kolizji. Na ich głowach i brzuchach zaznaczono kolorowymi obwódkami obszary obrażeń. Helen przyglądała się im przez wybite przednie szyby jak pacjentom, których będzie leczyła. Kiedy szliśmy przez rosnący tłumek gości w eleganckich garniturach i kwiecistych kapeluszach, wsuwała rękę przez wytłuczone okna i głaskała plastikowe głowy i ramiona.

Owa senna logika unosiła się nad całym popołudniem. Kilkuset widzów wyglądało w blasku słońca jak manekiny, sprawiało wrażenie nie bardziej realnych niż plastikowe postacie odgrywające role kierowcy i pasażerów w czołowym zderzeniu limuzyny z motocyklem.

To wrażenie odcieleśnienia, nierealności mięśni i kości nasiliło się wraz z pojawieniem się Vaughana. Technicy mocowali motocykl na wózku, na którym miał pomknąć po metalowych szynach w kierunku stojącej w odległości siedemdziesięciu metrów limuzyny. Od obu pojazdów odbiegały przewody łączące czujniki z urządzeniami rejestrującymi ustawionymi na szeregu podpartych kobyłkami stołów. Przebieg zderzenia miał być filmowany dwoma kamerami. Obiektów pierwszej, zamontowanej przy torze testowym, nakierowany był na punkt zderzenia, druga spoglądała w dół z podnośnika. Na małym ekranie odtwarzano już z magnetowidu film przedstawiający techników rozmieszczających czujniki w przedziale silnikowym samochodu. W aucie siedziała rodzina składająca się z czterech manekinów - męża, żony i dwojga dzieci - z przewodami przyłą-

czonymi do głów, klatek piersiowych i nóg. Na ciałach zaznaczono im już spodziewane strefy urazów, jakie odniosą w kraksie; na twarze i gardła naniesione mieli karminową i fioletową farbą skomplikowane figury geometryczne. Technik po raz ostatni poprawił pozycję kierowcy, układając jego ręce na kierownicy w prawidłowej pozycji za dziesięć drugą. Komentator, starszy pracownik naukowy, powitał przez megafon obserwatorów tej eksperymentalnej kraksy i żartobliwie przedstawił pasażerów samochodu:

- Oto Charlie i Greta. Wyobraźcie sobie państwo, że wybrali się na przejażdżkę ze swymi dziećmi, Seanem i Brigitte...

Mniejsza grupka techników przygotowywała w drugim końcu toru motocykl, przykręcając kamerę do wysięgnika zamocowanego na wózku, który pomknie za chwilę po szynach. Widzowie - przedstawiciele ministerstwa, specjaliści od bezpieczeństwa ruchu drogowego, inżynierowie drogowcy z żonami - zgromadzili się, niczym kibice z toru wyścigowego, wokół punktu zderzenia.

Kiedy od strony parkingu, wyciągniętym krokiem nadszedł na swych długich, niepewnych nogach Vaughan, wszyscy odwrócili głowy i spojrzeli na jego postać w czarnej kurtce zbliżającą się do motocykla. Wcale bym się nie dziwił, gdyby dosiadł maszyny i pognął na nas po szynach. Szramy na jego wargach i czole rozwierały się niczym rany cięte po szabli. Przystanął, przyglądał się przez chwilę, jak technicy sadowią plastikowego motocyklistę - „Elvisa” - na siodełku, po czym ruszył w naszą stronę, machając ręką do Helen Remington i mnie. Idąc, przesuwając jakimś zaczepnym spojrzeniem po twarzach zgromadzonych widzów. Po raz kolejny uderzyło mnie w nim owo dziwne połączenie zamknięcia w sobie, całkowitego uwięzienia we własnym spanikowanym wszechświecie, z otwartością na wszelkie rodzaje doświadczeń płynących ze świata zewnętrznego.

Vaughan przepchnął się przez tłum widzów. W prawym ręku trzymał plik folderów reklamowych i ulotek LBRD. Pochylił się nad Helen Remington, która spoglądała nań z krzeselka w pierwszym rzędzie.

- Widziałś Seagrave'a?  
- A miał tu przyjść?  
- Dzisiaj rano telefonowała do mnie w jego sprawie Vera. -  
Sporządził na mnie i pomachał plikiem ulotek. -



Zbieraj całą makulaturę, jaka wpadnie ci w oko, Ballard. Rozdają tu ciekawe materiały - „Siły działające na pasażerów”, „Odkształcenia ludzkiej twarzy w chwili zderzenia”... - Kiedy ostatni technik odstąpił od samochodu testowego, Vaughan pokiwał z uznaniem głową i przyciszonym głosem skomentował: - LBRD dysponuje niewiarygodnie zaawansowaną techniką symulacji wypadku. Z tym oprzyrządowaniem potrafią odtwarzać w nieskończoność kraksy Jayne Mansfield i Camusa - nawet Kennedy'ego.

- Oni starają się tutaj doprowadzić do zmniejszenia liczby wypadków na drogach, a nie do jej zwiększenia.

- To chyba zależy od punktu widzenia. Komentator wezwał widzów do zachowania porządku.

Za chwilę miało dojść do kraksy. Vaughan zapomniał o mnie i patrzył przed siebie jak cierpliwy podmiejski podglądacz przysypiający nad lornetką. Prawą dłonią, osłoniętą folderami reklamowymi, manipulował poprzez materiał spodni swoim penisem. Ścisnął jego koniec, wypychając niemal żołądź poprzez wytartą tkaninę i ściągając napletek palcem wskazującym. Przez cały ten czas wodził wzrokiem tam i z powrotem po torze zderzenia, chłonąc każdy jego szczegół.

O szyny zabębniły elektryczne wyciągarki napinające katapultę, naprężyły się liny. Ręka Vaughana gmerała przy kroczu. Szef techników odstąpił od motocykla i dał znak swojemu asystentowi przy katapulcie. Vaughan skupił teraz całą uwagę na stojącym przed nami samochodzie. Jego czterej plastikowi pasażerowie siedzieli w sztywnych pozach i przywodzili na myśl rodzinę udającą się na niedzielną mszę do kościoła. Vaughan obejrzał się na mnie przez ramię, chyba żeby sprawdzić, czy też patrzę. Twarz miał ściągniętą, oblaną niezdrowym rumieńcem.

Motocykl z głośnym szczękiem wyrwał z miejsca i pognął torem. Wlokące go liny pobrzękiwały o metalowe szyny. Manekin motocyklista tkwił pewnie w siodelku. Prąd powietrza odrzucał mu głowę do tyłu. Z rękoma przykutymi do kierownicy wyglądał jak pilot kamikadze. Długą szyję miał oblepioną czujnikami. Przed nim, na końcu toru, z nieobecnyminami siedziała w swoim samochodzie rodzina czterech manekinów. Ich twarze pokrywały tajemnicze symbole.

Słychać było ostry świst; to przewody odbiegające od czujników szorowały po trawie rosnącej obok toru. Moto-

cykl wyrznął w przód limuzyny z głośnym metalicznym łomotem. Impet zderzenia obrócił oba pojazdy w stronę rzędu przestraszonych widzów. Odruchowo chwyciłem Vaughana pod ramię, żeby nie stracić równowagi. Motocykl wraz z motocyklistą poszybował nad maską samochodu, rąbnął w przednią szybę, po czym czarną masą odłamków przekoziółkował przez dach. Przycumowany stalowymi linami samochód odrzuciło o trzy metry w tył. Znieruchomiał okrakiem nad szynami. W wyniku uderzenia wgnieceniu uległy maska i dach, popękała przednia szyba. Siła bezwładności cisnęła siedzącą w środku sztywną rodzinę w przód. Bezgłowy tułów kobiety zajmującej miejsce obok kierowcy wbił się w popękaną przednią szybę.

Technicy pomachali uspokajająco do publiczności i podeszli do motocykla, który leżał na boku pięćdziesiąt metrów za samochodem. Przystąpili do zbierania kawałków ciała motocyklisty, utykając sobie pod pachy jego nogi i głowę. Wiórki włókna szklanego z twarzy i ramion manekina skrzyły się wokół samochodu testowego niczym srebrny śnieg, konfetti śmierci.

Komentator znowu zwrócił się przez megafon do widzów. Usiłowałem zrozumieć, co mówi, ale mój mózg nie nadążał z interpretacją dźwięków. Wstrząsająca, brutalna wymowa tej symulowanej kraksy i fakt rozmyślnego zniszczenia przedmiotów wytworzonych wielkim nakładem kosztów zupełnie mnie rozkojarzyły.

Helen Remington trzymała mnie pod rękę. Uśmiechała się do mnie i kiwała zachęcająco głową, jak gdyby nakłaniała dziecko do pokonania jakiejś psychicznej przeszkody.

- Możemy obejrzeć to jeszcze raz na ampeksie. Odtwarzają przebieg doświadczenia w zwolnionym tempie.

Tłum przemieszczał się w stronę stołów na kobyłkach, odprężone głosy narastały ponownie do gwaru. Odwróciłem się, żeby poczekać na Vaughana. Stał pomiędzy pustymi krzeselkami i wlepił wzrok w zniszczony samochód. Krok jego spodni przyciemniała rozlana plama nasienia.

Nie zwracając uwagi na Helen Remington, która z nikłym uśmiechem odsunęła się od nas, patrzyłem na Vaughana, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Mając przed sobą kompozycję złożoną z rozbitego samochodu, rozczłonkowanych

manekinów i wyeksponowanej seksualności Vaughana stwierdziłem, że brnę terenem, którego ukształtowanie prowadzi zawartość mej czaszki ku zagadkowemu królestwu. Stałem za Vaughanem, przypatrując się jego muskularnym plecóm i silnym ramionóm, które poruszały się miarowo pod czarną kurtką.

Widzowie otoczyli wianuszkím aparaturę Ampexa i oglądali jeszcze raz zderzenie motocykla z limuzyną. Poszczególne fazy kolizji odtwarzane były w zwolnionym tempie. Przednie koło motocykla uderzyło z sennym spokojem w zderzak limuzyny. Obręcz wgięła się, a spadająca z niej opona zwinęła się w ósemkę. Tył motocykla zaczął się podrywać w powietrze. Manekin Elvis uniósł się z siodełka. Na spowolnionym filmie jego niezgrabne ciało nabrało wreszcie gracji. Prostując na całą długość nogi i ręce, stanął na pedałach niczym najbłyskotliwszy z kaskaderów. Głowę miał uniesioną, podbródek wysunięty do przodu w pozie arystokratycznej pogardy. Tyłne koło motocykla unosiło się za nim nadal; jeszcze trochę, a uderzyłoby go w plecy, ale on z wielką finezją oderwał stopy od pedałów i pochylił swe szybujące ciało do pozycji horyzontalnej. Motocykl przeokoziółkował pod nim, urywając mu ręce przymocowane wciąż do kierownicy. Przewody doprowadzone do czujnika odcięły jedną dłoń na wysokości nadgarstka. Prując powietrze twarzą wymalowaną w strefy urazów, wyprysnął głową naprzód na spotkanie z przednią szybą samochodu. Uderzył klatką piersiową o maskę i poszorował po błyszczącym lakierze jak deska surfingowa.

Tymczasem samochód odskakiwał już do tyłu pod wpływem pierwszego uderzenia, a siła bezwładności pchała czworo jego pasażerów do przodu ku drugiej kolizji. Ich gładkie twarze zbliżyły się do wybiegającej im naprzeciw przedniej szyby, jakby pragnęły przyjrzeć się lepiej sunącemu po masce intruzowi. Kierowca i siedząca obok niego kobieta dotknęli przedniej szyby ciemieniami opuszczonych głów w tym samym momencie, kiedy uderzał w nią manekin motocyklisty. Całą trójkę otoczyła fontanna rozpryskującego się szkła, w której, jakby w akcie celebracji, ich ciała przyjęły jeszcze bardziej ekscentryczne pozycje. Motocyklista z twarzą oddartą przez lusterko wsteczne sunął dalej horyzontalnym torem poprzez rozsypującą się szybę. Jego lewa ręka obcięta na wysokości łokcia przez słupek przed-

niej szyby i porwana w górę przez gejzer szklanych okruchów dołączyła do warkocza odłamków ścigających motocykl, który przelatywał odwrócony do góry kołami metr nad jego plecami. Prawa ręka wsunęła się przez rozbitą przednią szybę do środka wozu, tracąc najpierw dłoń na gilotyne wycieraczki, a potem przedramię w zderzeniu z twarzą kobiety pasażerki, w którym zmiżdżeniu uległa prawa kość policzkowa tej ostatniej. Korpus motocyklisty obrócił się z gracją wewnątrz kabiny, waląc biodrami o prawy słupek przedniej szyby, który w wyniku tego wygiął się pośrodku. Nogi zarzuciło mu na zewnątrz. Uderzyły gołeniami o środkowy słupek drzwi.

Tymczasem odwrócony do góry kołami motocykl spadł na dach samochodu. Jego kierownica przeszła przez wybitą szybę i obcięła głowę pasażerce z przedniego fotela. Przednie koło i chromowany zespół widelca przebiły dach, a zerwany łańcuch obciął głowę przelatującemu motocykliście. Kawalki jego rozczłonkowanego ciała odbiły się od osłony tylnego koła samochodu i spadły na ziemię w mgiełce rozproszkowanego hartowanego szkła, które sypało się z samochodu niczym lód z odmrażanej mrożonki. Tymczasem kierowca odbił się klatką piersiową od kierownicy i zsuwał po jej kolumnie na podłogę pod swoim fotelem. Ręce jego bezgłowej żony uniosły się obronnym gestem do szyi i uderzyły o deskę rozdzielczą. Jej odcięta głowa odbiła się od winylowego obicia siedzenia, przefrunęła między tułowiami dzieci siedzących na tylnej kanapie, uderzyła w tylną szybę i wyleciała na zewnątrz przez lewe drzwiczki. Brigitte, mniejsza z dwójki dzieci, uniosła twarz ku sufitowi kabiny i poderwała ręce w geście przerażenia.

Samochód powoli nieruchomiał, bujając się ospale na resorach. Czwórka pasażerów zamarła w zasypanej szkłem kabinie. Ich kończyny przestały sygnalizować zwariowanym semaforem i zastygły w z grubsza ludzkich położeniach. Po raz ostatni zasypała ich fontanna hartowanego szkła.

Trzydziestokilkuosobowa publiczność wpatrywała się z zapałym tchem w ekran ciekawa, co się dalej wydarzy. Patrząc tak, widzieliśmy w tle nasze własne upiorne wizje. Podczas odtwarzania w zwolnionym tempie przebiegu kolizji nie drgnęła ani jedna ręka, ani jedna twarz. Wyglądaliśmy wszyscy mniej realnie niż tamte manekiny w samochodzie. Zerknąłem na stojącą obok mnie żonę urzędnika z ministerstwa. Oglądała film w skupieniu, zupełnie jakby

na miejscu rozcłonkowywanych w kraksie manekinów widziała siebie z córkami.

Widzowie odeszli do namiotu na herbatę. Ruszyłem za Vaughanem w kierunku rozbitego samochodu. Vaughan przeszedł między krzesłami i wypluł w trawę żutą gumę. Wiedziałem, że jest pod większym niż ja wrażeniem testowej kraksy i odtwarzanego w zwolnionym tempie filmu. Helen Remington obserwowała nas, siedząc samotnie wśród pustych krzesel. Vaughan jął wodzić dłońmi po wgniecionej masce i rozprutym dachu, mięśnie jego twarzy zwierzały się i rozwierzały jak kajdanki. Pochylił się i zajrzał do kabiny, przypatrując się bacznie każdemu manekinowi z osobna. Odnosiłem wrażenie, że zaraz do nich przemówi. Przesunąłem wzrok z powginanych krzywizn maski i zderzaka na rozpadlinę między jego pośladkami. Zniszczenie tego samochodu i jego pasażerów zdawało się jakby sankcjonować seksualną penetrację ciała Vaughana; i jedno, i drugie stanowiło akt konceptualny odarty z wszelkich uczuć, nie niosący żadnych idei ani emocji, z jakimi zwykliśmy je łączyć.

Vaughan zdrapał z twarzy kierowcy łuszczące się włókno szklane. Otworzył z trudem drzwiczki i przytrzymując się zdeformowanej kierownicy, przysiadł jednym pośladkiem na fotelu kierowcy.

- Zawsze chciałem się przejechać rozbitym samochodem.

Uznałem tę uwagę za żart, ale Vaughan mówił chyba

poważnie. Ochłonął już, tak jakby ten akt gwałtu wyssał z jego ciała trochę napięcia albo zneutralizował tak długo tłumioną skłonność do zadawania gwałtu.

- W porządku - oznajmił Vaughan, otrzepując dłonie z włókna szklanego. - Możemy już iść. Podrzucę cię. - Widząc, że się zawałałem, dorzucił: - Wierz mi, Ballard, wszystkie kraksy samochodowe wyglądają podobnie.

Czy wiedział, że wyobrażałem sobie w duchu szereg seksualnych pozycji z udziałem jego, mnie, Helen Remington i Gabrielle, które byłyby odtworzeniem śmiertelnej próby manekinów i motocyklisty z włókna szklanego? W toalecie przy parkingu Vaughan, cofając się od pisuaru, z rozmysłem wyeksponował na wpół wzwidzonego penisa, strząsając z niego ostatnie krople uryny na kafelkową posadzkę.

Natychmiast po opuszczeniu terenu Laboratorium odzyskał całą swoją agresywność, zupełnie jakby przejeżdżając

samochody zaostrzyły mu apetyt. Prowadził swój ciężki wóz uliczką dojazdową do drogi szybkiego ruchu, napierając poobijanym zderzakiem na tył poprzedzającego nas małego samochodu tak długo, aż ten zjechał na bok, żeby nas przepuścić.

Bębniłem palcami o deskę rozdzielczą.

- Ten wóz to dziesięcioletni continental. Jeśli dobrze rozumiem, zabójstwo Kennedy'ego jest dla ciebie szczególnego rodzaju kraksą samochodową?

- Można by to tak nazwać.

- Ale dlaczego upatrzyłeś sobie akurat Elizabeth Taylor? Czy jeżdżąc za nią tym samochodem nie narażasz jej na niebezpieczeństwo?

- Z czyjej strony?

- Seagrave'a. Ten człowiek jest na wpół szalony.

Obserwowałem, jak jedzie ostatnim odcinkiem drogi szybkiego ruchu, nie starając się nawet zmniejszyć szybkości pomimo znaków ostrzegawczych.

- Vaughan... czy ona miała kiedyś wypadek drogowy?

- Poważniejszego nie. A to znaczy, że wszystko jeszcze przed nią. Przy odrobinie zapobiegliwości mogłaby zginąć w jakiejś unikalnej kolizji, takiej, która urzeczywistniłaby wszystkie nasze marzenia i fantazje. Człowiek, który zginął by wraz z nią w tej kraksie...

- Czy Seagrave też tak myśli?

- Na swój sposób.

Dojechaliśmy do ostatniego nawrotu. Chyba po raz pierwszy od chwili odjazdu spod Laboratorium Badawczego Ruchu Drogowego Vaughan użył hamulców. Ciężki wóz przechylił się i wszedł w długi poślizg. Wyniosło nas przed taksówkę, która okrążyła już wysepkę. Vaughan wduślił do deski pedał gazu i przemknął jej przed maską z piskiem opon, w którym utonął ryk klaksonu taksówki. Krzyknął coś przez otwarte okno do kierowcy i pomknął w kierunku wąskiego kanionu bocznej, biegnącej na północ drogi.

Kiedy ochłonęliśmy, Vaughan sięgnął za siebie po leżący na tylnej kanapie nesaser.

- Za pomocą tych kwestionariuszy przeprowadzałem wśród ludzi ankietę do mojego programu. Sprawdź, czy czegoś nie pominąłem.

Ciężki wóz mknął w stronę Londynu, a ja zabrałem się do lektury zebranych przez Vaughana ankiet. Osoby wypełniające te kwestionariusze stanowiły reprezentatywny przekrój światka Vaughana: dwaj programiści komputerowi z laboratorium, w którym wcześniej pracował, młody dietetyk, kilka stewardes, technik medyczny z kliniki Helen Remington, i jakżeby inaczej, Seagrave z żoną Verą, producent telewizyjny oraz Gabrielle. Z krótkich curriculum vitae każdego z ankietowanych dowiedziałem się, jak to było do przewidzenia, że wszyscy oni brali swego czasu udział w mniej lub bardziej poważnej kraksie samochodowej.

W każdym kwestionariuszu ankietowanemu przedstawiano listę znanych postaci ze światów polityki, rozrywki, sportu, zbrodni, nauki i sztuki, i proszono o ułożenie scenariusza wyimaginowanego wypadku samochodowego, w którym mogłaby zginąć jedna z nich. Przebiegając wzrokiem proponowaną listę zauważyłem, że większość z figurujących na niej osób nadal żyje; kilkoro zeszło już z tego świata, w tym niektórzy w wyniku wypadków samochodowych. Odnosiło się wrażenie, że nazwiska owe wybrano na chybił trafił z nagłówków gazet i czasopism, z dzienników i filmów dokumentalnych nadawanych przez telewizję.

Dla odróżnienia, proponowany wybór ran i rodzajów śmierci zdradzał przeprowadzenie wyczerpujących i wnikliwych badań w tym zakresie. Wymieniano tu niemal każdą możliwą do wyobrażenia gwałtowną konfrontację pomiędzy autem a jego pasażerami: siły działające na pasażera w momencie zderzenia, geometria urazów rzepek kolanowych

i stawów biodrowych, deformacja kabiny w wyniku zderzenia czołowego i najechania od tyłu, obrażenia odnoszone w wypadkach na nawrotach, na skrzyżowaniach autostrad, na zbiegach ulic dojazdowych z wielopoziomowymi skrzyżowaniami dróg szybkiego ruchu, strefy zgniotu karoserii aut podczas zderzenia czołowego, otarcia powstające podczas dachowania, amputacja kończyn przez elementy sufitu i parapety drzwiczek podczas dachowania, urazy twarzy powodowane przez deski rozdzielcze i okna, urazy głowy i czaszki powodowane przez lusterka wsteczne i osłony przeciwsłoneczne, urazy kręgosłupa w wyniku najechania od tyłu, oparzenia pierwszego i drugiego stopnia w kraksach, w których dochodzi do pęknięcia i wybuchu zbiornika paliwa, obrażenia klatki piersiowej w wyniku uderzenia o kolumnę kierownicy, urazy brzucha w następstwie nie właściwego wyregulowania pasów bezpieczeństwa, wtórne kolizje pomiędzy pasażerami z przednich i tylnych siedzeń, urazy szyi i kręgosłupa w wyniku wyrzucenia przez przed nią szybę, urazy czaszki spowodowane przez przednie szyby z różnych gatunków szkła, obrażenia nieletnich, zarówno dzieci, jak i niemowląt na rękach, urazy odnoszone w autach inwalidzkich, skomplikowane urazy obejmujące pojedyncze

i podwójne amputacje, obrażenia powodowane przez dodatkowe wyposażenie samochodu, takie jak radioodtwarzacze, barki koktajlowe i radiotelefony, obrażenia powodowane przez emblematy producentów, zatraski pasów bezpieczeństwa i zaciski owiewek.

Na koniec następowała lista obrażeń, które wyraźnie najbardziej frapowały Vaughana - urazy genitaliów odnoszone podczas wypadków samochodowych. Fotografie, które ilustrowały możliwe do wyboru opcje, skompletowano z najwyższą pieczołowitością. Jedne wydarto z periodyków poświęconych medycynie sądowej i podręczników chirurgii plastycznej, inne skserowano z monografii rozprowadzanych w obiegu wewnętrznym, jeszcze inne skradziono z raportów chirurgicznych podczas wizyt w szpitalu w Ashford.

Vaughan skręcił na dziedziniec stacji benzynowej i szkarłatne światło neonu płonącego nad daszkiem padło na te ziarniste fotografie, tę dokumentację przerażających ran: piersi nastolatek zdeformowane przez oprawy zegarów, biusty podstarzałych matron amputowane częściowo przez chromowane listwy zespołu przedniej szyby, sutki odcięte



przez emblematy producenta przymocowane do deski rozdzielczej; urazy męskich i żeńskich genitaliów spowodowane przez osłony kolumn kierownicy, przednie szyby w następstwie wyrzucenia z kabiny, zmiażdżone słupki drzwiczek, sprężyny foteli i zespoły hamulca ręcznego, przełączniki odtwarzaczy kasetowych. Oglądałem w ostrym blasku neonu serię zdjęć obciętych penisów, rozplątanych sromów i zmiażdżonych jąder, a tymczasem Vaughan stał obok młodej pracowniczki stacji benzynowej i żartobliwie wychwalał jej kształty. Kilka fotografii uzupełniono o zbliżenie tej strefy samochodu, w której znajdował się element odpowiedzialny za powstanie przedstawionej na zdjęciu rany: na wykonanej na oddziale urazowym fotografii obok rozciętego na dwoje penisa widniała wstawka przedstawiająca zespół hamulca ręcznego; nad powiększeniem drastycznie okaleczonego sromu zamieszczono zbliżenie piasty kierownicy i emblematu jej producenta. Owe zestawienia porozpruwanych genitaliów z fragmentami karoserii i deski rozdzielczej samochodu tworzyły ciąg przerażających modułów, jednostek nowej waluty bólu i pożądania.

Takie same zestawienia, tym bardziej przerażające, że zdawały się odsłaniać ukryte cechy charakteru ofiary, zobaczyłem na fotografiach urazów twarzy. Zdjęcia tych ran ozdobiono niczym średniowieczne rękopisy wstawkami przedstawiającymi zbliżenia desek rozdzielczych i przycisków klaksonów, wstecznych lusterek i zegarów. Twarz mężczyzny o zmiażdżonym nosie sąsiadowała z chromowaną tabliczką informującą o nazwie modelu samochodu i roku produkcji. Na szpitalnym łóżku leżała młoda kolorowa kobieta o niewidzących oczach, a obok niej widniało zbliżenie wstecznego lusterka, którego szklane spojrzenie zastępowało nieszcześnie wzrok.

Porównując wypełnione kwestionariusze zwróciłem uwagę na rozbieżność w okolicznościach wypadków wybieranych przez ankietowane osoby. Vera Seagrave wybierała na chybił trafił, jak gdyby nie widziała specjalnej różnicy pomiędzy skutkami wyrzucenia przez przednią szybę, dachowania i zderzenia czołowego. Gabrielle faworyzowała urazy twarzy. Najbardziej frapujące były odpowiedzi Seagrave'a - we wszystkich jego scenariuszach kraks jedynymi ranami odnoszonymi przez hipotetyczne ofiary były poważne urazy genitaliów. Spomiędzy wszystkich ankietowanych

osób tylko on wybrał wąską galerię celów składającą się z pięciu aktorek filmowych, ignorując całkowicie polityków, sportowców i osobowości telewizyjne figurujące na liście Vaughana. Na bazie tych pięciu kobiet - Garbo, Jayne Mansfield, Elizabeth Taylor, Bardot i Raquel Welch - Seagrave zbudował istną rzeźnię seksualnych okaleczeń.

Przed nami porykiwały klaksony. Zbliżaliśmy się do zachodnich przedmieść Londynu i ruch na drodze gęstniał. Vaughan bębnił niecierpliwie palcami po kierownicy. Szramy wokół jego ust i na czole tworzyły w blasku popołudnia wyrazistą siatkę zaznaczającą obszary przyszłych pokoleń ran.

Przewracałem stronicę ankiet Vaughana. Na fotografiach Jayne Mansfield i Johna Kennedy'ego, Camusa i Jamesa Deana obwiedziono kolorowymi kółkami ich szyje i strefy łonowe, zakreskowano piersi i kości policzkowe, linią przerywaną zaznaczono usta i brzuchy. Jayne Mansfield wysiadła na reklamowym zdjęciu wytwórni ze swojego samochodu; lewą nogę postawiła już na ziemi i unosiła prawe udo odsłaniając maksimum jego wewnętrznej powierzchni. Piersi miała podane do przodu, na ustach zalotny uśmiech i prawie dotykała skośnego słupka drzwiczek przy profilowanej przedniej szybie. Jedna z ankietowanych osób - Gabrielle - zaznaczyła wyimaginowane miejsca urazów na jej lewej piersi i wyeksponowanym udzie, kolorową linią kreskowaną obwiodła gardło i wskazała elementy samochodu, które wejdą w kontakt z jej ciałem. Wolne miejsca wokół tych fotografii pokryte były notatkami naniesionymi kulfoniastym pismem Vaughana. Przy wielu z nich widniał znak zapytania, jakby Vaughan spekulował na temat możliwych rodzajów śmierci i przyjmował jedne za prawdopodobne, a inne odrzucał jako zbyt ekstremalne. Szczegółowo opisał spłowiła fotografię agencyjną samochodu, w którym zginął Albert Camus. Przy desce rozdzielczej i przedniej szybie widniały słowa „mostek nosa”, „podniebienie”, „lewy łuk jarmowy”. Wycinek w dolnej części deski rozdzielczej zarezerwowano dla organów płciowych Camusa - zegary zakreskowano i opatrzone na lewym marginesie legendą: „żołędź penisa”, „woreczek mosznowy”, „kanał moczowy”, „prawe jądro”. Przez popękaną przednią szybę widać było zgniecioną maskę wozu; spod wybrzuszony metalu wyglądały silnik i chłodnica, a wszystko to zaznaczono zamasy-stym V, przy którym widniało słowo: „nasienie”.

Na zakończenie kwestionariusza pojawiała się ostatnia z ofiar Vaughana. Elizabeth Taylor wysiadła z prowadzonej przez szofera limuzyny przed londyńskim hotelem, uśmiechając się ponad ramieniem męża z głębi tylnej kanapy.

Mając na uwadze tę nową algebrę pozycji nóg i obszarów obrażeń, którą posługiwał się Vaughan, przyjrzałem się jej udom i rzepkom kolanowym, chromowanym ramom drzwiczek i wieku barku koktajlowego. Domyślałem się, że albo Vaughan, albo ankietowane przez niego osoby wyobrażały sobie jej ciało w przeróżnych dziwacznych pozach i że samochody, którymi jeździła, były dla nich niewyczerpaną kopalnią pornograficznych i erotycznych fantazji, każdej możliwej do wyobrażenia seks — śmierci i każdego okaleczenia.

Vaughan odebrał mi kwestionariusze i schował je z powrotem do nesesera.

Stanęliśmy w korku. Zaczynały się godziny szczytu i drogi dojazdowe do Western Avenue zatkała pierwsza fala samochodów wyjeżdżających z Londynu. Vaughan oparł się

o słupek drzwiczek i uniósł palce do nosa, jakby jeszcze raz chciał poczuć pozostałości zapachu nasienia na ich czubkach. Nieobecna twarz tego nawiedzonego mężczyzny za kierownicą zakurzonego samochodu oświetlały ostrzegawcze błyski reflektorów aut nadjeżdżających z przeciwka

i blask latarni płonących nad drogą szybkiego ruchu. Przyglądałem się kierowcom sąsiednich samochodów i wyobrażałem sobie ich życie w kategoriach, które określił dla nich Vaughan. Dla Vaughana oni już nie żyli.

Rozlana na sześć pasów ruchu rzeka pojazdów posuwała się powoli w kierunku wielopoziomowego skrzyżowania z Western Avenue, odbywając ogromną wieczorną próbę własnej śmierci. Czerwone tylne lampy płonęły wokół nas niczym ćmy. Vaughan trzymał od niechcenia koło kierownicy i patrzył z wyrazem kłęski w oczach na wyblakłą fotografię paszportową anonimowej kobiety w średnim wieku, przyczepioną do kratki nawiewu na desce rozdzielczej. Dostrzegłszy dwie idące skrajem drogi kobiety, bileterki kinowe w zielonych uniformach zdążające na wieczorną zmianę, Vaughan poprawił się w fotelu i przyjrzał ich twarzom taksującym okiem rozglądającego się za ofiarą przestępcy.

Kiedy on patrzył na nie, ja, podniecony tym samochodem naczynym wydzielinami ze wszystkich otworów ludzkiego ciała, spojrziałem na jego poplamione nasieniem spodnie. Wspominając fotografie z kwestionariuszy doszedłem do przekonania, że definiowały one logikę aktu seksualnego pomiędzy mną a Vaughanem. Jego długie uda, kanciaste biodra i twarde pośladki, pobliźnione mięśnie brzucha i klatki piersiowej, jego wydatne sutki, wszystko to razem wzięte aż się prosiło o niezliczone urazy oferowane przez sterczące dźwigienki przełączników i wystające elementy wyposażenia wnętrza samochodu. Każda z tych wyimaginowanych ran stanowiła model seksualnego połączenia skóry Vaughana z moją. Zdeprawowana technika kraksy samochodowej sankcjonowała każdy perwersyjny akt. Łaskawa psychopatologia, podnoszona do rangi religii przez dziesiątki tysięcy aut poruszających się autostradami, gigantyczne odrzutowce pasażerskie wzbijające się ponad naszymi głowami w niebo, najskromniejsze wytwory rąk ludzkich i komercyjne laminaty, po raz pierwszy nas przyzywała.

Trąbiąc klaksonem, Vaughan zmusił kierowców z wolniejszych pasów ruchu do przepuszczenia go na utwardzone pobocze. Wydoławszy się z korka, skręcił na parking supermarketu przy drodze szybkiego ruchu. Tam spojrział na mnie z troską.

- Miałeś ciężkie popołudnie, Ballard. Strzeł sobie drinka w bar-ku. Zabiorę cię na przejażdżkę.

Czy ironia Vaughana miała jakieś granice? Wróciwszy z barku zastałem go z łokciem wystawionym przez otwarte okno lincolna, skręcającego ostatniego z czterech papierosów z haszu, który trzymał w woreczku na tytoń w skrytce deski rozdzielczej. Wyklócały się z nim dwie wypacykowane dziwki z lotniska, niewiele starsze od uczennic.

- Gdzieś ty się, u diabła, podziewał? - Vaughan odebrał ode mnie dwie butelki wina, które kupiłem. Rzucił gotowe skręty na wierzch deski rozdzielczej i podjął przerwana dyskusję z młodymi kobietami. Spierali się jałowo o czas i cenę. Usiłując nie zwracać uwagi na ich głosy i sznury pojazdów przesuwające się przed supermarketem, obserwowałem samolot startujący z londyńskiego lotniska i przelatujący nad ogrodzeniem od zachodu konstelacją zielonych i czerwonych świateł, które zdawały się przemieszczać po wielkich połaciach nieba.

Kobiety zajrzały do samochodu i otaksowały mnie jednym spojrzeniem. Wyższa z nich, którą Vaughan przeznaczył już dla mnie, była niemrawą blondynką o cielejących oczach utkwionych w jakiś punkt parę centymetrów nad moją głową. Pokazała na mnie plastikową torebkę.

- On może prowadzić?

- Jasne. Po paru drinkach samochód zawsze lepiej się człowiekowi służy.

Stukając o siebie butelkami wina jak hantlami, Vaughan zagonił kobiety do samochodu. Kiedy druga dziewczyna

o krótko obciętych włosach i wąskich jak u chłopca biodrach otworzyła drzwiczki od strony pasażera, wręczył jej butelkę. Potem zadarł jej brodę i włożył palec do ust. Wydlubał stamtąd grudkę gumy do żucia i odrzucił ją w ciemność.

- Pozbądźmy się tego. Nie chcę, żebyś mi to wdmuchnęła w cewkę moczową.

Zapoznawszy się z obcą mi deską rozdzielczą, zapuściłem silnik i przeciałem dziedziniec, kierując się na boczną drogę. Przebiegając nad nami Western Avenue żółwim tempem sunęły w stronę portu lotniczego sznury pojazdów. Vaughan otworzył butelkę wina i podał ją blondynce siedzącej obok mnie w przednim fotelu pasażera. Zapalił pierwszego z czterech papierosów, które skręcił. Trzymał już łokieć między udami ciemnowłosej dziewczyny i podsuwał jej w górę spódniczkę, odsłaniając czarne krocze. Wyciągnął korek z drugiej butelki i wetknął go dziewczynie w białe zęby wilgotnym końcem. Widziałem we wstecznym lusterku, jak dziewczyna unika jego ust. Zaciągnęła się papierosem i położyła dłoń na pachwinie Vaughana. Vaughan odchylił się do tyłu i nieobecny wzrokiem wodził przez chwilę po jej drobnej figurce jak akrobata obliczający trawersy i odbicia jakiejś gimnastycznej ewolucji wymagającej wielkiej ilości skomplikowanego sprzętu. Rozsunął sobie prawą ręką zamek błyskawiczny rozporoka i wyrzucił biodra w górę uwalniając penisa. Dziewczyna chwyciła go jedną dłonią, ściskając w drugiej butelkę z winem i odzyskując równowagę po zrywie, z jakim wóz ruszył spod świateł. Vaughan rozpiął jej pokiereszowanymi palcami bluzkę i obnażył małą pierś. Ujął sutek między kciuk a palec wskazujący i ścisnął.

Dwadzieścia metrów przede mną zabłyśły światła stopu. Zawyły klaksony aut jadących za mną. W pulsującym blasku ich reflektorów przesunąłem drążek automatycznej skrzyni biegów na jazdę i wciskając pedał gazu wyrwałem ostro do przodu. Vaughana i dziewczynę wcisnęło w oparcie. Mrok w kabinie rozpraszały tylko poświata padająca od zegarów z deski rozdzielczej oraz odbłaski reflektorów i tylnych lamp otaczających nas aut. Vaughan obnażył już obie piersi dziewczyny i pieścił je dłonią. Pokiereszowanymi wargami ssał zachłannie kruszący się niedopałek papierosa. Przystał dziewczynie butelkę do ust. Kiedy piła, unióśł jej nogi, tak że pięty spoczęły na krawędzi siedzenia, i zaczął suwać penisem po skórze jej ud, przeciągnąwszy nim wpierw po

czarnym winylu siedzenia, tak jakby sprawdzał ewentualną ciągłość obu tych materiałów, zanim przystąpi do aktu seksualnego z samochodem i z dziewczyną jednocześnie. Odchylił się do tyłu i wyciągnąwszy lewą rękę nad głowę dziewczyny, objął naprężony czarny winyl oparcia. Lewą dłoń uniósł pod kątem prostym względem przedramienia i odmierzał nią geometrię krawędzi sufitu, a prawą zsunął po udzie dziewczyny i zacisnął na pośladku. Siedząca w kucki dziewczyna rozchyliła nogi odsłaniając mały trójkąt łona z rozwartymi, wezbranymi wargami sromowymi. Vaughan studiował jej ciało z przymrużeniem oka poprzez dym unoszący się z popielniczki.

Drobną, poważną twarz dziewczyny oświetlały reflektory posuwających się w korku samochodów. Wnętrze samochodu wypełniał wilgotny, zawieszisty odór palonego haszu. Moja głowa zdawała się unosić w tych oparach. Gdzieś z przodu, za tymi nie kończącymi się rzędami prawie nie poruszających się pojazdów, znajdowała się oświetlona jasno płaszczyzna lotniska, ale ja ledwie byłem w stanie utrzymać ten wielki samochód na środkowym pasie jezdni. Siedząca obok mnie blondynka zaproponowała mi łyk wina z butelki. Kiedy odmówiłem, położyła mi głowę na ramieniu i dotknęła przelotnie koła kierownicy. Objąłem ją jedną ręką, a ona położyła mi dłoń na udzie.

Zaczekałem, aż znowu się zatrzymamy, i wyregulowałem wsteczne lustro tak, żeby widzieć, co się dzieje na tylnej kanapie. Vaughan trzymał kciuk w pochwie dziewczyny, a palec wskazujący w jej odbycie. Ona siedziała odchyłona do tyłu, z kolanami podciągniętymi do ramion, i paliła obojętnie drugiego skręta.

Vaughan pieścił lewą ręką jej pierś, pobudzając palcami serdecznym i wskazującym sutek jak miniaturowe krocze. Przytrzymując te fragmenty ciała dziewczyny w sformalizowanej pozycji, zaczął poruszać biodrami tam i z powrotem, wciskając penis w dłoń dziewczyny. Kiedy chciała wyciągnąć sobie jego palce z pochwy, niecierpliwie odtrącił jej rękę łokciem i dalej je tam trzymał. Wyciągnął nogi i przekręcił się, dociskając biodra do krawędzi siedzenia. Wsparty się na łokciu suwał nadal penisem w dłoni dziewczyny, tak jakby tańczył taniec o kilku stylizowanych pozycjach, celebrowany konstrukcją i elektroniką, szybkość i linię jakiegoś nowoczesnego auta.

Ten mariaż seksu z techniką osiągnął swoją kulminację, kiedy rzeka pojazdów rozdzieliła się na wiadukcie przed lotniskiem i skręciliśmy w biegnący na północ zjazd. Kiedy samochód rozpedził się po raz pierwszy do szybkości czterdziestu kilometrów na godzinę, Vaughan wyciągnął palce z pochwy i odbytu dziewczyny, zarzucił biodrami i wsunął jej w pochwę penisa. W niebo nad nami były reflektory strumienia samochodów wspinających się na wiadukt. W lusterku wstecznym widziałem wciąż Vaughana i dziewczynę. Ich ciała oświetlał blask reflektorów jadącego za nami auta, padający na czarny bagażnik lincolna i setkę jego chromowanych punktów. W chromowanej popielniczce widziałem odbicie lewej piersi i nabrzmiałego sutka dziewczyny. W winylowej uszczelce szyby widziałem zniekształcone fragmenty ud Vaughana i jej brzucha w dziwacznym anatomicznym zespoleniu. Vaughan wciągnął dziewczynę na siebie i znowu wszedł w nią penisem. W tryptyku odbić w szybkach prędkościomierza, zegara i obrotomierza, w okapturzonych jaskiniach ich podświetlanych skal, trwał akt seksualny pomiędzy Vaughanem i młodą kobietą, taktowany ruchami strzałki prędkościomierza. Wystający profil deski rozdzielczej i stylizowana *rzeźba* osłony kolumny kierownicy odbijały tuzinem obrazów jej unoszące się i opadające pośladki. Kiedy rozpedziłem samochód do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, Vaughan wygiął się w łuk, unosząc dziewczynę w pełny blask reflektorów auta jadącego za nami. W chromowo — szklanej klatce pędzącego wozu rozbłysły jej spiczaste piersi. Konwulsyjne spazmy miednicy Vaughana zbiegały się z błyskami rozmieszczonych co sto metrów latarni ulicznych, które mijaliśmy. Przed każdą podrzucał dziewczynę biodrami, wbijając penisa w jej pochwę, a kiedy żółte światło zalewało kabinę, rozchyłał jej pośladki, by wyeksponować odbyt. Dojechaliśmy do końca zjazdu z wiaduktu. W mroku zapłonęły czerwone światła stopu, oblewając sylwetki Vaughana i dziewczyny różową poświatą.

Skierowałem samochód ku wielopoziomowemu skrzyżowaniu. Vaughan zmienił tempo ruchów miednicą i przyciągnął dziewczynę do siebie, rozprostowując jej nogi wzdłuż swoich. Leżeli w poprzek tylnej kanapy. Vaughan brał w usta to lewy, to prawy sutek dziewczyny. Palec trzymał w jej odbycie, poruszając nim w rytm mijających nas samo-



chodów, dostosowując swoje ruchy do odbłasków światła przesuwających się w poprzek dachu wozu. Odepchnąłem blondynkę trzymającą głowę na moim ramieniu. Uświadomiłem sobie, że jestem niemal w stanie kontrolować odbywający się za moimi plecami akt seksualny sposobem, w jaki prowadzę samochód. Zabawne, ale Vaughan reagował na różne rodzaje nawierzchni jezdni i stan poboczy. Kiedy oddalaliśmy się szybko boczną drogą od londyńskiego lotniska w stronę miasta, on przyspieszył i rękoma wsuniętymi pod pośladki dziewczyny narzucił jej nowy szybszy rytm, jakby jakieś urządzenie czujnikowe w jego mózgu zareagowało na zbliżające się wysokie biurowce. Pod koniec orgazmu prawie stał za mną na rozstawionych szeroko nogach i dotykając potylicą oparcia tylnej kanapy, podparty rękoma pod pośladki, wypychał dziewczynę biodrami w górę.

Pół godziny później podjechałem z powrotem pod lotnisko i zatrzymałem samochód w cieniu wielopiętrowego parkingu wychodzącego na Terminal Oceaniczny. Dziewczyna zdołała wreszcie zwlec się z Vaughana, który leżał wyczerpany na tylnej kanapie. Ogarnęła się niezdarne, nie odzywając do Vaughana ani do sennej blondynki z przedniego siedzenia. Z jej lewego uda na czarny winyl siedzenia ściekało nasienie Vaughana. Żółtawe kropelki płynu szukały największej stromizny prowadzącej ku środkowemu rowkowi kanapy.

Wysiadłem z samochodu i zapłaciłem obu kobietom. Odeszły, unosząc swe twarde lędźwie ku skąpanym w blasku jarzeniówek halom lotniska, a ja odprowadzałem je wzrokiem stojąc przy samochodzie. Vaughan patrzył na tarasową bryłę parkingu, wodząc oczyma po pochyłych poziomach, jakby pomagało mu to analizować wszystko, co zaszło między nim a ciemnowłosą dziewczyną.

Później, z tym samym spokojem i pasją, z jaką sprawdzał możliwości ciała tej młodej prostytutki, Vaughan studiował możliwości stwarzane przez kraksę samochodową. Obserwowałem go często, jak ślęczy nad fotografiami śmiertelnych ofiar wypadków, z przerażającym skupieniem wpatrując się w ich poparzone twarze, zupełnie jakby obliczał najelegantsze parametry obrażeń, które odnieśli, związki ich poturbowanych ciał z wybitymi przednimi szymbami i zespolami desek rozdzielczych. Naśladował te urazy w pozyc-

jach, jakie przyjmował prowadząc samochód, w sposobie, w jaki zwracał beznamiętne oczy na młode kobiety, które podrywał w okolicach lotniska. Używał ich ciał do odtwarzania zdeformowanych anatomii ofiar kraks samochodowych, delikatnie zginając ramiona tych dziewczyn w stawach, dociskając ich kolana do swojej klatki piersiowej, zawsze ciekaw ich reakcji.

Świat zaczął zakwitać ranami. Z okien swojego gabinetu w wytwórni obserwowałem Vaughana siedzącego w samochodzie pośrodku parkingu. Większość personelu wyszła już do domu, zabierając jeden po drugim samochody z rzędów otaczających zakurzoną limuzynę Vaughana. Przyjechał do wytwórni przed godziną. Chociaż Renata mi go pokazała, starałem się nie zwracać na niego uwagi i udawało mi się to przez jakiś czas, ale wraz ze stałym ubywaniem innych pojazdów z parkingu, to samotne auto pośrodku coraz natarczywiej przyciągało mój wzrok. Trzy dni po naszym wizycie w Laboratorium Badawczym Ruchu Drogowego przyszedł wczesnym popołudniem do wytwórni -oficjalnie po to, żeby zobaczyć się z Seagrave'em, ale jego prawdziwym motywem było nakłonienie mnie do zaaranżowania formalnej prezentacji aktorce filmowej. W chwili słabości, natknąwszy się nań na stacji benzynowej przy Western Avenue, niewiele myśląc, choć zdając sobie w pełni sprawę, że nie będę już w stanie pozbyć się Vaughana, zgodziłem się mu pomóc. Od tej pory bez żadnego wysiłku mógł mnie śledzić całymi dniami, czekać na mnie bez końca przy wejściach na lotnisko, na dziedzińcach stacji benzynowych. Wyglądało na to, że podświadomie szukałem jego towarzystwa.

Jego ciągła obecność gdzieś w pobliżu rozpraszała mnie, kiedy prowadziłem, i przecucie mówiło mi, że tylko patrzeć, jak spowoduję drugi wypadek, tym razem na oczach Vaughana. Nawet gigantyczny samolot pasażerski startujący z lotniska stawał się źródłem podniecenia i erotycznych

wizji, karą i pożądaniem czekającym tylko, by narzucić się memu ciału. Wielkie zatory na drogach szybkiego ruchu zdawały się wysysać powietrze i byłem niemal pewien, że to sam Vaughan czarodziejskim zaklęciem wzywał wszystkie te pojazdy na zmęczony beton w ramach jakiegoś wymyślnego testu psychologicznego.

Kiedy Renata odjechała, Vaughan wysiadł z samochodu. Patrzyłem, jak idzie przez parking w kierunku wejścia do biur, i zachodziłem w głowę, dlaczego upatrzył sobie akurat mnie - widziałem się już oczyma wyobraźni, jak prowadzę samochód kursem na zderzenie albo z Vaughanem, albo z wybraną przez niego ofiarą.

Vaughan szedł przez zewnętrzne biura zerkając to w lewo, to w prawo na powiększone fotosy samochodowych kratek wlotu chłodnicy i zespołów przedniej szyby. Miał na sobie te same nieświeże spodnie, które widziałem spuszczone z jego twardych pośladków podczas aktu seksualnego, jaki odbywał w prowadzonym przeze mnie aucie. Na dolnej wardze zrobił mu się wrzód, który w wyniku ustawicznego przygryzania i ssania pękł. Wpatrywałem się z niezdrową fascynacją w ten miniaturowy otworek, świadomy władzy seksualnej, jaką Vaughan ma nade mną, władzy zdobytej częściowo dzięki wypadkowi, którego skutki utrwaliły się w pobliznionych konturach jego twarzy i klatki piersiowej.

- Vaughan, jestem zmęczony. Dużo wysiłku kosztuje mnie samo przychodzenie i wychodzenie z tego biura, a co dopiero uga-  
niać się za producentem, którego ledwie znam. Zresztą szansa, że  
ona naprawdę wypełni twój kwestionariusz, jest zerowa.

- Pozwól jednak, że go jej wręcę.

- Tak, wiem, prawdopodobnie ją oczarujesz... Vaughan stał ty-  
łem do mnie, przygryzając ukraszonym kłem

wrzód na wardze. Moje ręce, najwyraźniej odłączone od mózgu i reszty ciała, zawisły w powietrzu, niepewne, jak objąć go w pa-  
sie. Vaughan odwrócił się do mnie z pokrzepiającym uśmiechem  
na pokiereszowanych ustach, ustawiając się w najkorzystniejszym  
dla siebie półprofilu, jak przed członkiem komisji programowej,  
któremu ma przedstawić założenia swojego nowego serialu telewizyjnego. Odezwał się niewyraźnym i drętym głosem, jakby odur-  
zony haszem, który palił:

- Ballard, ona jest centrum fantazji wszystkich osób, jakie an-  
kietowałem. Czasu nie mamy wiele, ale ty jesteś

zbyt zaabsorbowany obsesją na punkcie własnej osoby, by to zauważyć. Muszę mieć jej odpowiedzi.

- Vaughan, prawdopodobieństwo, że ona zginie w kraksie samochodowej, jest minimalne. Będziesz musiał za nią jeździć do sądnego dnia.

Stałem za Vaughanem i wpatrywałem się w rozpadlinę pomiędzy jego pośladkami, pragnąc, aby te wszystkie fotosy zderzaków i fragmentów przednich szyb samochodów potrafiły się złożyć w kompletne auto, w którym mógłbym dotykać tego człowieka rękoma, jak bezpiecznego psa, i wypalać w tej skarbnicy możliwości szpecące jego ciało rany. Wyobrażając sobie, że te fragmenty kratk wlotu chłodnicy i desek rozdzielczych zwierają się wokół Vaughana i mnie, biorą nas w objęcia, a ja odpinam sprzączkę paska, opuszczam mu spodnie i wchodzę w jego odbyty, składając tym hołd najpiękniejszym konturom tylnego zderzaka, celebrując mariaż mego penisa ze wszystkimi możliwościami stwarzanymi przez dobroczynną technikę.

- Vaughan...

Patrzył na fotos aktorki opierającej się o samochód. W pewnej chwili wziął z mojego biurka ołówek i zaczął cieniować fragmenty jej ciała, otaczając kółkami pachy i łono. Patrzył na fotografię tak, jakby jej nie widział, zapomniał o dymiącym papierosie opartym o brzeg popielniczki. Bił od niego odór wilgoci, amalgamat śluzu odbytniczego i płynu chłodzącego. Ołówek żłobił w powierzchni fotografii coraz głębsze rowki. Zacieniane obszary zaczynały pękać pod smagnięciami, ciosami ułamanym ostrzem ołówka, które przebijało na wylot karton. Dźgając w wystające strefy zespołu kierownicy i deski rozdzielczej, zaznaczał punkty wnętrza samochodu.

- Vaughan! - otoczyłem go ramieniem. Dygotał bliski orgazmu, uciskając krocze kantem lewej dłoni, jak karateka próbujący sam siebie okaleczyć, i trąc przez materiał wzwiedzonego penisa, a prawą dłonią wodząc po odkształconej fotografii.

Wyprostował się z wysiłkiem i wsparł na moim ramieniu. Wpatrywał się w zniszczoną fotografię aktorki filmowej pokrytą zaznaczonymi punktami uderzeń i obszarami urazów, które w jego wyobraźni miały sprowadzić na nią śmierć.

Zażenowany, cofnąłem rękę z ramienia Vaughana i opuściłem ją. Twardy brzuch usiany miał mozaiką blizn. Szramy

na prawym udzie, te stemple piśszcoty odcisnięte tam przed laty w jakimś zapomnianym karambolu, układały się w czekający na zbadanie mymi palcami wzór.

Przelykając flegmę podchodzącą mi do gardła, wskazałem na blizny, pięć szram opisujących z grubsza krąg nad szczytem jego biodra. Vaughan popatrzył na mnie bez słowa, kiedy moje palce zatrzymały się kilka centymetrów od jego skóry. Galeria blizn znacząca jego klatkę piersiową i brzuch. Rozcięty i nieprawidłowo zrośnięty prawy sutek zastygł w wiecznym wzwodzie.

Szliśmy wśród zapadającego zmierzchu w stronę parkingu. Sznury pojazdów na biegnącej skarpą na północ drodze szybkiego ruchu pełzły ospale niczym krew w umierającej arterii. Przed lincolnem Vaughana stały na pustym poza tym parkingu dwa samochody: policyjny wóz patrolowy i białe auto sportowe Catherine. Jeden z policjantów oglądał lincolna, zaglądając do środka przez brudne szyby. Drugi stał z Catherine i rozmawiał z nią.

Policjanci rozpoznali z daleka Vaughana i pomachali na niego. Sądząc, że przyjechali tu przesłuchać mnie w sprawie zacieśniającego się homoerotycznego związku z Vaughanem, odwróciłem się z poczuciem winy.

Kiedy policjanci wdali się w rozmowę z Vaughanem, podeszła do mnie Catherine.

- Chcą przesłuchać Vaughana w sprawie wypadku, do którego doszło w okolicach lotniska. Jakiś przechodzień... podejrzewają, że został z rozmysłem przejechany.

- Vaughana nie interesują przechodnie.

Policjanci, dochodząc jakby do tego samego wniosku, odeszli do swojego wozu. Vaughan odprowadzał ich wzrokiem, unosząc głowę niczym peryskop, jakby skanował coś na powierzchniach ich umysłów.

- Odwieź go lepiej - mruknęła Catherine, kiedy podchodziliśmy do Vaughana. - Pojadę za wami. A gdzie twój wóz?

- W domu. Nie chciało mi się przepychać przez te korki.

- Chyba jednak lepiej będzie, jak pojadę z wami. - Catherine spojrzała mi w twarz, tak jakby zaglądała przez szybkę hełmu nurka. - Jesteś pewien, że możesz prowadzić?

Czekający na mnie Vaughan sięgnął na tylne siedzenie swojego samochodu po biały podkoszulek. Kiedy zdejmował

denimową kurtkę, gasnące światło dnia wyłowiło blizny na jego brzuchu i klatce piersiowej, konstelację białych znamion okrążających jego ciało od lewej pachy po krocze. Samochody, którymi zderzał się celowo w imię mojej przyszłej przyjemności, utworzyły uchwyty dla skomplikowanych aktów seksualnych, dziwnych pozycji na przednich i tylnych siedzeniach, osobliwych aktów sodomii i *fellatio*, które mógłbym odbywać poruszając się po jego ciele od jednego takiego uchwytu do drugiego.

Utknęliśmy w potężnym zatorze. Pasy ruchu od wielopoziomowego skrzyżowania drogi szybkiego ruchu z Western Avenue aż po podjazd na wiadukt zapchane były pojazdami. Przednie szyby odbijały roztopione barwy słońca zachodzącego nad przedmieściami Londynu. W gęstniejącym zmierzchu płonęły światła stopu, odbijając się w ogromnej kałuży lakierowanych karoserii. Vaughan siedział z ręką wystawioną za otwarte okno od strony pasażera. To poklepywał niecierpliwie drzwiczki od zewnątrz otwartą dłonią, to znów bębnił w nie pięścią. Wysoka ściana piętrowego autobusu linii lotniczych stojącego po naszej prawej stronie stanowiła urwisko twarzy. Pasażerowie w jego oknach przywodzili na myśl rzędy umarłych spoglądających na nas z wyżyn galerii kolumbarium. Utrzymanie przez chwilę tego fantastycznego bezruchu wymagało wydatkowania olbrzymiej energii dwudziestego wieku, której starczyłoby na skierowanie całej planety na nową orbitę wokół szczęśliwszej gwiazdy.

Z wiaduktu zjeżdżał na długich światłach wóz policyjny. Błyski obracającego się na dachu niebieskiego koguta ciężły zapadający mrok jak bicz. Nad nami, na szczycie wznoszącej się jezdni, dwaj policjanci kierowali z krawężnika rzeką pojazdów. Ostrzegawcze trójnogi ustawione na trotuarze błyskały rytmicznie: „Zwolnić... Zwolnić... Wypadek... Wypadek...”. Dziesięć minut później, dotarłszy do wschodniego krańca wiaduktu, ujrzelśmy w dole miejsce wypadku.



Sznury samochodów objeżdżały krąg policyjnych lamp ostrzegawczych.

U zbiegu wschodniego zjazdu z wiaduktu z Western Avenue zderżyły się trzy samochody. Wóz policyjny, dwa ambulansy i ciężarówka ekipy ratownictwa drogowego utworzyły wokół nich luźny *corral*. Przy pojazdach uwijali się strażacy i technicy policyjni, w płyty drzwiczek i dachów bluzgały płomienie palników acetylenowych. Na chodniku zbierał się tłumek, gapie tłoczyli się łokieć w łokieć przy metalowej barierce kładki dla pieszych przeznaczonej nad Western Avenue. Najmniejsze z aut biorących udział w wypadku, żółty włoski samochód sportowy, zostało niemal skasowane przez czarną limuzynę o imponującym rozstawie osi, która wpadłszy w poślizg przeleciała przez centralny pas zieleni. Limuzynę odrzuciło następnie przez betonową wysepkę z powrotem na jej jezdnię, gdzie wpadła na stalowy słup tablicy informacyjnej, miażdżąc sobie na nim chłodnicę i błotnik, w chwilę zaś potem uderzyła w nią od tyłu taksówka wjeżdżająca na wiadukt z drogi dojazdowej do Western Avenue. W następstwie uderzenia w tył limuzyny taksówka przewróciła się, a geometria jej karoserii uległa poprzecznemu zwichrowaniu o jakieś piętnaście stopni. Samochód sportowy leżał na dachu na centralnym pasie zieleni. Grupa policjantów i strażaków przewracała go właśnie na bok. W zgniecionej kabinie tkwiły dwa uwięzione ciała.

Obok taksówki leżeli rzędem trzech pasażerowie przykryci po brody kocami. Sanitariusz udzielał pierwszej pomocy kierowcy, starszemu mężczyźnie, który siedział sztywno na tylnym zderzaku swojego samochodu. Twarz i ubranie miał zroszone kropelkami krwi i wyglądał na cierpiącego na jakąś nieznaną chorobę skóry. Pasażerowie limuzyny siedzieli wciąż w przepastnej kabinie swojego wozu, nierozpoznawalni za popękaną wewnętrzną szybą działową.

Włokąc się w procesji pojazdów, mineliśmy miejsce wypadku. Catherine skryła się niemal cała za oparciem przedniego fotela. Jej osłupione oczy przesuwaly się po śladach pozostawionych na jezdni przez ślizgające się opony i po plamach zmieszanego z krwią oleju, które znaczyły znajomą nawierzchnię niczym choreograficzny zapis jakiejś skomplikowanej strzalaniny, diagram próby zabójstwa. Vaughan wprost przeciwnie - wychylał się przez okno wraz z rękoma, szykując się jakby do porwania jednego z ciał. W jakiejś

wnęce czy schowku w tylnym siedzeniu znalazł aparat, który teraz dyndał mu u szyi. Jego oczy przeskakiwały z jednego rozbitego wozu na drugi, jakby chłonał każdy szczegół całą swoją muskulaturą, białymi źrenicami blizn otaczających usta, jakby zapamiętywał szerokim repertuarem zmieniających się jak w kalejdoskopie grymasów i obłeśnych min każdy wgięty zderzak i każdą złamaną kość. Chyba po raz pierwszy od dnia, w którym go poznałem, był całkowicie spokojny.

Z przeciwka nadjeżdżał na syrenie trzeci ambulans. Policjant na motocyklu zajechał nam drogę i dał mi znak, że mam stanąć i przepuścić ambulans. Zatrzymałem samochód pośród tej ponurej scenerii, zgasilem silnik i obejrzałem się na Catherine. Dziesięć metrów od nas stała rozbита limuzyna. Obok niej na ziemi leżało wciąż jeszcze ciało młodego szofera. Jakiś policjant wpatrywał się w strumyczki krwi zlewające się przy jego twarzy i włosach we wdowią woalkę. Trzech techników z łomami i nożycami do cięcia blachy mocowało się z tylnymi drzwiczkami limuzyny. Wyważali zakleszczony zamek i wrywali drzwiczki, żeby uwolnić pasażerów uwięzionych w kabinie.

Na tylnej kanapie siedziało sztywno dwoje pasażerów - różowolicy mężczyzna po pięćdziesiątce w czarnym płaszczu i młodsza od niego kobieta o bladej, anemicznej cerze. Pochylając głowy i wykręcając szyje, wyglądali z wnętrza na policjantów i setki gapiów niczym dwójka ostatnich członków rodziny królewskiej udająca się na poranne przyjęcie do pałacu. Policjant ściągnął pled podróżny okrywający im kolana aż po pas. Ten jeden zdecydowany ruch, w wyniku którego odsłonięte zostały obnażone nogi młodej kobiety i wykręcone, najwyraźniej złamane w kostkach stopy starszego mężczyzny, w jednej chwili zmienił atmosferę całej sceny. Kobieta miała spódniczkę zadartą po talię i rozchylone lekko uda, jakby celowo demonstrowała swoje łono. Lewą ręką w białej rękawiczce splamionej krwią ciekącą jej z małych paluszków przytrzymała się uchwytu przy drzwiczkach. Uśmiechała się blade do policjanta niczym częściowo roznegliżowana królowa zachęcająca dworzanina, by dotknął jej intymnych części ciała. Rozpięty płaszcz jej towarzysza odsłaniał czarne spodnie i eleganckie buty. Jego wyprostowana prawa noga upodabniała go do instruktora tańca demonstrującego figurę tanga. Odwracając się do

młodej kobiety i wyciągając do niej rękę, zsunął się bokiem z siedzenia rozkopując kostkami nóg stertę skórzanych waliz i potłuczone szkło zaścielające podłogę.

Sznur pojazdów znowu drgnął. Zapuściłem silnik i ruszyłem powoli. Vaughan podniósł do oka aparat, ale schował go zaraz na widok sanitariusza z ambulansu, który chciał mu go wytrącić z rąk. Nad nami przesunęła się kładka dla pieszych. Wychylając się do pasa przez okno, Vaughan spojrział w górę na dziesiątki nóg dociśniętych do metalowych prętów barierki, po czym otworzył drzwiczki i wyskoczył z wozu.

Zanim zdążyłem zjechać lincolnem na pobocze, on, lawirując między samochodami, gnał już z powrotem w stronę kładki dla pieszych.

Wróciliśmy pieszo śladem Vaughana na miejsce wypadku. Z wiaduktu zjeżdżały setki przyciśniętych do samochodowych szyb twarzy. Rzesze gapiów tłoczyły się na trotuarze i na centralnym pasie zieleni, napierały na ogrodzenie z drucianej siatki oddzielające biegnące skarpą jezdnie od pobliskiego centrum handlowego i osiedla mieszkaniowego. Policja zaniechała już wszelkich prób rozproszenia tego ogromnego tłumu. Jedna z ekip techników pracowała w pocie czoła przy zmiążdżonym samochodzie sportowym, podważając metalowy dach, który zapadł się na głowy znajdujących się w środku osób. Pasażerów taksówki przenoszono na noszach do ambulansu. Martwego szofera limuzyny przykryto już kocem, a lekarz i dwaj sanitariusze z ambulansu udzielali pierwszej pomocy pasażerom z tylnej kanapy.

Obejrzałem się na tłum. Dostrzegłem sporo dzieci; wiele z nich rodzice trzymali na barana, żeby lepiej widziały. Wspinając po skarpie do ogrodzenia z drucianej siatki, widzieliśmy twarze przemiatane blaskiem obracających się kogutów wozu policyjnego. Żaden z gapiów nie okazywał śladu przejęcia. Patrzyli w dół ze spokojem i wystudiowanym zainteresowaniem inteligentnych klientów na wyprzedaży w wiodącym banku krwi. Ich swobodne pozy sugerowały powszechne rozeznanie w najsubtelniejszych niuansach, zupełnie jakby wszyscy uświadamiali sobie pełne znaczenie przemieszczenia kratki wlotu chłodnicy limuzyny, zniekształcenia szkieletu karoserii taksówki, wzorów, w jakie ułożyły się pęknięcia na ich przednich szybach.

Kiedy staliśmy już z Catherine na szczycie skarpy, wcisnął się między nas grzecznie trzynastoletni chłopiec w stroju kowboja. Żując miarowo gumę patrzył, jak do ambulansu wsuwają na noszach ostatniego pasażera taksówki. Policjant z miotłą posypywał wapnem zakrwawiony beton obok sportowego samochodu. Ostrożnymi posuwistymi ruchami, jakby stremowany faktem, że niszczy skomplikowaną ludzką arytmetykę odniesionych tu obrażeń, zmiatał ciemniejące grudki pod krawężnik centralnego pasa zieleni.

Od strony centrum handlowego nadchodzili dalsi gapie. Przełazili przez dziurę w drucianej siatce. Przyglądaliśmy się całą grupą, jak sanitariusze wydobywają przez wypaczone drzwi limuzyny dwoje jej pasażerów. Najwyraźniej przez głowy przemykały nam wszystkim wyraziste erotyczne fantazje, wizje wymaginowanych stosunków odbywanych z wielkim namaszczeniem i sumiennością na skrawionych lędźwiach tej młodej kobiety, w których ona leży w swoim samochodzie, a członkowie audytorium występują kolejno z tłumu, wchodzą do zgniecionej kabiny limuzyny i wkładają jej penisa w pochwę, by złożyć tam nasienie nieskończonych przyszłości, jakimi zaowocuje mariaż gwałtu z pożądaniem.

Wokół mnie, na całej długości Western Avenue, wzdłuż obu podjazdów na wiadukt, na skutek zatoru spowodowanego przez wypadek ruch zamarł. Tkwiąc pośrodku tego sparaliżowanego huraganu czułem się zupełnie na luzie, tak jakby me obsesje na punkcie mnożących się w nieskończoność pojazdów znalazły wreszcie ujście.

Dla odmiany Vaughan zdawał się stracić całe zainteresowanie wypadkiem. Trzymając aparat nad głową przepychał się beczcemonialnie przez tłum gapiów tarasujący zejście z kładki dla pieszych. Catherine patrzyła, jak przeskakuje ostatnich sześć stopni i wpada między zmęczonych policjantów. Zauważyłem już jej wyraźne zainteresowanie Vaug-hanem, ale zupełnie mnie nie dziwiło ani nie złościło, że trzymając mnie kurczowo pod rękę unika skwapliwie mego wzroku, za to nie odrywa oczu od jego pokiereszowanej twarzy. Wyczułem już, że naszą trójkę czeka jeszcze wykorzystanie w maksymalnym stopniu tej kraksy, sprawdzenie otwieranych przez nią możliwości na własnej skórze. Myślałem o bliznach pokrywających moje ciało i ciało Vaughana, o tych uchwytach dla naszych pierwszych uścisków,

i o ranach na ciałach ocalałych z kraksy, na skutki której patrzyliśmy, o tych ich punktach kontaktowych wszystkich przyszłych seksualnych możliwości.

Odjechał na syrenie ostatni z ambulansów. Gapie wsiadali do samochodów albo wspinali się po skarpie do dziury w ogrodzeniu z drucianej siatki. Minęła nas para nastolatków. Dziewczyna była w denimowym kostiumiku, chłopak obejmował ją jedną ręką w talii, a wierzch dłoni drugiej przykładał do jej prawej piersi, pocierając kłykciami sutek. Wsiadli do żółtego samochodzika plażowego obwieszzonego proporczykami i odjechali, trąbiąc bajeranckim klaksonem. Tęgi mężczyzna w kurtce kierowcy ciężarówki pomagał żonie drapać się na skarpę, podtrzymując ją ręką za pośladki. Powietrze przesycił seks, zupełnie jakbyśmy byli członkami jakiejś sekty rozchodzącymi się po kazaniu, w którym nakłaniano nas do celebrowania naszych seksualności z przyjaciółmi i obcymi, i odjeżdżającymi w noc, by z najbardziej nieprawdopodobnymi partnerami naśladować krwawą eucharystię, której naocznymi świadkami byliśmy.

Catherine oparła się o tylny zderzak lincolna, dociskając krocze do chromowanego okucia pletwy. Nadal na mnie nie patrzyła.

- Będziesz prowadził? Chyba dobrze się czujesz?

Stałem w rozkroku i trzymając dłoń na mostku wdychałem zalane blaskiem reflektorów powietrze. Znowu odzywały się zasklepione rany na klatce piersiowej i kolanach. Czułem swoje blizny, te hołubione urazy, które teraz zaczynały pałać rozkosznym i rozgrzewającym bólem. Me ciało promieniowało z tych punktów ciepłem. Pławiłem się w tym ciepłe niczym wskrzeszony człowiek upojony zagojonymi ranami, które sprowadziły nań pierwszą śmierć.

Ukląkłem przy przednim kole lincolna. Rozbryzgi jakiejś czarnej, galaretowatej substancji zachlapały błotnik i nadkole, osiadły rozmazanym kręgiem na białej ścianie opony. Dotknąłem palcami tego gumiastego nalotu. W nadkole widniało głębokie wgięcie. Taka sama deformacja powstała przed dwoma laty w nadkole mojego samochodu, kiedy potrąciłem owczarka niemieckiego przebiegającego na oślep przez ulicę. Zatrzymałem się wtedy sto metrów dalej, wró-

ciłem pieszo na miejsce wypadku i zastałem tam dwie uczennice wymiotujące w dłonie nad zdychającym psem. Wskazałem palcem na rozmazaną krew.

- Musiałeś potrafić psa. Policja może zająć ci samochód na czas przeprowadzania analizy krwi.

Vaughan ukląkł obok mnie i przyjrzawszy się plamom pokiwał refleksyjnie głową.

- Masz rację, Ballard. Na lotniskowej stacji obsługi jest całodobowa myjnia.

Otworzył przede mną drzwiczki. W jego nieruchomych oczach nie dostrzegałem śladu wrogości, tak jakby wypadek, który widzieliśmy, uspokoił go i zrelaksował. Wsiadłem za kierownicę i czekałem, sądząc, że obejdzie samochód i zajmie miejsce obok mnie, ale on otworzył tylne drzwiczki i usiadł obok Catherine.

Kiedy ruszyliśmy, na przednim fotelu pasażera wylądował aparat fotograficzny. Na rolce zamkniętej w nim ciemnej kliszy destylowały się niewidzialne srebrne wspomnienia bólu i podniecenia, a za moimi plecami zaczynały wydzielać pierwsze chemiczne soki najwrażliwsze powierzchnie śluzowe Catherine.

Kierowaliśmy się na północ, w stronę lotniska. Obserwowałem Catherine we wstecznym lusterku. Siedziała pośrodku tylnej kanapy wsparta łokciami o kolana, wpatrzona nad moim ramieniem na mrowie świetlnych punktów mknące drogą szybkiego ruchu. Kiedy na pierwszych światłach odwróciłem głowę i spojrzałem na nią, uśmiechnęła się do mnie uspokajająco. Vaughan siedział za nią jak znudzony gangster, przytykając lewe kolano do jej uda. Jedną ręką pocierał sobie machinalnie krocze. Popatrywał na jej kark, przesuwał wzrokiem po zarysach jej policzka i ramienia. Uderzyła mnie idealna logika faktu, że Catherine wybrała właśnie Vaughana, człowieka, którego nieobliczalny styl bycia łączył w sobie wszystko to, co najbardziej działało jej na nerwy. Karambol, który widzieliśmy, wyzwolił w jej świadomości te same co u mnie pułapki.

Przy północno — zachodnim wjeździe na teren lotniska skręciłem na stację obsługi. Na tym półwyspie pomiędzy

ogrodzeniem lotniska a drogami dojazdowymi do Western Avenue rozłożyły się obozem agencje wynajmu samochodów, całodobowe kafejki, biura frachtu lotniczego i stacje benzynowe. Wieczne powietrze przecinały światła nawigacyjne samolotów pasażerskich i pojazdów służb naziemnych, tysiące reflektorów płynących Western Avenue i wiaduktem. Rażący rozbłysk, który przemknął w pewnym momencie przez twarz Catherine, uczynił z niej jakby część koszmaru tej letniej nocy, upodobnił do istoty powstałej z naelektryzowanego powietrza.

Przed automatyczną myjnią czekała kolejka samochodów. Trzy nylonowe walce bębniły w mroku o boki i dach stojącej na stanowisku taksówki, z metalowych suwnic bramowych tryskały strumienie wody i roztworu mydła. Pięćdziesiąt metrów od nas, w oszklonym kantorku przy próżnujących dystrybutorach paliwa, czytając komiksy i słuchając radia, siedziało dwóch pracowników stacji z nocnej zmiany. Patrzyłem na walce przesuwające się po karoserii taksówki. Przez szyby zlewane obficie wodą z mydłem ledwie było widać zjeżdżającego z trasy kierowcę i jego żonę siedzących w kabinie. Majaczyli w mroku jak tajemnicze manekiny.

Poprzedzające nas auto podjechało kilka metrów do przodu. Jego światła stopu rozproszyły ciemności zalegające we wnętrzu lincolna, oblewając nas różową jasnością. Zerknąwszy we wsteczne lusterko, zobaczyłem Catherine odchyloną na oparcie tylnej kanapy. Siedzieli z Vaughanem ramię przy ramieniu, a ona wlepiła oczy w jego klatkę piersiową, w szramy otaczające jego kontuzjowane sutki, błyszczące jak świetlne punkty.

Podjechałem lincolnem kawałek w przód. Za sobą miałem blok ciemności i ciszy, skondensowany wszechświat. Po jego powierzchni poruszała się ręka Vaughana. Wsiadłem pod pretekstem wysunięcia teleskopowej anteny samochodowego radia. Mymi reakcjami sterował wypadek pod wiaduktem, do którego doszło niemal dokładnie naprzeciwko miejsca mojej kraksy, oraz dudnienie walców myjni. W krzywym zwierciadle chromowanego słupka okna przy moim nadgarstku, w powginanych blachach maski lincolna odbijały się możliwości nowego gwałtu, jeszcze bardziej ekscytujące, bo muskające nie tyle me zakończenia nerwowe, ile wyobraźnię. Pomyślałem o dotychczasowych romansach

Catherine, zdradach, których nie byłem naocznym świadkiem, ale które widziałem zawsze oczyma wyobraźni.

Pracownik stacji, stojący do tej pory przy kasowniku, odszedł do automatu z papierosami przy stanowisku smarowniczym. Jego odbicie na mokrym betonie zlewało się ze światłami samochodów przejeżdżających drogą szybkiego ruchu. Na poprzek nas samochód tryskała już woda z suwnicy bramowej. Struga mydła siekła maskę i przednią szybę, skrywając pod swą płynną powłoką dwie stewardesy i stewarda.

Odwróciwszy się zobaczyłem, że Vaughan trzyma ułożoną w muszelkę dłoń na piersi mojej żony.

Patrząc na wprost, wprowadziłem samochód na puste stanowisko myjni. Z nieruchomych walców przede mną skapywały resztki cieczy. Opuściłem szybę i zacząłem przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu monety. Pulchna półkula piersi Catherine prężyla się w dłoni Vaughana. Uciskał między palcami jej sutek, tak jakby chciał z niego wykarmić pluton zachłannych męskich ust, wargi niezliczonych sekretarek lesbijek. Gładził tego sutka delikatnie poduszką kciuka, ścierając jak gdyby nadmiarowe wypryski nie większe od smakowitych brodawek. Catherine spoglądała z góry na tę pierś z zachwytem w oczach, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu, zafascynowana jej unikalną geometrią.

Nasz samochód stał samotnie na stanowisku myjni. Dziedziniec wokół nas świecił pustkami. Catherine na wpół leżała na tylnej kanapie, nogi miała rozchylone i podawała usta Vaughanowi, który dotykał ich swoimi pokiereszowanymi wargami, każdą szramą z osobna. Wyczuwałem, że to jakiś rytuał, którego celem jest odcięcie się od zwyczajnej seksualności, stylizowane spotkanie dwojga ciał mające stworzyć namiastkę wrażenia ruchu i kolizji. Pozy przyjmowane przez Vaughana, sposób, w jaki trzymał moją żonę za ramiona, układając ją w poprzek siedzenia, w jaki unosił jej lewe kolano, by otworzyć swemu ciału drogę do rozwidlenia jej ud, wszystko to przypominało mi ruchy kierowcy jakiegoś skomplikowanego pojazdu, widowisko baletowe na cześć nowoczesnej techniki. Jego dłonie zbadały powolnym rytmem tylne powierzchnie jej ud, wsunęły się pod pośladki i uniosły jej odsłonięte łono ku ustom, nie dotykając ich



jednak. Układał jej ciało w szeregu rozmaitych pozycji, pieczołowicie szukając kodów sterujących jej kończynami i mięśniami. Catherine, trzymająca w lewym ręku jego penisa i sunąc palcami prawej ku jego odbytwi, nadal zdawała się ledwie zauważać Vaughana, tak jakby odprawiała akt odarty z wszelkich uczuć. Dotykała prawą dłonią jego klatki piersiowej i ramion, rozpoznawała palcami wzór blizn na jego skórze, uchwytów powstałych w wyniku kraks, w jakich brał dotąd udział, specjalnie na potrzeby tego właśnie aktu seksualnego.

Ktoś krzyknął. W wilgotnym mroku stał z papierosem między palcami jeden z pracowników stacji i kiwał na mnie niczym dyspozytor lotów na pokładzie lotniskowca. Wrzuciłem monetę w szczelinę kasownika i zasunąłem okno. Na samochód trysnęła woda, zalewając okna i odcinając nas od świata zewnętrznego w mrocznej kabinie oświetlanej tylko kontrolkami z deski rozdzielczej. Vaughan leżał w tej mrocznej jaskini w poprzek tylnej kanapy. Catherine klęczała nad nim w rozkroku ze spódniczkę zadartą powyżej talii, trzymając oburącz jego penisa. Ich usta niemal się stykały. Snopy światła odległych reflektorów, rozszczepiane przez mydlany roztwór, przedzierały się przez szyby i zalewały ich ciała luminescencyjną poświatą, która nadawała obojgu wygląd semimetalicznych istot ludzkich z odległej przyszłości, kochających się w chromowanym buduarze. Zadudnił silnik suwnicy bramowej. Walce opadły z łomotem na maskę lincolna i zaczęły sunąć z rykiem ku przedniej szybie, roztrzepując roztwór mydła w wir piany. W szybę trysnęło tysiące bąbelków. Kiedy walce zabębniły również o dach i drzwiczki, Vaughan uniósł miednicę, odrywając niemal poślądki od kanapy. Catherine niezdarnymi dłońmi naprowadziła jego penisa pod swój srom. Ryk walców narastał, a oni unosili się i opadali rytmicznie. Vaughan ścisnął dłońmi jej piersi, jakby chciał je zlepować w jedną kulę. Ryk myjni zagłuszył jęki Catherine w chwili jego orgazmu.

Suwnica bramowa wycofała się do pozycji wyjściowej. Maszyna się wyłączyła. Walce zwisły bezwładnie przed czystą przednią szybą. Do studzienek odpływowych ściekła poprzez ciemność reszta zmieszanej z detergentem wody. Vaughan leżał na wznak wyczerpany, zasysając pokiereszowanymi ustami powietrze i wpadając się błędnym wzrokiem w Catherine. Patrzył na nią, jak podciąga zdrętwiałą

lewą nogę ruchem, którym robiła to setki razy ze mną. Pozostawione przez palce Vaughana siniaki na jej piersiach układały się we wzór przywodzący na myśl obrażenia odniesione w kraksie. Zapraǳnałem sięgnąć za siebie i zająć się nimi, pomóc im w zebraniu sił do odbycia następnego aktu seksualnego, wepchnąć jej sutki w usta Vaughana, wsunąć jego penisa w wąski odbyt Catherine wzdłuż linii naprowadzających wyznaczanych przez poprzeczne szwy tapicerki wskazujące na jej krocze. Zapraǳnałem zgrać kontury jej piersi i bioder z linią dachu samochodu, oddając w tym seksualnym akcie część mariażowi ich ciał z łaskawą techniką.

Odsunąłem szybę i wrzuciłem do kasownika następną monetę. Ledwie woda trysnęła na ociekające wilgocią blachy auta, Vaughan i moja żona znowu zaczęli się kochać. Catherine trzymała go za ramiona i wpatrywała się w jego twarz zachłannym wzrokiem zaniedbywanej kochanki. Odgarnęła z policzków kosmyki blond włosów, spragniona ponownie ciała Vaughana. Vaughan popchnął ją na oparcie tylnej kanapy, rozwarł jej nogi i zaczął pocierać łono, szukając środkowym palcem odbytu. Pochylił się nad nią wsparty na biodrze, układając Catherine i siebie w pozach rannego dyplomaty i młodej kobiety, których widzieliśmy w kabinie rozbitej limuzyny. Wciągnął ją na siebie, wchodząc penisem prosto w pochwę. Jedną ręką trzymał ją pod pachę, drugą wsunął pod pośladek, odtwarzając chwyt, jakiego używali sanitariusze z ambulansu wynosząc młodą kobietę z samochodu.

Kiedy walce myjni zabębniły nad naszymi głowami, Catherine spojrzała mi całkiem trzeźwo w oczy. Jej twarz wyrażała zarówno ironię, jak i miłość, akceptację seksualnej logiki, której zasady oboje rozumieliśmy i na którą byliśmy przygotowani. Siedziałem w milczeniu za kierownicą, a białe mydło rozpływało się po dachu i drzwiczkach niczym płynny welon. Na piersiach i brzuchu mojej żony połyskiwało nasienie Vaughana. Walce, bębniąc, pucowały samochód; na jego nieskazitelnie czystą już karoserię tryskały strugi wody i roztworu mydła. Ilekroć maszyna kończyła swój cykl pracy, odsuwałem szybę i wrzucałem do kasownika kolejną monetę. Dwaj pracownicy stacji obserwowali nas podejrzliwie ze swojego oszklonego kantorka. Kiedy suwnica bramowa zatrzymywała się w pozycji wyjściowej,

w nocnym powietrzu dawały się słyszeć ciche tony muzyki z tranzystorowego radia.

Catherine krzyknęła cicho. Był to właściwie jęk bólu po uderzeniu, jakie wymierzyła jej w usta ciężka ręka Vaughana. Siedział między jej nogami i policzkując ją jedną ręką, drugą usiłował wcisnąć sflaczałego penisa w jej pochwę. Twarz wykrzywiały mu złość i wyczerpanie. Pot ściekał mu po szyi i klatce piersiowej, zwilżając talię spodni. Pod jego razami na rękach i biodrach Catherine wykwiwały sine pręgi. Catherine, wymęczona przez Vaughana, trzymała się kurczowo tylnej kanapy za jego głowę. Zrozumiałwszy wreszcie, że na próżno dźga penisem w jej obolały srom, Vaughan opadł na oparcie. Stracił już całe zainteresowanie tą szlochającą młodą kobietą, która ubierała się obok niego nieporadnie. Jego pokiereszowane ręce macały teraz zniszczone obicie siedzenia, kreśląc nasieniem tajemniczy diagram: jakiś astrologiczny symbol skrzyżowania dróg.

Odjechaliśmy spod myjni, zostawiając za sobą cicho ociekające w mroku walce. Wokół miejsca, w którym stał samochód, wsiąkała w wilgotny beton ogromna kałuża białych pęcherzyków.

Drogą szybkiego ruchu nic nie jechało. Po raz pierwszy od wyjścia ze szpitala widziałem tak puste ulice. Można by pomyśleć, że wyczerpujące akty seksualne, do jakich doszło między Vaughanem a Catherine, na zawsze przegnały samochody z dróg. Jadąc do naszego domu w Drayton Park widziałem w blasku ulicznych latarni twarz śpiącego na tylnej kanapie Vaughana. Poblížnione usta prawie dotykające mokrego od potu siedzenia miał otwarte jak dziecko. Z jego twarzy znikła cała agresja, zupełnie jakby nasienie, które złożył w pochwie Catherine, uniosło ze sobą całe poczucie kryzysu, jakie go ostatnio nie odstępowało.

Catherine siedziała wychylona do przodu, odsunięta od Vaughana. Dotknęła mego ramienia w geście swojskiej miłości. Widziałem we wstecznym lusterku pręgi na jej policzku i szyi, posiniaczone usta deformowały jej nerwowy uśmiech. Zeszpecenia te podkreślały elementy jej prawdziwej urody.

Kiedy zatrzymaliśmy się pod domem, Vaughan wciąż spał. Zatrzymaliśmy się na chwilę z Catherine w ciemnościach obok nieskazitelnie czystego samochodu. Jego wypucowana maska lśniła niczym czarna tarcza. Wziąłem ślaniającą się na nogach Catherine pod pachę, w rękę trzymałem jej torebkę. Kiedy szliśmy po wydeptanym żwirze w kierunku wejścia do budynku, Vaughan wypełził z tylnej kanapy. Nie oglądając się na nas, wgramolił się niezdarne za kierownicę. Myślałem, że ruszy z piskiem opon, ale on zapuścił silnik i odjechał cicho.

W windzie przytuliłem Catherine. Kochałem ją za te razy, które zadał jej ciału Vaughan. Tego wieczora badałem jej ciało i sińce, pieścąc je delikatnie wargami i policzkami,

dostrzegając w rumieniu otartej skóry na jej brzuchu surową geometrię potężnej konstytucji fizycznej Vaughana. Wodziłem peni- sem po brutalnych symbolach, jakie pozostawiły na jej skórze jego ręce i usta. Leżała w poprzek łóżka, opierając małe stópki na mojej poduszce i przykrywając jedną dłonią pierś, a ja klęczałem nad nią. Kiedy dotykałem jej ciała czubkiem penisa, przypieczętowując punkty kontaktowe wymagowanego wypadku samochodowego, które Vaughan naniósł na jej ciało, patrzyła na mnie spokojnie i z uczuciem.

Nazajutrz jechałem do wytwórni w Shepperton, upajając się otaczającym mnie ruchem. Nareszcie mogłem się swobodnie rozkoszować sznurami pędzących pojazdów. Tysiące kolorowych skorup samochodów sunęło elegancką ruchomą rzeźbą betonowej autostrady niczym witające mnie centaury jakiejś arkadyjskiej krainy.

Vaughan czekał już na mnie na parkingu wytwórni. Postawił lincolna na moim miejscu. Kilka centymetrów od mych palców opartych o parapet okna samochodu połyskiwały w blasku poranka szramy na brzuchu Vaughana. Rozporek jego spodni otaczała biała aureola zaschniętego śluzu pochwowego, znacząc miejsce, w którym srom mojej żony wciskał się w jego krocze.

Vaughan otworzył przede mną drzwiczki lincolna od strony kierowcy. Zajmując miejsce za kierownicą uświadomiłem sobie, że pragnę spędzać z nim teraz jak najwięcej czasu. Siedział obok i położywszy wyciągniętą rękę na oparciu fotela za moją głowę, patrzył na mnie bez słowa. Z kroku jego spodni celował we mnie nabrzmiały penis. Odczuwałem teraz składniki prawdziwego uczucia do Vaug-hana, elementy zazdrości, miłości i dumy. Pragnąłem dotykać jego ciała, trzymać go podczas jazdy za udo, tak jak trzymałem Catherine, kiedy się poznaliśmy, wspierać dłoń na jego biodrze podczas spaceru.

Kiedy przekręciłem kluczyk w stacyjce, Vaughan odezwał się wreszcie:

- Seagrave zniknął.
- Gdzie? Skończyli tutaj kręcenie sekwencji kraksy.
- Bóg jeden wie. Jeździ po drogach w peruce i płaszczu z lamparciej skóry. Obawiam się, że zaczniesz śledzić Ca therine.

Nie poszedłem do biura. Tego pierwszego dnia szukaliśmy Seagrave'a, krążąc wiele godzin drogami szybkiego ruchu i podsłuchując na radiu Vaughana prowadzone w paśmie VHF rozmowy policji i załóg ambulansów. Vaughan słuchał meldunków o wypadkach, przygotowując na tylnym siedzeniu swój sprzęt fotograficzny.

Kiedy nad ostatnimi tego dnia zatorami drogowymi zaczął zapadać zmierzch, Vaughan się ożywił. Zawiozłem go do jego mieszkania - ogromnego, jednopokojowego studio na ostatnim piętrze budynku, z którego okien rozciągał się widok na rzekę na północ od Shepperton. Pokój zavalony był nie używanym sprzętem elektronicznym - elektryczne maszyny do pisania, terminal komputerowy, kilka oscyloskopów, magnetofony i kamery filmowe. Na rozmemłanym łóżku piętrzyły się zwoje elektrycznego kabla. Półki pod ścianami uginały się pod ciężarem książek naukowych, niekompletnych roczników czasopism technicznych, tanich wydań fantastyki naukowej i jego własnych opublikowanych prac. Vaughan meblował mieszkanie bez jakiegokolwiek zaangażowania - komplet chromowo — winylowych krzeseł wyglądał tak, jakby porwano go bez zastanowienia z wystawy jakiegoś podmiejskiego domu towarowego.

W mieszkaniu tym dominował nade wszystko ewidentny narcyzm Vaughana - na ścianach studio, łazienki i kuchni wisiały jego fotografie, fotosy z jego programów telewizyjnych, odbitki zdjęć robionych mu przez fotoreporterów prasowych, polaroidowskie zdjęcia przedstawiające jego na planie, w charakteryzatorni, rozmawiającego z producentem. Wszystkie te fotografie pochodziły sprzed wypadku Vaughana, tak jakby lata, które nastąpiły potem, stanowiły tymczasową dziurę w życiorysie, okres niewart dokumentowania. Krzątając się po mieszkaniu, biorąc prysznic i przebierając się, Vaughan co chwila niby to od niechcienia poprawiał któreś z tych płowiejących zdjęć i rozprostowywał im podwinięte rogi, jakby w obawie, że gdy w końcu znikną, przestanie również istnieć jego tożsamość.

Kiedy jechaliśmy tego wieczoru drogą szybkiego ruchu, zrozumiałem, że próbuje się określić, dąży do utrwalenia swej tożsamości poprzez odcisnięcie jej na jakimś zewnętrznym zdarzeniu. Siedział rozwalony obok mnie w fotelu pasażera, słuchał radia i palił pierwszego skręta. Na świeży zapach jego dobrze wyszorowanego ciała nałożył się naj-

pierw smród haszu, a potem, kiedy przejeżdżaliśmy obok miejsca pierwszej z samochodowych kraks, woń nasienia zwilżającego mu krok spodni. Kiedy z głową lekką od oparów narkotyku prowadziłem samochód labiryntem bocznych uliczek, kierując się na miejsce kolejnego wypadku, przed oczyma stało mi ciało Vaughana w łazience jego mieszkania, ten wielki penis wyrastający z jędrnego krocza. Blizny na jego kolanach i udach przywodziły na myśl miniaturowe szczeble, uchwyty tej drabiny desperackich podniet.

Do pierwszego brzasku obejrzelśmy trzy kraksy. Łudziłem się jeszcze w swojej otumanionej głowie, że szukamy wciąż Seagrave'a, ale widać było, że Vaughan przestał się już interesować kierownicą — kaskaderem. Po trzeciej kraksie, kiedy odjechała policja i ambulans, i ostatni kierowca ciężarówki znikł w kabinie swego pojazdu, Vaughan dopalił skręta i ruszył chwiejnie po śliskim od rozlanego oleju betonie w kierunku skraju skarpy. Duży samochód kombi prowadzony przez dentystkę w średnim wieku wpadł w poślizg, wyłamał barierkę ochronną i koziółkując stoczył się na teren zapuszczonego ogródka działkowego. Podeszedłszy do wyłamanej barierki patrzyłem, jak Vaughan spuszcza się po stromiźnie do postawionego już na koła samochodu. Brodząc w wysokiej po kolana trawie obszedł samochód dookoła, potem zatrzymał się i podniósł z ziemi kawałek białej kredy zgubiony przez któregoś z policjantów. Zaczął wodzić palcami po ostrych krawędziach rozbitego szkła i metalowych okuć, dociskać dłonie do pogniecione go dachu i maski. Przerwał na chwilę i oddał w ciemnościach mocz na ciepłą jeszcze kratkę wlotu chłodnicy, z której wzniosł się w nocne niebo obłoczek pary. Vaughan spuścił wzrok na swego częściowo wzwiedzonego penisa i obejrzał się na mnie zakłopotany, jakby prosił o pomoc w zidentyfikowaniu tego dziwnego organu. Przyłożył go do prawego przedniego błotnika samochodu i obrysował kredą jego kontur na czarnym lakierze. Przyjrzał się dokładnie swemu dziełu i, zadowolony, zaczął się przesuwać wokół samochodu, odrysowując penisa na drzwiczkach i popękanych szybach, na pokrywie bagażnika i tylnym zderzaku. Osłoniwszy penisa ręką przed ostrymi metalowymi krawędziami, wgramolił się na przedni fotel i jął odrysowywać go na desce rozdzielczej i podłokietniku, wyznaczając erotyczną ogniskową kraksy i aktu seksualnego, celebrując mariaż własnych genitaliów

z roztrzaskanym okapem deski rozdzielczej, o który zabiła się dentystka w średnim wieku.

Najdrobniejsze detale stylizacyjne żyły dla Vaughana własnym organicznym życiem tak samo nic nie znaczącym, jak kończyny i organy czuciowe istot ludzkich, które jeździły tymi pojazdami. Kazał mi się zatrzymywać na światłach i minutami wpatrywał się w miejsce styku pióra wycieraczki z zespołem przedniej szyby zaparkowanego samochodu. W liniach karoserii amerykańskich limuzyn i europejskich samochodów sportowych zachwycało Vaughana podporządkowanie funkcji gestowi. Potrafiłmy przez pół godziny jechać za nowym buickiem albo ferrari, a on studiował każdy szczegół profilu karoserii i kształtu kufra. Kilkakrotnie, za kręcenie się przy zaparkowanym lamborghini należącym do prosperującego publicyście z Shepperton, zatrzymywała nas policja. Ale nie zrażony tym Vaughan nadal obsesyjnie utrzymywał na kliszy fotograficznej kąt pochylenia słupków przedniej szyby tego wspianego wozu, występ osłony reflektora, wyoblenie nadkola. Miał obsesję na punkcie chromowanych detali zderzaka, stalowych obrzeży nadwozia, osłon wycieraczek przedniej szyby, zatrząsków maski i zamków w drzwiczkach.

Potrafił przechadzać się jak po plaży po parkingach przy supermarketach rozsianych wzdłuż Western Avenue, zafascynowany zderzakami cofającej się corvetty prowadzonej przez jakąś młodą gospodynię domową. Przednie i tylne spojlerki wprowadzały Vaughana w taki trans, że można by pomyśleć, iż widzi rajskiego ptaka. Kiedy jeździliśmy autostradami, Vaughan nakazywał mi często gestem ręki zmianę pasa ruchu, w celu takiego ustawienia lincolna, żeby w promieniach świecącego nam w oczy słońca zaśniła linia dachu wyprzedzającego nas coupe, a potem chłonał idealne proporcje skróconego tyłu wozu. Swoim zachowaniem Vaughan naśladował bez przerwy znaki równości pomiędzy stylem samochodu i organicznymi elementami ciała. Gdy jechaliśmy kiedyś za prototypem włoskiego samochodu ze ściętym tyłem, gestykulacja Vaughana rozmawiającego z siedzącą między nami lotniskową dziwką stała się nagle stylizowana i przesadna, wprawił w osłupienie tę znudzoną kobietę swoim słowotokiem i ruchami ramion.

Kolorystyka wnętrza lincolna i innych samochodów, które zaczęły kraść każdego wieczora w celu odbycia kilku -



dziesięciominutowej przejażdżki, w jego oczach symulowała dokładnie rejony skór młodych dziwek rozbieranych przezeń, kiedy pędziliśmy po zmroku drogami szybkiego ruchu. Ich nagie uda modelowały powierzchnie pokryte pastelowym winylem; stożki głośników odtwarzały kontury ich sterczących piersi.

Dla mnie wnętrza samochodów były kalejdoskopem oświetlonych fragmentów ciał kobiet. Owa antologia nadgarstków i łokci, ud i łon zawierała zmieniające się wciąż mariaże z konturami auta. Pewnego razu jechaliśmy z Vaughanem autostradą przebiegającą południowym skrajem lotniska; prowadziłem wóz dokładnie szczytem silnie wyoblonej nawierzchni, składając wraz z Vaughanem hołd obnażonej piersi uczennicy, którą ten zaczepił niedaleko wytwórni. Wyizolowywaliśmy obaj idealną geometrię tej białej gruszki wydobytej spod jej tuniki w samochodzie pędzącym wyprofilowaną nawierzchnią jezdni.

W oznakowanym pieczołowicie krajobrazie drogi szybkiego ruchu, obciągnięte brzydką, ziemistą skórą ciało Vaughana nabierało surowego, okaleczonego piękna. Betonowe bandy u podnóża wiaduktu nad Western Avenue i rozmieszczone co pięćdziesiąt metrów kanciaste podpory łączyły w sobie fragmenty pokiereszowanej fizjonomii Vaughana.

Przez wiele tygodni, w czasie, których pełniłem funkcję szofera Vaughana, dając mu pieniądze na opłacenie prostytutek i niepełnoetatowych dziwek kręcących się po lotnisku i okolicznych hotelach, obserwowałem, jak Vaughan bada każdy niuans seksu i auta. Dla Vaughana samochód był najwspanialszym i jedynym prawdziwym miejscem dla obycia aktu seksualnego. Z każdą z tych kobiet Vaughan wypróbowywał inny taki akt, wsuwając penisa to w pochwę, to w odbyt, to znów w usta, jakby w zależności od rodzaju nawierzchni drogi, którą jechaliśmy, od natężenia ruchu, od stylu, w jaki prowadziłem.

Jednocześnie odnosiłem wrażenie, że Vaughan wybiera i zapamiętuje niektóre z tych aktów seksualnych i pozycji, w celu ich wykorzystania w przyszłości w jakimś maksymalnym akcie seksualnym w obrębie auta. Proste uwzględniające seks i kinestetykę autostrady równanie, jakie wyprowadzał, było w jakiś sposób związane z jego obsesją na punkcie Elizabeth Taylor. Czyżby wyobrażał sobie ją i siebie w akcie seksualnym, ginących razem w jakiejś skom-

plikowanej kraksie? Porankami i wczesnymi popołudniami jeździł za nią spod hotelu do wytwórni filmowej. Nie powiedziałem mu, że negocjacje w sprawie obsadzenia tej aktorki w przygotowywanej przez nas reklamie samochodu załamały się. Czekać na jej pojawienie, Vaughan zakreślał rękoma małe łuki, wodził dłońmi po tylnej kanapie, zupełnie jakby jego ciało podświadomie, w przyśpieszonym tempie naśladowało setki odbywanych z nią stosunków. Domyślałem się, że gromadzi chaotycznie elementy projektowanego przez siebie aktu seksualnego uwzględniającego aktorkę i trasę, którą ta wybierze, odjeżdżając spod wytwórni w Shepperton. Te podświadome gesty, groteskowy sposób, w jaki wywieszał rękę za okno samochodu, jakby chciał odkręcić i rzucić pod koła jadącego za nami wozu zakrwawioną kończynę, rozchylenie ust, kiedy układał wargi wokół sutka, zdawały się prywatnymi próbami przed jakimś przerażającym, rodzącym się w jego głowie dramatem, przed aktem seksualnym, w którym upatruje kulminację własnej śmiertelnej kolizji.

Przez te ostatnie tygodnie Vaughan z determinacją oznaczał swoją seksualnością miejsca jakieś tajemnej marszruty, własnym nasieniem rysując mapę korytarzy tego przyszełego dramatu. Stopniowo zbliżaliśmy się do otwartej konfrontacji z policją. Pewnego wieczora, podczas godzin szczytu, Vaughan dał mi znak, że mam zaczekać na zielonym świetle i celowo przyblokować stojący za nami sznur samochodów. Błyskając reflektorami, podjechał do nas wóz policyjny. Z nienaturalnej pozycji Vaughana policjant siedzący obok kierowcy wyciągnął wniosek, że braliśmy udział w jakimś poważnym wypadku. Vaughan, zasłaniając twarz siedzącej obok niego nastoletniej kasjerki z supermarketu, przyjął pozę rannego ambasadora, którego widzieliśmy w trakcie wydobywania z rozbitej limuzyny. W ostatniej chwili, kiedy policjant wysiadał już z wozu, puszczając mimo uszu protesty Vaughana wyrwałem ostro do przodu.

Znudzony lincolnem, Vaughan robiąc użytek z kompletu wytrychów, który podarowała mu Vera Seagrave, zaczął pożyczać z lotniskowych parkingów inne samochody. Jeździliśmy sobie tymi pozostawionymi na parkingu na cały dzień autami, których właściciele bawili w Paryżu, Stuttgarcie albo Amsterdamie, i wieczorem odstawialiśmy je z powrotem na ich miejsca parkingowe. Nie byłem już się

wtedy w stanie opamiętać i podjąć wysiłku powstrzymania Vaughana. Ogarnięty taką samą obsesją na punkcie jego żylastego ciała, jak on na punkcie karoserii samochodów, stwierdziłem, że jestem więźniem systemu poszukiwania gwałtu i podniety, systemu tworzonego przez drogi szybkiego ruchu i korki na nich, przez samochody, które kradliśmy, i kipiącą seksualność Vaughana.

W ostatnim okresie swojej znajomości z Vaughanem zauważyłem, że kobiety, które przyprawdzał każdego wieczora do samochodu, zaczynają mi coraz bardziej przypominać kolorystyką i figurą aktorkę filmową. Ciemnowłosa uczennica przypominała Elizabeth Taylor w młodości, podczas gdy inne kobiety reprezentowały ją w coraz to późniejszych fazach życia.

Wybraliśmy się z Vaughanem i Gabrielle na wystawę samochodów do Earls Court. Vaughan, spokojny i szarmancki, prowadził Gabrielle przez tłum, demonstrując ostentacyjnie swoją pokiereszowaną twarz, tak jakby chciał dać do zrozumienia, że pokrywające ją blizny to współczująca reakcja na kalekie nogi Gabrielle. Gabrielle kuśtykała między setkami wystawionych aut. Ich lakiery i chromy połyskiwały w słońcu niczym koronacyjna zbroja archaioła. Gabrielle zdawała się czerpać niewysłowioną przyjemność z dotykania tych nieskazitelnych pojazdów. Przykładała pobliźnione dłonie do ich błyszczących karoserii, ocierała się o nie kontuzjowanymi biodrami niczym naburmuszona kotka. Sprowokowała młodego sprzedawcę ze stoiska Mercedesa do zaproponowania jej, by przymierzyła się do białego sportowego wozu. Chłopak nie krył zakłopotania, kiedy się okazało, że bez jego pomocy Gabrielle nie wciągnie do środka ujętych w szyny nóg. Na ten widok Vaughan aż gwizdnął z zachwytu.

Przechodziliśmy od stoiska do stoiska, od jednego obracającego się na podwyższeniu auta do drugiego. Gabrielle kuśtykała między przedstawicielami przemysłu motoryzacyjnego i hostessami. Nie odrywałem oczu od szyn usztywniających jej nogi, od jej zdeformowanych ud i kolan, od jej rozkołysanego lewego barku, od tych części jej ciała, które zdawały się rzucać wyzwanie nieskazitelnym maszynom z obrotowych podwyższeń, zapraszać je do konfrontacji z jej ranami. Kiedy sadowiła się z trudem w kabinie małego japońskiego sedana, jej szydercze oczy spoczęły na mym nie

kontuzjowanym ciele i ujrzałem w nich tą samą lodowatość, z jaką patrzyły na otaczające nas, geometrycznie idealne maszyny. Vaughan prowadził ją od samochodu do samochodu, pomagając wspinać się na podwyższenia, wsiadać do kabin studyjnych modeli opracowanych przez wydziały projektowe, prototypowych wozów specjalistycznych, luksusowych limuzyn, na tylnych kanapach, których wyglądała jak nadaśana królowa tej nadaktywnej technarii.

- Poprowadź Gabrielle, Ballard - zwrócił się do mnie Vaughan.  
- Weź ją pod rękę. Będzie jej przyjemnie.

Vaughan zachęcał mnie, żebym zajął jego miejsce. Wkrótce potem ulotnił się pod pretekstem, że przed chwilą mignął mu w tłumie Seagrave, chcąc nie chcąc towarzyszyłem, więc Gabrielle oglądającej ekspozycję samochodów inwalidzkich. Rzucając przeformalizowanymi terminami, dyskutowałem z obsługą stoisk o instalacji dodatkowych elementów specjalistycznego wyposażenia, dźwigni hamulców i ręcznych drążków zmiany biegów. Przez cały ten czas obserwowałem z ukosa te części ciała Gabrielle, które odbijały się w koszarnej technice wyposażenia samochodów inwalidzkich. Popatrywałem na jej ocierające się o siebie uda, na wzgórek jej lewej piersi pod paskiem gorsetu, na kanciasty zarys miednicy, czułem twardość jej ręki wsuniętej pod moje ramię. Odwzajemniała me spojrzenia poprzez przednią szybę, bawiąc się chromowaną dźwignią zmiany biegów jakby w nadziei, że zaraz wydarzy się coś obscenicznego.

Gabrielle nie okazała Vaughanowi z tego powodu cienia wrogości, ale to ja pierwszy kochałem się z nią na tylnym siedzeniu jej małego samochodu, w otoczeniu dziwacznej geometrii inwalidzkiego wyposażenia. Badałem jej ciało, wymacując drogę poprzez sprzączki i paski jej bielizny, i nieznanne płaszczyzny jej bioder i nóg wprowadziły mnie w jedyną w swoim rodzaju ślepą uliczkę, w dziwne załomy skóry i mięśni. Każda z jej deformacji stawała się przekonującą metaforą dla podniet nowego gwałtu. Jej kanciaste ciało, nieoczekiwane połączenia błony śluzowej z linią włosów, mięsień zwieracza i tkanka wzwodna stanowiły dojrzewającą antologię perwersyjnych możliwości. Kiedy siedzieliśmy razem w jej ciemnym samochodzie pod ogrodzeniem lotniska, gdzie jedynym źródłem światła były reflek-

tory startujących samolotów, jej biała pierś świeciła w moim ręku, a kształt i kruchość sutka zdawała się gwałcić me palce. Nasze akty seksualne były odkrywczymi doświadczeniami.

Kiedy jechaliśmy w stronę lotniska, obserwowałem, jak manipuluje nie znanymi mi dźwigniami i drążkami. Samochód zaprojektowano specjalnie dla jej potrzeb - pewnie z myślą o jej pierwszym akcie seksualnym. Przed dwudziestoma minutami, kiedy ją obejmowałem, zapach jej ciała mieszał się z wonią salonu samochodowego i odorem musztardowobrazowej skóry. Przy zbiornikach zjechaliśmy na pobocze, żeby popatrzeć na lądujący samolot. Przyciągnąwszy jej lewy bark do swojej klatki piersiowej, ujrzałem profilowane siedzenie opływające jej ciało, półkule miękkiej skóry dopasowujące się do sprzączek i pasków jej uprząży. Zsunąłem dłoń na jej prawą pierś, kolidującą mi już z dziwną geometrią wnętrza auta. Spod kierownicy sterczały dźwignie, których nie powinno tam być. Od stalowego wspornika przymocowanego do kolumny kierownicy odchodziło całe skupisko drążków. Długi, wyrastający z podłogi drążek zmiany biegów odchyłał się w bok, robiąc miejsce pionowemu skrzydłu chromowanego metalu niewiadomego przeznaczenia.

Świadoma tych nowych parametrów, objęć tej sumiennej techniki, Gabrielle odchyliła się na oparcie fotela. Jej inteligentne oczy wodziły za dłonią, którą przesuwiała po mej twarzy i podbródku, szukając tam jakby nie istniejących okuć z błyszczącego chromu. Uniosła lewą stopę i szyna usztywniająca jej nogę oparła się o moje kolano. Od pasków po wewnętrznej stronie ud porobiły jej się odciski, wklęsłe rynny poczerwieniałej skóry, w których odbiły się kształty sprzączek i zacisków. Kiedy rozpiąłem uprząż oplatającą jej lewą nogę i przesunąłem palcami po głębokim rowku pozostawionym przez sprzączkę, stwierdziłem, że pomarszczona skóra w tym miejscu jest gorąca i delikatna, bardziej podniecająca od błony pochwy. To obsceniczne wgłębienie, załączek organu seksualnego wciąż jeszcze w embrionalnym stadium rozwoju, przypominał mi o małych ranach na moim własnym ciele, które do tej pory odzwierciedlały kontury deski rozdzielczej i elementów wyposażenia wozu. Wyczuwałem pod palcami zagłębienia na jej udzie, rowek przebiegający pod piersią i pachą odcisnięty przez pasek gorsetu -

były to wzorce nowych organów płciowych, formy seksualnych możliwości, które czekały jeszcze na odkrywanie w stu eksperymentalnych kraksach samochodowych. Kiedy sunąłem ręką w kierunku rozpadliny między jej pośladkami, wciskały mi się w skórę nieznajome kontury siedzenia,

o które opierałem się ramieniem. Wnętrze samochodu zalegały ciemności skrywające twarz Gabrielle. Odrzuciła głowę na zagłówek fotela, ale unikałem na razie jej ust. Uniosłem dłonią jej pierś i jałem całować zimny sutek, od którego bił odór potu, mieszanka mego własnego śluzu i jakiegoś przyjemnie pachnącego środka farmakologicznego. Przyłożyłem język do wydłużającego się sutka, po czym cofnąłem język i przyjrzałem się uważnie piersi. Nie wiedzieć, czemu przemknęło mi przez myśl, że to może zdejmowalna latek sowa proteza, zakładana, co rano wraz z gorsetem i szynami usztywniającymi nogi, i poczułem pewne rozczarowanie, kiedy okazało się, że to jej własne ciało. Gabrielle siedziała obrócona do mnie przodem, wspierała się o moje ramię

i palcem wskazującym wodziła po wewnętrznej powierzchni mej dolnej wargi, skrobiąc paznokciem o zęby. Obnażone części jej ciała chroniły przed rozsypaniem się popuszczone sprzączki i paski. Bawiłem się jej kościstym łonem, buszując palcami w przewidzionych włosach porastających krocze. Jej pasywność w moich ramionach, ledwie zauważalne ru chy ust w reakcji na me pieszczoty świadczyły chyba, że ta znudzona, okaleczona kobieta odkryła, iż nominalne punkty kontaktowe aktu seksualnego - pierś i penis, odbyt i srom, sutek i łechtaczka - już nas nie podniecają.

Nad naszymi głowami, wzdłuż biegnących ze wschodu na zachód pasów startowych lotniska przelatywały w zapadającym zmierzchu samoloty pasażerskie. W powietrzu unosiły się przyjemny, chirurgiczny zapach ciała Gabrielle i woń musztardowej dermy. W mroku, niczym łebki srebrnych węży, majaczyły główki chromowanych dźwigni, tej fauny z metalowego snu. Gabrielle naniosiła kropelkę śliny na mój prawy sutek i roztarła ją mechanicznie, tworząc namiastkę nominalnego punktu seksualnego zespolenia. W rewanżu zacząłem gładzić jej łono, szukając wewnętrznej grudki łechtaczki. Otaczające nas srebrne dźwignie i drążki samochodu zdawały się reprezentować szczytowe osiągnięcia techniki i kinestetyki. Dłoń Gabrielle przesunęła się po mej pierś. Jej palce natrafiły na małe blizny pod lewym oboj-

czykiem, odcisk zewnętrznej ćwiartki deski rozdzielczej. Kiedy zaczęła badać wargami tę kolistą szramę, po raz pierwszy poczułem, jak nabrzmiwa mi penis. Wyjęła go ze spodni i przystąpiła do badania innych blizn na mej klatce piersiowej i brzuchu, wsuwając w każdą koniuszek języka. Kolejno, jedną po drugiej, zatwierdzała każdą z tych sygnatur złożonych na mym ciele przez deskę rozdzielczą, dźwignie i przełączniki mojego samochodu. Kiedy ona pocierała mego penisa, ja przeniosłem dłoń z jej łona na blizny na jej udach. Wyczuwałem pod palcami miękkie bruzdy wyorane w jej ciele przez ręczny hamulec wozu, w którym się rozbiła. Prawą ręką obejmowałem ją za ramiona, czując nacisk konturowanej skóry oparcia fotela, tych punktów zbiegu półkuli-  
stych i prostoliniowych geometrii. Badałem szramy na udach i ramionach Gabrielle, dotykałem stref ran pod jej lewą piersią, ona zaś badała moje obrażenia. Rozszyfrowywaliśmy wspólnie te kody nowej seksualności, odkrytej przed nami przez kraksy, w których braliśmy udział.

Pofalowanym kanałem irygacyjnym głębokiej szramy na jej udzie popłynęło nasienie wstrzelone tam *przez* mój pierwszy orgazm. Zebrała je w dłoń i wytarła o srebrny drążek zmiany biegów. Przywarłem ustami do blizny pod jej lewą piersią, badając jej sierpowaty kształt. Gabrielle odwróciła się w fotelu, żebym mógł zbadać również rany na jej prawym udzie. Po raz pierwszy nie czułem śladu współczucia dla tej okaleczonej kobiety, lecz celebrowałem wraz z nią podniecające własności abstrakcyjnych wgłębień wyrzeźbionych w jej ciele przez elementy samochodu, który prowadziła. Przez kilka następnych dni nasienie z moich orgazmów zraszało blizny pod jej lewą piersią i jej lewą pachę, rany na jej szyi i ramionach, seksowne nacięcia pozostawione przez odłamki rozpryskujących się pod wpływem impetu zderzenia osłon przeciwsłonecznych i szybek zegarów z deski rozdzielczej. Za pośrednictwem mego penisa poślubiałem samochód, w którym sam się rozbiłem, i auto, w którym w oczy śmierci zajrzała Gabrielle.

Marzyłem o innych wypadkach, które mogłyby powiększyć ów repertuar otworów i zagłębień, łącząc je z coraz to innymi elementami konstrukcji samochodu, z jeszcze bardziej skomplikowanymi technologiami przyszłości. Jakież seksualne możliwości mogły stwarzać rany od ukrytych przed wzrokiem ludzkim elementów termonuklearnych ko-



mór reakcyjnych, wyłożonych białymi kafelkami sterowni, tajemniczych labiryntów wewnątrz komputerów? Obejmując Gabrielle wyobrażałem sobie, jak uczył mnie tego Vaughan, wypadki sławnych i pięknych, rany, od których można było wywodzić erotyczne fantazje, nadzwyczajne akty seksualne oddające hołd możliwościom stwarzanym przez niewyobrażalne technologie. W fantazjach tych potrafiłem wyobrazić sobie wreszcie te rodzaje śmierci i obrażeń, których zawsze się obawiałem. Wyobrażałem sobie swoją żonę raną w kolizji na dużej szybkości, jej zmiążdżone usta i twarz, i nowy podniecający otwór wybity w jej kroczu przez pękającą kolumnę kierownicy, nie pochwę ani odbyty, lecz otwór, który moglibyśmy wypełniać wszystkimi naszymi najgłębszymi uczuciami. Wyobrażałem sobie obrażenia odnoszone przez aktorki filmowe i osobowości telewizyjne, których ciała zakwitają dziesiątkami dodatkowych otworów, te punkty seksualnego kontaktu z ich widzownikami, na które składa się odkształcająca się konstrukcja auta. Wyobrażałem sobie ciało mej matki na rozmaitych etapach życia, kontuzjowane w serii wypadków, wyposażane w nich w otwory jeszcze bardziej abstrakcyjne i pomysłowe, dzięki którym popełnienie z nią kazirodztwa mogłoby się stawać coraz bardziej uroczyste, coraz bogatsze w uściski i pozycje. Wyobrażałem sobie współzawodniczących ze sobą pedofilów, którzy wypożyczają zdeformowane ciała dzieci rannych w wypadkach, pieścą i zlewają ich rany wydzielinami z własnymi pokiereszowanymi genitaliów, podstarzałych pederastów wsuwających języki w pozorne odbyty skoloktomizowanych młodzieńców.

Każdy aspekt Catherine wydawał mi się wówczas modelem czegoś innego, nieskończenie rozszerzając gamę możliwości drzemających w jej ciele i osobowości. Kiedy stąpając nago po posadzce łazienki przeciskała się obok mnie z wyrazem nerwowego zażenowania na twarzy; kiedy rozrzuciwszy symetrycznie uda masturbowała się obok mnie w łóżku rankami, trąc łono palcami, jakby chciała zamęczyć na śmierć jakiś mały weneryczny wyprysk; kiedy przyskała sobie dezodorantem pod pachy, w te wrażliwe jamy przywodzące na myśl tajemnicze wszechświaty; kiedy szła ze mną do samochodu, bębniąc wesoło palcami po moim lewym ramieniu - wszystkie te czynności i emocje były szyframi poszukującymi swego znaczenia wśród twardych, chromowych

zawartości naszych umysłów. Kraksa samochodowa, w której zginie, będzie wydarzeniem, które uwolni drzemiące w niej kody. Leżąc w łóżku obok Catherine, wsuwałem dłoń w bruzdę między jej pośladkami, po czym unosiłem i formowałem każdą z tych białych półkul, te przestwory ciała zawierające wszystkie programy snów i ludobójstw.

Zacząłem myśleć o śmierci Catherine w bardziej wykalculowany sposób, starając się obmyślić dla niej zejście jeszcze wspanialsze niż śmierć, którą Vaughan przeznaczył Elizabeth Taylor. Fantazje te stanowiły część przepojonych uczuciem reakcji, jakimi się wymienialiśmy, jadąc razem drogą szybkiego ruchu.

W tym czasie wiedziałem już, że nawet, jeśli aktorka filmowa nie zginie nigdy w kraksie samochodowej, to Vaughan nie zaniebdał niczego, by stworzyć jej po temu wszystkie warunki. Z tych setek przejechanych kilometrów i odbytych aktów seksualnych Vaughan wybierał określone potrzebne elementy: odcinek wiaduktu nad Western Avenue, na którym doszło do mojej kraksy i śmierci męża Helen Remington, zaznaczony następnie w seksualnej notacji poprzez akt oralnej kopulacji z siedemnastoletnią uczennicą; lewy błotnik czarnej amerykańskiej limuzyny zaznaczony naciśnięciem ramienia Catherine na parapet lewych drzwiczek i zatwierdzenie następnie przedłużającą się erekcją sutka prostytutki w średnim wieku; grymas na twarzy samej aktorki, która wysiadając ze swojego samochodu zaczepia rękawem o opuszczoną do połowy szybę, co Vaughan zarejestrował kamerą filmową wyposażoną w teleobiektyw; elementy przyśpieszających aut, zmieniających się świateł na skrzyżowaniach, rozkołysanych piersi, zmieniających się nawierzchni jezdni, lechtaczek trzymany ostrożnie, jak okazy botaniczne, między kciukiem a palcem wskazującym, stylizacja tysięcy jego własnych czynności i póż w trakcie prowadzenia - wszystko to czekało zmagazynowane w pamięci Vaughana, gotowe do wywołania i wpasowania w narzędzie zabójstwa, które przewidział. Vaughan wypytywał mnie bezustannie o życie seksualne aktorki, o którym nic nie wiedziałem, molestując mnie, bym zaangażował Catherine do poszukiwania wzmianek o tym w zdezaktualizowanych

magazynach filmowych. Wiele z jego aktów seksualnych stanowiło wyraźnie modele tych, jakie w jego wyobraźni odbywała w samochodzie aktorka.

Vaughan miał już w swoim dorobku kolekcję wyimaginowanych aktów seksualnych w samochodzie z udziałem najślawniejszych postaci - polityków, laureatów Nagrody Nobla, sportowców o międzynarodowej sławie, astronautów i przestępców - jak również obmyślane scenariusze ich śmierci. Kiedy przemierzaliśmy lotniskowe parkingi, szukając samochodu do pożyczenia, Vaughan egzaminował mnie ze sposobów, w jakie prawdopodobnie odbywaliby w swych autach stosunki Marilyn Monroe albo Lee Harvey Oswald, Armstrong, Warhol, Raquel Welch... jaki wybrałby pojazd, jaki model i rocznik, jakie przyjmowałiby pozycje i jakie są ich ulubione strefy erogenne, którymi szosami i autostradami Europy i Ameryki Północnej w wyobraźni Vaughana jeździli, tryskając nienasyconymi seksualnościami, miłością, czułością i erotyzmem.

- ...powiedzmy, że Monroe albo Oswald masturbują się -lewą czy prawą ręką, jak myślisz? I przy jakiego typu desce rozdzielczej? Czy osiągną orgazm szybciej przy desce wpuszczonej, czy wysuniętej? Barwa i kontur winylu, gatunek szkła przedniej szyby, oto decydujące czynniki. Garbo i Dietrich, tu otwiera się pole dla podejścia gerontologicznego. Szczególne zainteresowanie samochodem przejawiało co najmniej dwóch Kennedych... - Zawsze celowo schodził na autoparodię.

Jednak podczas ostatnich dni, jakie spędziłem z Vaughanem, jego wizje rozbitych samochodów stawały się coraz bardziej chaotyczne. Kiedy wyczekiwana z utęsknieniem kraksa aktorki filmowej nie następowała, jego obsesje na punkcie jej i seks — śmierci, jaką dla niej obmyślił, zdawały się coraz bardziej go frustrować. Zamiast jeździć drogami szybkiego ruchu, przesiadywaliśmy na pustym parkingu za moim domem w Drayton Park, obserwując liście platanów roznoszone w zapadającym zmierzchu przez wiatr po wilgotnej jezdni. Vaughan godzinami podслуchiwał radiowe rozmowy policji i załóg ambulansów, nerwowo strząsając popiół do przepelnionej niedopałkami i zużytymi tamponami higienicznymi popielniczki. Zatroškany jego stanem,

pragnąłem głaskać jego pokiereszowane uda i brzuch, zamiast tych wymaganych ran, których życzył aktorce, zaofiarować mu urazy, które sam odniosłem w wypadku samochodowym.

Do kraksy, której - zaraz po śmierci samego Vaughana, czego nieuchronność już do mnie docierała - obawiałem się najbardziej, doszło trzy dni później na drodze szybkiego ruchu w Harlington. Kiedy w eter poszły pierwsze skąpe policyjne meldunki o rozległych obrażeniach doznanych przez aktorkę filmową Elizabeth Taylor, i zaraz potem się urwały, wiedziałem już, czyjej śmierci będziemy świadkami.

Prowadziłem lincolna na złamanie karku na zachód, w stronę miejsca wypadku, a Vaughan siedział spokojnie obok mnie. Patrzył zrezygnowany na przesuwane się za oknem białe fasady fabryk tworzyw sztucznych i magazynów opon. Słuchał na policyjnej częstotliwości szczegółów wypadku, w którym brały udział trzy auta, podkręcając stopniowo głośność, jakby chciał wysłuchać ostatecznego podsumowania na cały regulator.

Po półgodzinie dotarliśmy na miejsce wypadku w Harlington i zaparkowaliśmy na trawiastym poboczu pod kładką dla pieszych. Pośrodku skrzyżowania zderzyły się trzy samochody. Pierwsze dwa — wykonany na zamówienie wóz sportowy z włókna szklanego i srebrny mercedes coupe -wpadły na siebie pod kątem prostym. Oderwały im się lewe przednie koła i miały zmiażdżone przedziały silnika. Na wóz sportowy z włókna szklanego, antologię wszystkich bulwiastych, płetwoksztalnych motywów z lat pięćdziesiątych, wpadła następnie od tyłu rządowa limuzyna prowadzona przez szofera kobietę. Policjanci pomogli roztrzęsionej, ale nie poszkodowanej młodej kobiecie w zielonym uniformie wysiąść z samochodu, którego maska wbiła się w kufer wozu sportowego. Dookoła zmiażdżonego kadłuba wały się kawałki pokruszonego włókna szklanego przywodzące na myśl odpadki w studio stylisty.

Kierowca wozu sportowego tkwił nieżywy w kabinie. Dwaj strażacy i konstabl policji starali się go wydobyć spod wtłoczonej do wnętrza deski rozdzielczej. Damski płaszcz

z lamparciej skóry, który miał na sobie, rozdarł się na przodzie, obnażając zgniecioną klatkę piersiową, a nylonowa siateczka na włosy nadal utrzymywała w nienagannym stanie jasnopłatynową fryzurę. Na siedzeniu obok leżała peruka przypominająca zdechłego kota. Szczupłą, wynędzniałą twarz Seagrave'a pokrywały okruchy roztrzaskanego hartowanego szkła. Można było pomyśleć, że jego ciało już się krystalizuje, uciekając wreszcie z tego nieprzychylnego zestawu wymiarów w piękniejszy wszechświat.

Zaledwie półtora metra od niego, w poprzek przednich siedzeń, pod rozbity przednią szybą leżała kobieta, która prowadziła srebrnego mercedesa coupe. Napierający tłum gapiów otaczający oba samochody omal nie przewrócił sanitariuszy z ambulansu, którzy próbowali wydobyć kobietę ze zgniecionej kabiny auta. Od przepychających się z kocem policjantów usłyszałem jej nazwisko. Należała do byłej prezenterki telewizyjnej, która okres świetności miała już za sobą, ale od czasu do czasu prowadziła jeszcze teleturnieje albo późnowieczorne talk shows. Kiedy uniesiono ją do pozycji półsiedzącej, rozpoznałem twarz, bladą teraz i ściągniętą jak u staruszki. Z brody zwisała jej, niczym ciemny śliniaczek, koronka zakrzepłej krwi. Gapie patrzyli z szacunkiem na obrażenia na jej udach i w dole brzucha, kiedy układano ją na noszach, a potem rozstapili się, robiąc sanitariuszom przejście do ambulansu.

Vaughan zanurkował z wyciągniętymi przed siebie rękoma między dwie kobiety w chustkach na głowach i tweedowych płaszczach. Oczy miał półprzytomne. Chwycił rączkę noszy, za którą trzymał już jeden z sanitariuszy, i dzierżąc ją doszedł do ambulansu. Kobietę wsunęto do środka. Oddychała spazmatycznie poprzez skorupę zakrzepłej na nosie krwi. Zaalarmowany wyraźnym podnieceniem, z jakim Vaughan pochylił się nad leżącą kobietą, omal nie krzyknąłem ostrzegawczo do policjantów, pewien, że zaraz wyciągnie penisa, by udroźnić nim nieszczęsnej wypełnione krwią usta. Sanitariusze z ambulansu, widząc niekłamane przejęcie Vaughana, wzięli go za krewnego rannej i nie reagowali, ale jeden z policjantów, rozpoznawszy Vaughana, pchnął go otwartą dłonią w pierś i krzyknął, że ma się odsunąć.

Vaughan, ignorując konstabla, jeszcze chwilę przestępował z nogi na nogę przy zamykanych drzwiczkach, potem odwrócił się jak fryga na pięcie i zanurkował z powrotem w tłum, tracąc na moment orientację. Przepchnął się do rozbitego wozu sportowego z włókna szklanego i spojrzął niepewnie na ciało Seagrave'a przyodzianego w koronacyjną zbroję z pokruszonego szkła, przypominającego w tym skrzącym się stroju martwego matadora. Dłonie miał zaciśnięte na słupku przedniej szyby.

Oszołomiony i wstrząśnięty śmiercią kierowcy — kaskadera oraz strzępami kostiumu aktorki filmowej - rekwizytami wykorzystywanymi przy kręceniu sekwencji kolizji - porozrzucanymi po samochodzie, przepchnąłem się śladem Vaughana przez tłum gapiów. Vaughan, zamknięty we własnym światku, obchodził srebrnego mercedesa, nie odrywając oczu od plam krwi rozmazanej po siedzeniu i desce rozdzielczej, badając każdy okrucuch dziwnych śmieci, które zmaterializowały się nie wiadomo skąd po krak-sie. Wykonywał przy tym w powietrzu drobne ruchy dłońmi, wyznaczając trajektorie wewnętrznych zderzeń w staranowanym przez Seagrave'a samochodzie, mechaniczne momenty wtórnej kolizji pomiędzy tą poślednią osobowością telewizyjną a deską rozdzielczą jej wozu.

Później zrozumiałem, co najbardziej poruszyło Vaughana. Nie była to śmierć Seagrave'a, lecz fakt, że podczas tej kolizji, ubrany wciąż w perukę i kostium Elizabeth Taylor, Seagrave przywłaszczył sobie zejście, które Vaughan rezerwował dla siebie. Z punktu widzenia Vaughana, od chwili tej kraksy aktorka filmowa już nie żyła. Teraz pozostawało mu tylko ustalić formalnie czas i miejsce. Wejścia jej ciała, poprzez które miał ją zaślubić, zostały już poświęcone na krwawym ołtarzu samochodu Seagrave'a.

Wróciliśmy do lincolna. Vaughan otworzył drzwiczki od strony pasażera, przyglądając mi się tak, jakby po raz pierwszy w życiu widział mnie wyraźnie.

- Szpital w Ashford. - Ponaglił mnie gestem ręki. - Tam przewiozą Seagrave'a, kiedy go wytną.

- Vaughan... - Próbowałem wymyślić coś, co by go uspokoiło. Pragnąłem dotknąć jego uda, wcisnąć mu lewą pięść w usta. - Musisz powiedzieć Verze.

- Komu? - Oczy Vaughana na moment oprzytomniały. - Vera... Vera już wie.

Wyciągnął z kieszeni brudną, kwadratową apaszkę. Rozpostarł ją pieczołowicie na siedzeniu między nami. Leżał na niej trójkątny strzęp zakrwawionej szarej skóry, krzepnąca krew była jeszcze jasnokarminowa. Vaughan dotknął na próbę krwi koniuszkami palców, podniósł je do ust i posmakował lepkich kropelek. Wyciął ten kawałek skóry z przedniego fotela mercedesa, z miejsca gdzie kobiecie ściekała między nogami krew z poranionego brzucha.

Wpatrywał się w ten wycinek jak zahipnotyzowany, poszturchując palcem winylowy szew przecinający trójkąt od wierzchołka do podstawy. Kawałek skóry leżał między nami niczym święta relikwia, fragment ręki albo kości goleniowej. Dla Vaughana wycinek ten, tak samo smakowity i wzruszający jak plamy na strzępie śmiertelnego całunu, zawierał w sobie całą magię i siły uzdrawiające współczesnej martyrologii superautostrad. Te drogocenne centymetry kwadratowe stykały się ze sromem umierającej kobiety, były splamione krwią wypływającą z jej poranionego otworu płciowego.

Czekałem na Vaughana przed wejściem do szpitala. Pobiegł w stronę oddziału urazowego, nie zwracając uwagi na krzyk przechodzącego sanitariusza. Siedziałem w samochodzie zaparkowanym przed bramą, zastanawiając się, czy kiedy przywieziono tutaj moje pokaleczone ciało, Vaughan czekał już z aparatem. W tej chwili ranna kobieta prawdopodobnie umierała, spadało jej ciśnienie krwi, organy robiły się ciężkie od nie krążącego płynu, w tysiącu rozwidleń arterii tworzyły się zatory tamujące rzeki jej krwiobiegu. Wyobraziłem ją sobie, jak leży w izbie przyjęć na metalowym łóżku, a jej zakrwawiona twarz ze strzaskaną nasadą nosa przypomina maskę wkładaną na jakiś obsceniczny halloween, na inicjacyjny rytuał własnej śmierci. Wyobraziłem sobie wykresy rejestrujące obniżającą się temperaturę w jej odbyciu i pochwie, spadające gradienty funkcji nerwowych, kurtyny opadające na jej umierający mózg.

Nadchodzący trotuarem policjant z drogówki wyraźnie rozpoznawał lincolna. Ujrawszy mnie za kierownicą, przeszedł, nie zatrzymując się, ale przez chwilę widziałem po



jego oczach, że wziął mnie zrazu za Vaughana i kojarzył już sobie mgliście z przestępstwem i gwałtem. Pomyślałem

o rozbitych samochodach na miejscu wypadku, o Sea-grave'ie umierającym w trakcie swojego ostatniego narkotycznego odlotu. Aktorka telewizyjna w chwili kolizji z tym obłąkanym kierowcą — kaskaderem dała swój ostatni występ, poślubiając swe ciało ze stylizowanymi konturami deski rozdzielczej i przedniej szyby, swą elegancką pozę z brutalnymi połączeniami wyginających się drzwiczek i wręg szkieletu. Wyobraziłem sobie ten wypadek sfilmowany w zwolnionym tempie, jak symulowane kolizje, które oglądaliśmy w Laboratorium Badawczym Ruchu Drogowego. Oczyma wyobraźni ujrzałem aktorkę uderzającą o deskę rozdzielczą, kolumnę kierownicy wyginającą się pod naporem obciążonej dużym biustem klatki piersiowej; jej smukłe ręce, które zapamiętałem z licznych teleturniejów, haratane przez ostrą jak brzytwa kratkę popielniczki i dźwigienki przełączników z deski rozdzielczej; jej zamysłoną twarz, idealizowaną w setkach zbliżeń, zdejmowaną zawsze z ćwierćprofilu w naj-korzystniejszym z możliwych świetle, uderzającą o koło kierownicy; miazdżoną nasadę jej nosa, górne siekacze wbijane poprzez dziąsła w podniebienie. Jej okaleczenie i śmierć stały się ukoronowaniem jej wizerunku zawodzianym zderzającej się technice, hołdem złożonym poszczególnym kończynom i płaszczyznom twarzy, gestom i karnacjom skóry. Każdy z gapiów z miejsca wypadku zachowa w pamięci obraz gwałtownej transformacji tej kobiety, skomplikowanych ran, które zmieszały jej seksualność z twardą konstrukcją samochodu. Każdy z nich połączy swoją wyobraźnię, wrażliwe błony powierzchni śluzowych, obszary tkanki wzwodnej, z ranami tej drugorzędnej aktorki za pośrednictwem swojego pojazdu, dotykając ich podczas jazdy w mnogości stylizowanych póz. Każdy przywrze ustami do tych krwawiących rozcięć, przyłoży przegrodę nosową do otarć na jej lewej dłoni, dociśnie powieki do wyprutego ścięgną palca wskazującego, wierzch wzwiedzonego penisa do rozerwanych bocznych ścianek jej pochwy. Kraksa samochodowa umożliwiła ostateczne i wytęsknione zespolenie aktorki z członkami jej widowni.

Ten ostatni okres spędzony z Vaughanem kojarzy mi się nierozwalnie z podnieceniem, jakie odczuwałem myśląc o wymagowanych śmierciach, z radością czerpaną z bycia blisko Vaughana i pełnej akceptacji jego logiki. Dziwna rzecz, ale Vaughan pozostawał przygaszony i przygnębiony, zupełnie nie cieszyło go, że zyskał we mnie pilnego ucznia. Kiedy jedliśmy lunch w kafejce przy drodze szybkiego ruchu, pchał sobie do pokiereszowanych ust tabletki amfetaminy, ale stymulanty te zaczęły działać dopiero później, kiedy doszedł już trochę do siebie. Czyżby upadał na duchu? Zaczynałem się już czuć dominującym partnerem w naszym związku. Bez jego namów prowadziłem nasłuch na częstotliwościach policji i ambulansów, kierując ciężki samochód na miejsce każdego nowego karambolu i kolizji.

Nasze zachowanie, kiedy przebywaliśmy razem, stawało się coraz bardziej stylizowane, zupełnie jakbyśmy byli parą wytrawnych chirurgów, żonglerów albo komediantów. Dalecy teraz od reagowania przerażeniem czy obrzydzeniem na widok poranionych ofiar siedzących w szoku na trawie przy swoich samochodach po uniesieniu się wczesnopołudniowej mgły, albo przygniecionych do desek rozdzielczych, odczuwaliśmy z Vaughanem coś na kształt profesjonalnego dystansu, w którym ujawniały się pierwsze oznaki jakiegoś rzeczywistego zaangażowania. Przerażenie i obrzydzenie na widok zatrważających urazów ustąpiły u mnie miejsca czystej akceptacji faktu, że przekładanie owych ran na język naszych fantazji i zachowań seksualnych to jedyny sposób na ożywienie poranionych i umierających ofiar. Wczesnym wieczorem, po zobaczeniu w rozbitym samochodzie kobiety z rozległymi obrażeniami twarzy, Vaughan leżał przez dziesięć minut z penisem w ustach klęczącej nad nim w rozkroku srebrnowłosej prostytutki w średnim wieku, omal jej nie zadławiając. Trzymał ją z całych sił za głowę, żeby nie mogła się poruszyć, dopóki ślina nie zaczęła jej ciec z ust jak z kranu. Krążąc powoli po ciemniejących uliczkach osiedli mieszkaniowych na południe od lotniska, obserwowałem przez ramię, jak Vaughan, napierając na tę kobietę silnymi udami, miota nią po tylnej kanapie. Wróciła mu cała złość i brutalność. Po jego orgazmie

kobieta opadła wyczerpana na siedzenie. Chwyając spazmatycznie powietrze ustami, z których na wilgotny winyl pod jądrami Vaughana skapywało nasienie, ocierała swoje wymiociny z jego penisa. Przyglądając się jej, kiedy zbierała rozsypaną zawartość torebki, ujrzałem pokiereszowaną twarz rannej w wypadku kobiety, spryskaną nasieniem Vaughana. Nasienie połyskiwało opalizującymi kropelkami na siedzeniu i na udach Vaughana, na rękach prostytutki. Krople te zmieniały kolor z czerwonego na bursztynowy, potem na zielony w rytm zmieniających się świateł na skrzyżowaniu, a kiedy pędziliśmy poprzez noc drogą szybkiego ruchu, odbijały się w nich tysiące reflektorów, ostry blask jarzeniówek latarni ulicznych i ogromna łuna wisząca nad lotniskiem. Spojrzałem w wieczorne niebo i wydało mi się, że Vaughan skapał w swym nasieniu cały krajobraz, dając impuls tym tysiącom silników, obwodom elektrycznym i prywatnym przeznaczeniom, najmniejszym gestom naszych egzystencji.

Właśnie tego wieczora byłem świadkiem pierwszego z samo-okaleczeń Vaughana. Na stacji benzynowej przy Western Avenue celowo przytrzasnął sobie rękę drzwiczkami, odtwarzając urazy ramienia, jakie pewna młoda hotelowa recepcjonistka odniosła w wyniku zderzenia bocznego n. parkingu przed swoim hotelem. Vaughan zaczął też metodycznie skubać strupy pokrywające mu kłykie. Zaczęły mu się z powrotem otwierać zagojone przed ponad rokiem blizny na kolanach. Przez wytarty materiał jego dżinsów przesiąkały krople krwi. Na dolnej krzywiznie drzwiczek schowka w desce rozdzielczej, dolnej krawędzi kieszeni radia i na czarnym winylu drzwiczek pojawiły się czerwone plamy. Vaughan podjudzał mnie, bym jeździł drogami dojazdowymi do lotniska szybciej, niż było wolno. Kiedy hamowałem ostro przed skrzyżowaniami, z rozmysłem poddawał się działaniu siły bezwładności i uderzał o deskę rozdzielczą. Krew mieszała się na siedzeniach z zaschniętym nasieniem, spryskiwała mi ciemnymi kroplami ręce, którymi trzymałem kierownicę. Twarz miał bledszą niż kiedykolwiek i wiercił się po kabinie w napadach nerwowości jak zwierzę, któremu niewygodnie. Jego nadpobudliwość przypominała mi pe-

wien okres sprzed lat, kiedy długo nie mogłem dojść do siebie po przedawkowaniu; przez kilka miesięcy odnosiłem wtedy wrażenie, że w mojej głowie otworzyła się brama piekieł, że w jakimś strasznym wypadku odsłonięciu uległy zwoje mego mózgu.

Moje ostatnie spotkanie z Vaughanem - kulminacja długiej karnej ekspedycji we własny system nerwowy - miało miejsce tydzień później w barze na półpiętrze budynku Terminalu Oceanicznego. W retrospekcji na ironię zakrawa, że właśnie ów dom ze szkła, ten dom lotu i nowych możliwości stał się miejscem odprawy dla naszego życia i śmierci. Na tak zaniechanego i niepewnego, jak wówczas kiedy szedł w moim kierunku, omijając chromowane krzeselka i stoliki, i rozsiewając swoje odbicie na szklane tafle ścian, Vaughan nigdy jeszcze nie wyglądał. Powłócząc nogami przeciskał się między pasażerami oczekującymi na ogłoszenie swoich lotów, a jego dziobata twarz i chwiejny krok nadawały mu wygląd przegranego fanatyka, uparcie trzymającego się swoich obsesji.

Podniosłem się na powitanie od baru, a on zatrzymał się i popatrzył na mnie jak na jakąś nieznaną zmacę, chyba ledwie mnie rozpoznając. Jego dłonie błędziły po kontuarze, szukając jakby jakiejś powierzchni odniesienia, a w sztucznym oświetleniu połyskiwały kropelki świeżej krwi na jego kłykciach. Przez ostatnie sześć dni siedziałem jak na szpilkach w biurze i w mieszkaniu, obserwując przez okna drogi szybkiego ruchu, zbiegając klatką schodową na dół, ilekroć wydało mi się, że widzę jego przemykający mimo samochód. Studiowałem plotkarskie działy gazet i magazyny filmowe, i starałem się wydedukować, którąż to gwiazdę ekranu bądź polityki może śledzić Vaughan, układając sobie w głowie elementy wymyślanego wypadku. Wszystkie doświadczenia naszych spędzonych wspólnie tygodni wprowadziły

mnie w stan narastającej agresywności, który, wiedziałem to, rozładować był w stanie tylko Vaughan. Kochając się z Catherine, snulem fantazje, w których widziałem siebie w akcie homoseksualnym z Vaughanem, tak jakby tylko taki akt mógł rozszyfrować wszystkie kody zdeprawowanej techniki.

Zamówiłem dla Vaughana drinka, a on stał, patrząc ponad pasami startowymi na samolot pasażerski podrywający się do lotu nad zachodnim krańcem lotniska. Dzwonił do mnie rano z prośbą o spotkanie na lotnisku. Ledwie rozpoznałem jego głos. Jego widok, widok jego pośladków i ud rysujących się pod wytartymi spodniami, widok blizn wokół jego ust i pod linią szczęki przepelniły mnie silnym erotycznym podnieceniem.

- Vaughan... - Próbowałem wcisnąć mu w dłoń koktajl. Kiwnął bez słowa głową. - Wypij to. Chcesz coś zjeść?

Nie unosił szklaneczki z koktajlem do ust. Patrzył na mnie tak-  
sująco, jak snajper oceniający odległość dzielącą go od celu. Od-  
stawił koktajl i obiema dłońmi podniósł z kontuaru dzbanek z wodą. Kiedy napełnił nią stojącą w pobliżu brudną szklan-  
kę i wychylił ją łapczywie do dna, uświadomiłem sobie, że znajduje się w  
początkowej fazie narkotycznego odlotu. Zaczął ścisnąć i wykrę-  
cać sobie splecione dłonie, ocierając koniuszkami palców pokiere-  
szowane wargi. Czekałem, aż przejdzie przez te pierwsze stadia  
ekscytacji i niepokoju. Wodził rozbieranym wzrokiem po szklanej  
klatce półpiętra, wychwytyjąc z powietrza pierwsze rozmyte prze-  
błyśki światła i ruchu.

Poszliśmy do jego samochodu, który zaparkował na drugiego  
obok autobusu linii lotniczych. Idący kilka kroków przede mną  
Vaughan poruszał się jak przewrażliwiony lunatyk. Popatrywał na  
coraz to inny obszar nieba, zapewne dostrzegając już - co pamięta-  
łem aż za dobrze z własnego doświadczenia - te pierwsze ostrze-  
gawcze skoki natężenia oświetlenia, które wkrótce, w ciągu sekun-  
dy przekształcał jasny blask letniego południa w ołowiany zimowy  
wieczór. Siadając w fotelu pasażera Vaughan wsparł się ostrożnie  
barkami o oparcie, tak jakby szukał najdogodniejszej pozycji dla  
swych ran. Przyglądał się, jak wojuję z zapłonem. Uśmieшек błą-  
kający się po jego wargach wyrażał kpinę z zaangażowania, z ja-  
kim go poszukiwałem, a jednocześnie pogodzenie się własną po-  
rażką i akceptację przewagi, jaką nad nim teraz miałem.

Kiedy udało mi się w końcu zapuścić silnik, Vaughan położył obandażowaną dłoń na moim udzie. Zaskoczony tym fizycznym kontaktem, pomyślałem zrazu, że Vaughan próbuje mnie pocieszyć. Uniósł rękę do moich ust i zobaczyłem, że trzyma w palcach pogięty srebrny sześcian. Odwinąłem kostkę cukru z folii i położyłem ją sobie na języku.

Odjechaliśmy tunelem spod lotniska, przecięliśmy Western Avenue i wspięli się ślimakiem na wielopoziomowe skrzyżowanie. Przez dwadzieścia minut jechałem drogą szybkiego ruchu Northolt, trzymając się środkowego pasa i przepuszczając poruszające się szybciej samochody. Vaughan leżał rozwalony w fotelu, z policzkiem przyciśniętym do zimnego oparcia, bezwładnie zwiesiwszy ręce po bokach. Od czasu do czasu podrygiwały mu dłonie, a nogi i ramiona mimowolnie się zginały. Odczuwałem już pierwsze efekty działania narkotyku. Dłonie miałem chłodne i wrażliwe; za chwilę wyrosną z nich skrzydła i uniosą mnie w rozpędzone powietrze. Wokół sklepienia czaszki zbierała mi się lodowata chmura, przypominająca te, które tworzą się w hangarach statków kosmicznych. Przed dwoma laty doświadczyłem narkotycznego odlotu. Był to paranoiczny koszmar, podczas którego wpuściłem do swego umysłu konia trojańskiego. Catherine, bezskutecznie usiłująca mnie uspokoić, wydawała mi się wrogim, drapieżnym ptaszyskiem. Czulem, jak przez dziurę, którą wydziobywała mi w głowie, wpływa na poduszkę mój mózg. Pamiętam, że płakałem jak dziecko i wieszalem się jej u ręki, błagając, żeby mnie nie zostawiała, a moje ciało zdawało się kurczyć do postaci nagiej błony.

Z Vaughanem, na odmianę, czułem się zupełnie bezpiecznie, pewien uczucia, jakim mnie darzy. Odnosiłem wrażenie, że z rozmysłem prowadzi mnie autostradą, którą stworzył tylko dla mnie. Wyprzedzające nas auta istniały tu tylko dzięki jego nadzwyczajnej kurtuazji. Jednocześnie pewien byłem, że wszystko, co mnie otacza, rozplywanie się LSD po moim organizmie, to część jakiegoś ironicznego żartu Vaughana. Rozsadzające mnie podniecenie unosiło się pomiędzy wrogością a miłością, emocjami, które nagle stały się wymienne.

Skęciliśmy na zachód łagodnym łukiem zewnętrznej obwodnicy. Zjechawszy na pas wolnego ruchu, okrążyłem centrum wielopoziomowego skrzyżowania, po czym, wychodząc na prostą, przyśpieszyłem. Gdzie spojrzeć, zmie-

niały się perspektywy. Niczym świetliste urwiska przemknęły nad nami betonowe ściany zjazdu z autostrady. Wymalowane na

jezdni linie nurkowały i zakręcały tworząc kłębowisko białych węży wijących się i unoszących niczym zachwycone delfiny koła przejeżdżających im po grzbietach samochodów. Tablice informacyjne unosiły się nad nami niczym wspaniałe bombowce nurkujące. Docisnąłem poduszki dłoni do kierownicy, pchając pędzący samopas samochód poprzez złoście powietrze. Wyprzedziły nas dwa autobusy linii lotniczych i ciężarówka. Ich obracające się koła stały niemal w bezruchu, jakby pojazdy te były zwieszonymi z nieba elementami scenografii. Rozglądając się odnosiłem wrażenie, że wszystkie samochody na drodze szybkiego ruchu stoją w miejscu, a złudzenie ruchu stwarza obracająca się pod nimi ziemia. Kości mych przedramion stanowiły przedłużenie kolumny kierownicy i najmniejsze drgania kół odczuwałem w stukrotnym nasileniu, każde najeżdżane ziarenko żwiru albo grudka cementu była jak powierzchnia małego asteroidu. Pomruk układu transmisyjnego wprawiał w rezonans moje nogi i krzyż, obijał się echem po czasie, zupełnie jakbym leżał w tunelu wału napędowego, przenosił rękoma moment wału korbowego, a wirującymi nogami napędzał pojazd.

Światło dnia nad autostradą pojaśniało, nabrało pustynnej intensywności. Białe beton przeistoczył się w zakrzywioną kość. Fale niepokoju zalewały samochód niczym rozedrgane warstwy rozgrzanego powietrza nad nawierzchnią drogi w lecie. Spoglądając na Vaughana próbowałem zapanować nad jego nerwowymi spazmami. Wyprzedzające nas auta nagrzewały się teraz silnie w promieniach słońca i byłem przekonany, że ich metalowe karoserie dzieli już tylko ułamek stopnia od punktu topnienia, że nie rozplwają się jedynie dzięki sile mego wzroku i wystarczy, bym choć na moment przeniósł uwagę na kierownicę, a metaliczne warstewki utrzymujące je jeszcze w stanie stałym pękną i pod koła bluzną nam strugi wrzącej stali. Samochody nadjeżdżające z przeciwka wiozły, dla odmiany, ogromne ładunki chłodnego światła, transportowały na jakiś festiwal całe przyczepy elektrycznych kwiatów. W miarę jak zwiększały szybkość, mnie ciągnęło na pas szybkiego ruchu, żeby stamtąd podziwiać te karuzele przyśpieszającego światła mknące nam niemal naprzeciw. Ich kratki wlotów chłodnicy układu-



ły się w tajemnicze symbole, alfabety rozsypujące się w pędzie po nawierzchni drogi.

Wyczerpany wysiłkiem wkładanym w koncentrowanie się na ruchu i utrzymywanie otaczających nas samochodów na ich pasach, puściłem kierownicę. Lincoln łagodnym, eleganckim łukiem zjechał z pasa szybkiego ruchu. Opony zadudniły o betonowy krawężnik, siekąc przednią szybę piaskową burzą pyłu. Wycieńczony, odchyliłem się na oparcie. Zobaczyłem przed sobą rękę Vaughana chwytającą kierownicę. Przechylał się nade mną, wciskając kolano w deskę rozdzielczą, i prowadził samochód tuż przy krawężniku centralnego pasa zieleni. Sąsiednim pasem szybkiego ruchu zbliżała się z przeciwka rozpędzona ciężarówka. Vaughan oderwał rękę od kierownicy i pokazał na ciężarówkę, sugerując, żebym przejechał lincolnem przez pas zieleni prosto pod jej koła.

Rozproszony fizyczną bliskością pochylonego nade mną Vaughana, ująłem znowu kierownicę i zjechałem z powrotem na środek pasa szybkiego ruchu. Ciało Vaughana było zbiorem luźno ze sobą powiązanych płaszczyzn. Elementy jego muskulatury i osobowości unosiły się obok mnie w tej strefie nieważkości oddalone od siebie o kilka milimetrów, niczym zawartość kosmicznej kapsuły. Obserwowałem zbliżające się do nas samochody, będąc w stanie uchwycić zaledwie znikomą cząstkę z tysiąca sygnałów, jakie przekazywały mi błyskami ich koła i reflektory, przednie szyby i kratki wlotów chłodnic.

Przypomniała mi się pierwsza po wypadku podróż ze szpitala w Ashford do domu. Jasność ruchu ulicznego, nerwowe perspektywy skarp drogi szybkiego ruchu i sznury pojazdów na Western Avenue stanowiły zapowiedź obecnej narkotycznej wizji, tak jakby moje rany rozkwitły w rajskie istoty celebryckie zjednoczenie mej kraksy z tym metalizowanym Elizjum. Kiedy Vaughan ponownie zaczął mnie podjudzać do skierowania samochodu kursem na zderzenie z nadjeżdżającymi z przeciwka pojazdami, chciałem go już posłuchać, nie czyniąc nic, by odepchnąć jego ponaglącą dłoń. Zbliżał się do nas autobus linii lotniczych. Jego srebrny korpus rzucał oślepiające błyski na wszystkie sześć pasów drogi szybkiego ruchu. Pędził na nas niczym świetlisty archanioł.

Chwyliłem Vaughana za przegub. Ciemne włoski na jego bladym przedramieniu, zabliznienia na kłykciach palców

serdecznego i wskazującego promieniowały teraz surowym pięknem. Oderwawszy wzrok od drogi ucisnąłem dłoń Vaughana, starając się zamknąć oczy porażone fontanną światła, która biła od zbliżających się z naprzeciwka pojazdów i wlewała przez przednią szybę do naszego wozu.

Na drodze szybkiego ruchu, po obu naszych stronach lądowała, przemykając obok w obu kierunkach, armada anielskich istot, każda otoczona ogromną aureolą światła. Szybowały tuż nad ziemią i lądowały wszędzie na pokrywających krajobraz pasach startowych. Uświadomiłem sobie, że nie zdając sobie z tego sprawy, budowaliśmy te wszystkie szosy i autostrady specjalnie na ich przyjęcie.

Vaughan, pochylając się nade mną, prowadził wóz korytarzami powietrznymi. Kiedy skręcaliśmy, rozwrzeszczały się wokół klaksony i opony. Vaughan kierował samochodem jak rodzic prowadzący zmęczone dziecko. Ja również opierałem biernie dłonie na kierownicy, patrząc jak wóz skręca w zjazd z drogi szybkiego ruchu.

Zatrzymaliśmy się pod wiaduktem. Przedni zderzak lincolna dotknął betonowej palisady odgradzającej skarpe drogi szybkiego ruchu od zapomnianego złomowiska samochodów. Posłuchałem jeszcze chwilę muzyki silnika, po czym zgasilem go i opadłem na oparcie fotela. Obserwowałem na ekranie wstecznego lusterka auta wspinające się za nami ślimakiem na drogę szybkiego ruchu, by dołączyć tam do powietrznego korowodu. Żeglowały jezdnią nad naszymi głowami, by dołączyć do samolotów, które Vaughan od tyłu miesiący obserwował. Patrząc na odległe rozjazdy północnej obwodnicy widziałem, jak każdy z tych metalizowanych stworów szybuje w słonecznym blasku wznosząc się ponad zatory drogowe, w których utknęły.

Wnętrze samochodu jarzyło się wokół mnie niczym magiczna altana. Kiedy poruszałem oczyma, ten blask to nasilał się, to znów przygasał. Skale zegarów napromieniowywały mą skórę swymi świetlistymi igłami i cyframi. Pancierz kolumny kierownicy, skośne płaszczyzny deski rozdzielczej, metalowe krawędzie kieszeni radia i popielniczek błyszcząły wokół mnie niczym naczynia liturgiczne na ołtarzu, ich geometrie sięgały ku memu ciału jak stylizowane kończyny jakiejś chcącej mnie objąć hiperinteligentnej maszyny.

Na złomowisku, we wciąż fluktuującym świetle, leżały skorupy porzuconych aut. Ich zarysy kołysały się, porusza-

ne jakby wiatrem czasu. Do nagrzanego powietrza przesączały się pasma rdzewiejącego chromu, płyty nietkniętego lakieru wyciekały w koronę światła przykrywającą plac. Ostrogi zdeformowanego metalu, trójkąty rozbitego szkła były sygnałami, które nie odczytane wały się od lat w tej rozbuchanej trawie, szyframi, które ja i Vaughan, siedząc objęci pośród elektrycznego sztormu szalejącego na naszych siatkówkach, teraz odcyfrowywaliśmy.

Przypominając sobie przerażenie, z jakim czepiałem się ręki żony, pogładziłem Vaughana po ramieniu. Vaughan, przy całej swej szorstkości, był jednak wspaniałym partnerem, okiem iluminacji otaczającego nas krajobrazu. Wziąłem jego rękę i przyłożyłem ją do medalionu wtopionego w przycisk klaksonu, metalizowanego emblematu, który zawsze mnie irytował. Wyczułem pod palcami zagłębienie na jego białej skórze i przypomniałem sobie bliznę w kształcie trójkęba na poduszce dłoni martwego Remingtona leżącego na masce mego wozu, różowe rowki na skórze mojej żony pozostawione przez bieliznę, te odciski wyimaginowanych ran, które zauważyłem, kiedy przebierała się w kabinie sklepu towarowego, przypomniałem sobie podniecające szczeliny i bruzdy okaleczonego ciała Gabrielle. Przesuwałem dłonią Vaughana kolejno po rozjarzonych skalach zegarów z deski rozdzielczej, dociskając jego palce do ostrych dźwigienek przełączników, do sterczących lanc kierunkowskazu i dźwigni zmiany biegów.

W końcu dałem jego dłoni odpocząć na swoim penisie. Siła, z jaką ścinał mi jądra, podziałała na mnie kojąco. Ośmielony stylizowaną morfologią wnętrza auta, setkami promienistych gondol sunących drogą szybkiego ruchu nad naszymi głowami, odwróciłem się do Vaughana przodem. Unosiliśmy się razem w ciepłej owodni rozświetlonego powietrza. Objąwszy go odniosłem wrażenie, że jego ciało przepływa w moich ramionach to w górę, to w dół. Kiedy zacząłem wodzić rękoma po tych przelewających się płaszczyznach, mięśnie jego pleców i pośladków stwardniały i zmatowiały. Ująłem w dłonie jego twarz, chłonąc palcami porcelanową gładź policzków, dotykając blizn na nich i na wargach. Rozbłyśki potu skrzącego się na jego ramionach i szyi zaczęły kluć mnie w oczy i wydało mi się, że skórę Vaughana pokrywają łuski metalicznego złota. Zawahałem się, uświadamiając sobie, że ścisnę się z tym odpychają-

cym złocistym stworem, którego szramy i rany czyniły pięknym. Przesunąłem ustami po bliznach na jego wargach, wyczuwając językiem znajome elementy dawno nie istniejących desek rozdzielczych i przednich szyb. Vaughan rozchylił skórzaną kurtkę obnażając otwarte na nowo rany pokrywające mu klatkę piersiową i brzuch. Przypominał obląkaną królową demonstrującą dumnie ropiejące cięcia po nieudanej operacji transseksualnej. Złożyłem głowę na jego piersi, przyciskając policzek do krwawych profili pękającej kierownicy, do punktów kolizji z deską rozdzielczą. Przesunąłem ustami po jego lewym obojczyku i zacząłem ssać pokiereszowany sutek, wyczuwając między wargami przeciętą aureolę. Zsunąłem usta po jego brzuchu na wilgotne krocze pokryte krwią i nasieniem. Do penisa Vaughana przywarła ulotna woń kobiecych ekskrementów. Krocze iluminował mu zodiak niezapomnianych kolizji. Badałem te blizny, jedną po drugiej, ustami, smakując krew i urynę. Dotknąłem palcami szramy na jego penisie, potem musnąłem ustami żołądź. Zsunąłem Vaughanowi poplamione krwią spodnie. Pośladki miał jak dojrzewający młodzieniaszek, bez jednej blizny, gładkie jak u dziecka. Nerwy mych nóg i ramion zaczęły drgać z irytacji, kończyny zginać się seria konwulsyjnych spazmów. Wcisnąłem się za Vaughana, napierając udami na jego uda. Nad ciemnym wąwozem między jego pośladkami górował pancierz deski rozdzielczej. Rozchyliłem te pośladki prawą dłonią i poczułem żar buchający z jego odbytnicy. Przystawiłem penisa do jej wlotu i zastygłem tak na kilka minut, a ściany kabiny samochodu jarzyły się i falowały tymczasem, tak jakby starały się przyjąć zdeformowaną geometrię rozbitych samochodów ze złomowiska. Odbyt Vaughana rozstał się przed czubkiem mego penisa, zasklepił ponownie na jego trzonie, a twarde mięśnie zwieracza zacisnęły na żołądź. Wchodziłem w niego i wychodziłem, a świetliste pojazdy sunące drogą szybkiego ruchu wyciskały nasienie z mych jąder. Po orgazmie wysunąłem się powoli z Vaughana, rozchylając wciąż rękami jego pośladki, żeby nie uszkodzić mu odbytu. A potem, nadal je rozchylając, patrzyłem, jak moje nasienie wycieka zeń w żłobki winylowej tapicerki.

Siedzieliśmy obok siebie w kabinie, skapani w świetle, które śmigало we wszystkie strony nad krajobrazem. Otaczałem ramieniem śpiącego Vaughana, obserwując zamiera-

jąca z wolna fontannę, która tryskała z kratek wlotu chłodnic roztrzaskanych samochodów dwadzieścia metrów od nas. Na me ciało spływało poczucie całkowitego spokoju, wynikające po części z mojej miłości do Vaughana, a po części z czułości do metalowej altany, w której siedzieliśmy. Obudziwszy się, Vaughan, wciąż wyczerpany i rozespany, oparł się o mnie swoim nagim ciałem. Twarz miał bladą, jego oczy badały kontury moich ramion i klatki piersiowej. Pokazywaliśmy sobie nawzajem swoje rany, prezentowaliśmy blizny na piersiach i rękach kuszącym źródłem ewentualnych obrażeń we wnętrzu samochodu, ostrym krawędziom chromowanych popielniczek, światłom odległego skrzyżowania. Naszymi ranami celebrowaliśmy ponowne narodziny śmiertelnych ofiar drogowej hekatombi, śmierci i urazy tych, których widzieliśmy umierających w przydrożnych rowach, oraz wyimaginowane rany i pozycje milionów, którym przyjdzie jeszcze zginąć.

Muchy pełzały po zasmarowanej olejem przedniej szybie, wi-  
brując wraz z nią. Ich chmary tworzyły błękitny welon oddzielają-  
cy mnie od innych pojazdów sunących drogą szybkiego ruchu.  
Włączyłem wycieraczki, ale ich pióra przesuwwały się po muchach,  
nie czyniąc im żadnej krzywdy. Vaughan, z rozpiętymi, zsuniętymi  
do kolan spodniami, leżał bezwładnie na fotelu obok mnie. Muchy  
pełzały zbitymi masami po jego zakrwawionej klatce piersiowej,  
roily się na jego bladym brzuchu. Tworzyły kożuch włosów łono-  
wych sięgający od jego obwisłych jąder po blizny wzdłuż przepo-  
ny. Muchy obsiadły twarz Vaughana, kłębiąc mu się wokół ust i  
nozdrzy, jakby czekały na jakąś cuchnącą wydzielinę, którą wyde-  
styluje zaraz ciało trupa. Vaughan oczy miał otwarte i żywe. Pa-  
trzył na mnie spokojnie, wspierając głowę na zagłówku. Spróbo-  
wałem zgarnąć mu muchy z twarzy i stwierdziłem, że owady po-  
krywają również moje dłonie i ramiona, że pełno ich w samocho-  
dzie.

Kierownica i deska rozdzielcza oblepione tą siatkówkową hordą  
zdawały się tętnić życiem. Ignorując uniesioną rękę Vaughana  
otworzyłem drzwiczki od strony kierowcy. Vaughan próbował  
mnie zatrzymać. Uniósł wymęczoną twarz w ostrzegawczym ge-  
ście, rozchylił usta w wyrazie zaniepokojenia i troski, jakby prze-  
raziło go nagle to, co może mnie spotkać na świeżym powietrzu.  
Wyskoczyłem na jezdnię, mechanicznie strzepując z dłoni i ramion  
te pyłki optycznego złudzenia. Znalazłem się w opuszczonym  
świecie. Kamyki na nawierzchni drogi, porzucone tu przez prze-  
chodzący huragan, wbijały się nierównomiernie w podeszwy

mych butów. Skąpane w szarości betonowe ściany wiaduktu przywodziły na myśl zejście do podziemi. Auta poruszające się chaotycznie drogą w górze rzuciły już swe ładunki światła i turkotały po autostradzie niczym powglinane instrumenty uciekającej orkiestry.

Kiedy się odwróciłem, promienie słońca padające na betonowe ściany wiaduktu utworzyły sześcian jasnego światła, rozżarzając jakby tę kamienną powierzchnię. Byłem przekonany, że ta biała pochylnia stanowi wycinek ciała Vaughana, a ja jestem tylko jedną z pełzających po nim much. Zdjęty obawą, że poruszając się dotknę tej świetlistej powierzchni i spłonę, z duszą na ramieniu uniosłem jednak ręce i przyłożyłem sobie dłonie do wierzchu czaszki, żeby przytrzymać na miejscu miękką masę mózgu.

Raptem światło przygasło. Samochód Vaughana zatonął w mroku pod mostem. Wszystko stało się znowu bezbarwne. Powietrze i światło wyczerpały się. Świadom, że wyciąga się za mną drżąca ręka Vaughana, ruszyłem drogą, oddalając się od auta. Doszedłem wzdłuż palisady do zarośniętego chwastami wejścia na złomowisko. Samochody na drodze szybkiego ruchu nade mną sunęły niczym zmotoryzowane wraki obłożone ze spłowiiałych lakierów. Ich kierowcy siedzieli sztywno za kierownicami, wyprzedzając autobusy linii lotniczych pełne manekinów w nijakich ubraniach.

W zatoczce pod wiaduktem leżał na osiach porzucony samochód bez silnika i kół. Otworzyłem drzwiczki. Skrzyżnęły zardzewiałe zawiasy. Przedni fotel pasażera pokrywało konfetti rozbitego szkła. Przez następną godzinę siedziałem w nim i czekałem, aż narkotyk wyparuje z mojego systemu nerwowego. Skulony nad zabłoconą deską rozdzielczą wypatroszonego wraka, dociskałem kolana do klatki piersiowej, napinając i rozkurczając mięśnie łydek i ramion, by wycisnąć ze swego ciała do ostatniej mikrokropelki ten obłąkańczy środek pobudzający.

Termity zniknęły. Fluktuacje światła straciły na częstotliwości, a powietrze nad drogą szybkiego ruchu uspokoiło się. Ostatnie strugi srebra i złota wsiąkły z powrotem w opuszczone wraki na złomowisku. Odległe skarpy drogi szybkiego ruchu powróciły do swych zamazanych konturów. Podminowany i wycieńczony pchnąłem drzwiczki i wysiadłem z wraka. Kawalki szkła rozsypały się na ziemi połyskiwały niczym wycofany z obiegu bilon.

Ryknął zapuszczany silnik. Wychodząc z zatoczki na drogę dostrzegłem kątem oka wielki czarny samochód wypadający z mroku pod wiaduktem, gdzie kochaliśmy się z Vaughanem. Jego opony o białych ściankach przecięły rynsztok zavalony potłuczonymi butelkami po piwie i pustymi paczkami po papierosach, wspięły się na wąski krawężnik i runęły na mnie. Wiedząc, że Vaughan nie zatrzyma się z mojego powodu, przywarłem do betonowego murka. Lincoln skręcił ostro w moją stronę, ocierając się prawym przednim błotnikiem o osłonę tylnego koła wraka, w którym jeszcze przed chwilą siedziałem, i wrywając z zawiasów otwarte drzwiczki od strony pasażera. Wpadł bocznym poślizgiem na drogę dojazdową, wzbijając w powietrze słup kurzu i podartych gazet. Pokrwawione dłonie Vaughana kręciły wściekle kierownicą. Lincoln wpadł znowu na krawężnik po drugiej stronie drogi dojazdowej. Staranował dziesięciometrowy odcinek drewnianej palisady. Tyłne koła odzyskały przyczepność na nawierzchni drogi i wóz pomknął w kierunku przebiegającej górą drogi szybkiego ruchu.

Podszedłem do porzuconego samochodu i oparłem się o dach. Drzwiczki pasażera wbiły się w przedni błotnik, siła uderzenia zespawała obie zdeformowane metalowe powierzchnie. Wspomniawszy zabliznione rany Vaughana zasklepione w ten sam sposób wzdłuż arbitralnych szwów, zwymiotowałem strugą kwaśnego śluzu. Kiedy lincoln taranował drewnianą palisadę, Vaughan obejrzał się, kalkulując chłodnym okiem, czy warto powtórzyć najazd na mnie. Wokół opadały strzępy podartego papieru, przywierając do wgniecionych drzwiczek i wlotu chłodnicy.



Szklane samoloty pięły się w niebo nad lotniskiem. Obserwowałem poprzez ziarniste powietrze ruch na drodze. Wspomnienia pięknych pojazdów, które widziałem, sunących betonowymi pasmami, transformowały owe deprymujące kiedyś zatory i korki w nie mającą końca świetlistą kolejkę, oczekującą cierpliwie na wjazd jakąś niewidzialną estakadą do nieba. Spoglądałem z balkonu swego mieszkania na roztaczający się pode mną krajobraz, starając się wypatrzeć tę rajska, wiodącą w niebo szosę, szeroką na milę, wspartą na barkach dwóch archanielskich postaci autostradę, która pomieści pojazdy całego świata.

Od kilku dziwnych dni pozostawałem z Catherine w domu, dochodząc do siebie po narkotycznym odlocie i wypadkach zaraz potem, których omal nie przypląciłem życiem. Siedziałem z rękoma w znajomym uścisku poręczy fotela i pośród metalizowanej równiny rozciągającej się w dole wypatrywałem śladu Vaughana. Pojazdy sunęły ospale zatłoczonymi betonowymi pasami, a ich dachy tworzyły nieprzerwaną skorupę błyszczącego lakieru. Następstwa zażycia LSD wprowadziły mnie w stan niemal niezmaconego spokoju. Podczas narkotycznego transu czułem się oddzielony od własnego ciała, tak jakby mięśnie unosiły się kilka milimetrów nad szkieletem i łączyły z nim tylko za pośrednictwem kilku kontuzjowanych punktów, które zmieniały położenie, ilekroć zgiąłem nogę albo rękę. Potem przez wiele dni elementy tego doświadczenia powracały nienaruszone i znowu widziałem samochody w ich koronacyjnych zbrojach, pełnące drogami na skrzydłach ognia. Przechod-

nie na ulicach w dole nosili świetliste ubrania i odnosiłem wrażenie, że jestem samotnym gościem w mieście matadorów. Catherine przesuwiała się za mną niczym jakaś elektryczna nimfa, opiekuńcza istota, która swoją spokojną obecnością sprawuje pieczę nad moimi gestami podniecenia.

Zdarzały się też mniej przyjemne chwile, kiedy powracały lepkie delirium i przyprawiające o mdłości perspektywy szarego wia-  
duktu, tego zejścia do wilgotnych podziemi, przy którym widziałem tysiące much pełzających po desce rozdzielczej samochodu, po pośladkach przyglądającego mi się, rozwalonego w fotelu Vaughana z opuszczonymi do kolan spodniami. Przerażony tymi krótkimi nawrotami chwytałem masującą mi barki Catherine za ręce, by się upewnić, czy aby na pewno siedzę z nią za zamkniętymi oknami własnego mieszkania. Często pytałem ją, jaki miesiąc aktualnie mamy. Fluktuacje światła na mojej siatkówce zmieniały bez ostrzeżenia porę roku.

Pewnego ranka Catherine poszła na lekcję pilotażu i zostałem w domu sam. W pewnej chwili dostrzegłem nad drogą szybkiego ruchu jej samolocik, szklaną ważkę niesioną przez słońce. Zdawał się wisieć bez ruchu nad moją głową. Śmigło obracało się powoli, jak w samolocie zabawce. Ze skrzydeł nieprzerwaną fontanną try-  
skało światło.

Samochody szybujące w dole drogą szybkiego ruchu wyznaczały na równinnym krajobrazie wszelkie możliwe trajektorie jej lotu, kreśląc plan naszej zbliżającej się podróży poprzez niebiosy, przelotów przez nie na skrzydłach techniki. Wspomniałem Vaughana oblepionego muchami niczym wskrzeszony trup, obserwującego mnie z mieszaniną ironii i miłości. Wiedziałem, że Vaughan nigdy nie mógłby tak naprawdę umrzeć w kraksie samochodowej, że odrodziłby się w jakimś sensie poprzez te pogięte kratki wlotu chłodnicy i kaskady szkła z rozbitej przedniej szyby. Wspomniałem pokrytą szramami, białą skórę jego brzucha, gąszcz włosów łonowych zaczynający się na górnych stokach jego ud, jego lepki pępek i odrażające pachy, jego brutalne podejście do kobiet i aut, i uległą czułość, jaką okazywał mnie. Już wtedy, gdy wsuwałem mu penisa w odbyty, Vaughan wiedział, że będzie mnie próbował zabić, dając

tym ostateczny dowód bezinteresownej miłości, jaką mnie darzył.

Na podjeździe pod oknami sypialni wylądował samochód Catherine. Porysowany lakier z lewego boku świadczył, że miała jakąś niegroźną kolizję.

- Twój samochód...? - Chwyciłem ją za ramiona. - Nic ci nie jest?

Przywarła do mnie, utrwalając jakby obraz tej kolizji w naporze na siebie naszych ciał. Zdjęła kurtkę lotniczą. Teraz oboje mieliśmy już za sobą swoje akty seksualne z Vaughanem.

- To nie w czasie jazdy. Zostawiłam wóz na parkingu przy lotnisku. - Wyciągnęła ręce i ujęła mnie pod łokcie. - Czy ktoś mógł to zrobić specjalnie?

- Któryś z twoich gachów?

- Któryś z moich gachów.

Ten bezmyślny akt wandalizmu dokonany na jej samochodzie z pewnością ją przestraszył, ale przyglądała mi się spokojnie, kiedy dokonywałem oględzin uszkodzeń. Pomacałem otarcia na lewych drzwiczkach i na blachach karoserii, a potem przesunąłem dłonią po głębokiej rysie biegnącej przez całą długość auta, od rozbitej tylnej lampy po przedni reflektor. Na osłonie tylnego koła widniał wyraźny odcisk masywnego przedniego zderzaka innego samochodu, bezsprzecznie wizytówka pozostawiona przez Vaughanowego lincolna. Pomacałem to obłe wgłębienie, gładkie jak dolina między twardymi pośladkami Vaughana, uformowane idealnie jak ciasny pierścień jego odbytu, który nadal czułem na swoim penisie podczas erekcji.

Czyżby Vaughan śledził Catherine i rozpoczął zaloty od uderzenia w jej zaparkowany samochód? Patrzyłem na bladą skórę i jędrne ciało żony, wspominając Vaughana pędzącego wprost na mnie między betonowymi słupami wiaduktu. Mało brakowało, a zginąłbym w narkotycznym transie, jak Seagrave.

Otworzyłem drzwiczki od strony pasażera i gestem ręki zaprosiłem Catherine do zajęcia miejsca.

- Pozwól, że ja poprowadzę. Światło jest teraz normalne.

- Ale twoje ręce. Jesteś już w stanie?

- Catherine... - Wziąłem ją pod ramię. - Odczuwam potrzebę przejechania się, zanim to wszystko minie.

Założyła na piersi nagie ręce i zajrzała do wnętrza samochodu, jakby szukała tam much, o których jej opowiadałem. .

Chciałem ją pokazać Vaughanowi.

Zapуściłem silnik i wyjechałem z dziedzińca. Kiedy przyśpieszałem, perspektywy ulicy zaczęły się rozbiegać na boki, odchylać ode mnie, jakby odpływając. Przez ulicę przed supermarketem przechodziła młoda kobieta w plastikowym płaszczu, który jarzył się wiśniowym światłem. Ruch samochodu, jego reakcje i geometria uległy wyraźnej transformacji, która oczyściła je jakby z naleciałości wszystkiego, co znajome i darzone sentymentem. Pęd samochodu rozświetlał zabudowę mijanych ulic, witryny sklepów i przechodniów. Natężeniem emitowanego przez to wszystko blasku sterował przejazd samochodu, który prowadziłem. Zatrzymawszy się na światłach, spojrzałem na Catherine. Siedziała z łokciem wystawionym przez okno. Kolory jej twarzy i ramion jawiły się w swej najczystszej, najbogatszej formie, jakby każda komórka krwi, każda granulka pigmentu i wszystkie chrząstki jej twarzy były po raz pierwszy realne, przywrócone rzeczywistości przez ruch samochodu, którym jechaliśmy. Skóra jej policzków, drogowskazy prowadzące nas autostradą, auta zaparkowane na dachu supermarketu, wszystko to wykryształizowało się i przedestylowało, jakby wyodrębniło wreszcie po cofnięciu się jakiegoś ogromnego potopu. Przypominało to księżycowy krajobraz, martwą naturę skomponowaną przez brygadę rozbiórkową.

Jechaliśmy drogą szybkiego ruchu na południe.

- Ale pusto. Gdzie się wszyscy podziali? - Dotarło do mnie, że trzema pasami ruchu prawie nic nie jechało. - Nikogo nie ma.

- Chciałabym już wracać... James!

- Jeszcze nie teraz... to dopiero początek...

Kiedy jechaliśmy drogą dojazdową, na której przed kilkoma dniami próbował mnie zabić Vaughan, przed oczyma miałem wizję wyludnionego miasta, pełnego porzuconej, pozostawionej samej sobie techniki. Na zachwaszczonym placyku za uszkodzoną palisadą pławiła się w zbiełałym

świetle grupka porzuconych samochodów. Jechałem wzdłuż poblížnionej betonowej skarpy w stronę ciemnej pieczary wiaduktu, gdzie objęci pośród betonowych filarów wsłuchiwałem się z Vaughanem w dudnienie ruchu nad naszymi głowami. Catherine zadarła głowę i patrzyła na katedralne krypty wiaduktu przypominające szereg pustych schronów dla łodzi podwodnych. Zatrzymałem wóz i obróciłem się przodem do niej. Odruchowo przyjąłem pozycję, w której odbywałem stosunek analny z Vaughanem. Spuściłem wzrok na swoje uda i brzuch, mając przed oczyma wypięte pośladki Vaughana dociśnięte do mych bioder, odtwarzając w pamięci lepką teksturę jego odbytu. Paradoksalnie, ten akt homoseksualny między nami odarty był z wszelkiej seksualności.

Jeździliśmy drogami szybkiego ruchu przez całe popołudnie. Nie ogarniony system autostrad, którymi się poruszaliśmy, zawierał formuły na nieskończoność seksualnej rozkoszy. Obserwowałem samochody zjeżdżające z wiaduktu. Każdy z nich unosił na swym dachu kawałek słońca.

- Szukasz Vaughana? - spytała Catherine.
- Można to tak nazwać.
- Nie boisz się go już.
- A ty?
- On chce się zabić.
- Wiem o tym od śmierci Seagrave'a.

Staliśmy na bocznej drodze odchodzącej od Western Avenue, a ja obserwowałem Catherine zapatrzoną w rzeki pojazdów spływające ku nam z wiaduktu. Chciałem, żeby Vaughan ją zobaczył. Chciałem mu pokazać pokryty szramami długich wgnieceń bok jej samochodu, zachęcić go do wzięcia Catherine jeszcze raz.

Na placu jednej ze stacji benzynowych dostrzegłem Verę Seagrave rozmawiającą z dziewczyną obsługującą dystrybutor. Skręciłem tam. Rozłożystobiodre ciało Very o prężnym biuście i pośladkach odziane było w grubą skórzaną kurtkę. Można by pomyśleć, że Vera wybiera się na wyprawę antarktyczną.

Nie poznała mnie w pierwszej chwili. Jej posępne spojrzenie, omijając mnie, pobiegło od razu ku eleganckiej postaci Catherine, tak jakby swobodna poza kobiety siedzącej z nogą założoną na nogę w otwartej kabinie tego spor-

towego wozu w zestawieniu z jego pokierszowaną karoserią wzbudziło w niej podejrzliwość.

- Wyjeżdżasz gdzieś? - spytałem wskazując na walizki na tylnym siedzeniu auta Vera. - Usiłuję znaleźć Vaughana.

Vera, poprawiając swojego małego synka siedzącego wozie, zakończyła rozmowę z dziewczyną ze stacji benzynowej. Nie spuszczać wzroku z Catherine, wsiadła za kierownicę.

- Śledzi swoją aktorkę filmową. Policja go szuka. Na wiadukcie w Northolt zginął w wypadku jakiś amerykański serwisowiec.

Położyłem dłoń na przedniej szybie, ale włączyła wycieraczki, które omal nie przecięły mi nadgarstka.

- Byłam z nim wtedy w samochodzie - wyjaśniła. Zanim zdążyłem ją powstrzymać, wyjeżdżała już ze stacji,

włączając się w sznury pojazdów mknące w zapadającym zmierzchu drogą szybkiego ruchu.

Nazajutrz Catherine zatelefonowała do mnie z biura i powiedziała, że przez całą drogę na lotnisko jechał za nią Vaughan. Słuchając jej opanowanego głosu przeniosłem się z telefonem do okna. Obserwowałem auta pełznące drogą szybkiego ruchu, czując, jak sztywnieje mi penis. Gdzieś pode mną, pośród tych tysięcy pojazdów, na jakimś skrzyżowaniu czał się Vaughan.

- Pewnie szuka mnie - powiedziałem jej.

- Widziałam go dwa razy. Dziś rano czekał na mnie przy wjeździe na parking.

- Co mu powiedziałaś?

- Nic. Skontaktuję się z policją.

- Nie, nie rób tego.

Przylapałem się na tym, że rozmawiając z nią, popadam z wolna w ten sam erotyczny nastrój, pod wpływem którego zwykle czasami wypytywać Catherine o instruktora pilotażu, z którym jadła lunch, wyciągać z niej szczegół po szczególe przebieg jakiejś miłosnej schadzki, szybkiego stosunku. Wyobrażałem sobie Vaughana czekającego na nią na jakichś spokojnych skrzyżowaniach, podążającego za nią trop w trop tunelami myjni samochodowych i objazdami, coraz bliższego jakiemuś erotycznemu zespoleniu. Szare

ulice rozświetlały się pod wpływem przejazdu ich ciał złączonych w tym wyjątkowo przedłużonym rytualnym spółkowaniu.

Świadomość, że tam trwają owe zaloty, nie dała mi usiedzieć dłużej w domu. Wsiadłem do swojego samochodu i pojechałem na lotnisko. Zająwszy stanowisko na dachu wielopiętrowego parkingu sąsiadującego z budynkiem towarowego portu lotniczego, czekałem na pojawienie się Vaughana.

Tak jak się tego spodziewałem, Vaughan czekał na Catherine przy wiadukcie nad Western Avenue. Włączył się ostentacyjnie swym ciężkim wozem w strumień pędzących pojazdów, nie starając się nawet ukrywać przed żadnym z nas. Nie okazując najmniejszego zainteresowania Catherine ani mną, prowadził z łokciem wystawionym za okno, prawie zasypiając za kierownicą. Przyśpieszał tylko na widok zmieniających się świateł. Palce jego lewej dłoni bębniły o kierownicę, zupełnie jakby z jej gwałtownych podrygów odczytywały informacje wypisane alfabetem Braille'a na jezdni. Interpretując w myślach owe dane o nierównościach nawierzchni, prowadził lincolna wężykiem tamtędy, gdzie były największe. Ponura twarz ścięła mu się w sztywną maskę, pokiereszowane policzki ściągnęły wokół ust. Lawirując między pojazdami parł naprzód, dopóki, pędząc pasem szybkiego ruchu, nie zrównał się z Catherine, potem zostawał w tyle, pozwalając innym samochodom wciskać się między siebie a nią, by po chwili zjechać na pas wolnego ruchu i tam zająć znowu dogodnie stanowisko obserwacyjne. Zaczął naśladować styl prowadzenia Catherine, jej wyprostowane ramiona i zadarty podbródek, ustawiczne naciskanie pedału hamulca. Odblaski zapalających się synchronicznie świateł stopu ich aut niosły się po drodze szybkiego ruchu niczym dialog jakiegoś długoletniego małżeństwa.

Pędziłem za nimi, błyskając reflektorami na samochody blokujące mi drogę. Dotarliśmy tak do podjazdu na wiadukt. Catherine wjechała nań powoli, zmuszona przez kolumnę cystern do zmniejszenia szybkości, Vaughan zaś przyśpieszył gwałtownie i przed samym wiaduktem skręcił w lewo. Pognałem za nim płataniną okrężnic i skrzyżowań, nad którą przerzucony był wiadukt. Przeskoczyliśmy kilka świa-

teł. Gdzieś nad naszymi głowami otwartą jezdnią wiaduktu posuwała się Catherine.

Vaughan gnał zatłoczonymi jezdniami na złamanie karku, cisnąc w ostatniej chwili po hamulcach i wchodząc w zakręty bez zmniejszania szybkości, na dwóch kołach. Pędziłem sto metrów za nim. Zbliżaliśmy się do zjazdu z wiaduktu. Vaughan dotarł tam pierwszy, zatrzymał się i czekał, aż przetoczą się z hukiem cystermy. Kiedy wyłonił się zza nich mały sportowy wóz Catherine, wyrwał ostro z miejsca.

Skręcając za nim byłem już przekonany, że Vaughan staranuje zaraz Catherine. Jego samochód pędził w poprzek wymalowanych na jezdni linii kursem na zderzenie. Ale w ostatniej chwili zwolnił, został z tyłu i po chwili wmieszał się w sznur sunących za nią pojazdów. Dotrzegłem jeszcze poobijany przedni błotnik jego samochodu, kiedy błyskał reflektorem na ospałego kierowcę ciężarówki, a potem zginął mi z oczu za wykręcającą na północ okrężnicą.

Pół godziny później, w podziemnym garażu mojego domu, wodziłem dłońmi po odciskach pozostawionych przez wóz Vaughana na blachach karoserii sportowego samochodu Catherine, po próbnym znakach śmierci.

Vaughan kontynuował przez kilka następnych dni próby zespolenia z Catherine. Vera Seagrave telefonowała do mnie dwukrotnie z pytaniem, czy widziałem Vaughana, ale mówiłem jej, że od naszego ostatniego spotkania nie wychodziłem z domu. Dowiedziałem się od niej, że policja zabrała zdjęcia i sprzęt fotograficzny Vaughana z ciemni, którą sobie u niej urządził. Zadziwiająco, ale wyglądało na to, że nie potrafią Vaughana dopaść.

Catherine nie wspominała słówkiem o tym, że Vaughan ją przesładuje. Odnosiliśmy się teraz do siebie z ironicznym dystansem, z tą samą chłodną uprzejmością, jaką okazywaliśmy sobie na przyjęciach, ilekroć jedno z nas miało otwarcie romans z kim innym. Czy Catherine rozumiała prawdziwe motywy kierujące zachowaniem Vaughana? W owym czasie nawet ja nie uświadamiałem sobie, że moja żona jest tylko dublerką w starannej próbie innej i daleko bardziej znaczącej śmierci.



Vaughan śledził Catherine dzień w dzień, jeżdżąc za nią drogami szybkiego ruchu i ulicami wokół lotniska, czekał na nią czasami w wilgotnym zaułku obok naszego podjazdu, kiedy indziej pojawiał się niczym widmo na wiadukcie, by pędząc pasem szybkiego ruchu swoim poobijanym pojazdem, wejść na pełnej szybkości w zakręt. Obserwowałem go, jak czeka na nią na coraz to innym skrzyżowaniu, wyraźnie testując możliwości stwarzane przez rozmaite typy wypadków; zderzenia czołowe, uderzenia z boku, najechania od tyłu, dachowanie. Poddając się nieuchronnej logice, którą dawniej odrzucałem, zaczynałem odczuwać narastającą euforię, tak jakbym obserwował własną córkę we wczesnych fazach pączkującego romansu.

Wiedząc, że to jego ulubiona strefa działań, stawałem często przy zachodnim zjeździe z wiaduktu na porośniętym trawą skraju skarpy i patrzyłem, jak Vaughan gna za Catherine unoszoną na fali wieczornego szczytu.

Samochód Vaughana był z dnia na dzień coraz bardziej poobijany. Na prawym błotniku i prawych drzwiczkach widniały głębokie wgniecenia po uderzeniach, a rdzewiejąca pajęczyna zadrapań stawała się coraz bielsza, odsłaniając jak gdyby znajdujący się pod spodem szkielec. Pewnego razu, stojąc za nim w korku na drodze szybkiego ruchu w Northolt zauważyłem, że obie tylne szyby ma wybite.

Uszkodzeń przybywało. Od osłony tylnego prawego koła odzieliła się blacha karoserii, a przedni zderzak zwisał luźno na trzpieniu ramy, niemal szorując porzewiałym dolnym wyobleniem o ziemię, kiedy Vaughan pokonywał ostre zakręty.

Vaughan, ledwie widoczny za brudną przednią szybą, przygarbiony nad kierownicą, pędził drogami szybkiego ruchu niepomny pokrywających jego samochód wgnieceń i rys, które przywodziły na myśl samookaleczenia zadane sobie przez jakieś zdesperowane dziecko.

Nie mając wciąż pewności, czy Vaughan spróbuje w końcu uderzyć swoim wozem w samochód Catherine, nie czyniłem nic, by ją ostrzec. Jej śmierć byłaby modelem mojego współczucia dla wszystkich ofiar katastrof lotniczych i klęsk naturalnych. Leżąc obok niej w nocy i modelując dłońmi jej piersi, wyobrażałem sobie jej ciało w kontakcie z rozmaitymi punktami wnętrza lincolna, analizując w imieniu Vaug-

hana pozy, jakie mogłaby przyjąć. Catherine, świadoma owej zbliżającej się kolizji, wchodziła do pokoju i wychodziła z niego zatopiona w myślach. Nie stawiała oporu, kiedy układałem jej kończyny w pozycjach nie zbadanych aktów seksualnych. •

Jakiś poobijany samochód przejechał pustą aleją pod naszymi oknami. Catherine spała. Kompletna cisza na ulicach w dole sprawiała, że całe miasto zdawało się wyludnione. W tej krótkiej martwocie przed pierwszym brzaskiem, kiedy z lotniska nie startował żaden samolot, jedynymi odgłosami, jakie słyszałem, było klekotanie rury wydechowej samochodu Vaughana. Z okna kuchni widziałem jego ziemistą twarz przywierającą do popękanej owiewki. Czoło przecinała mu głęboka pręga przypominająca przepaskę z jasnej skóry. Przez chwilę miałem wrażenie, że odleciały już wszystkie samoloty, których starty z lotniska z takim zainteresowaniem śledziłem. Kiedy zabraknie już Catherine i mnie, zostanie w końcu sam i będzie krążył po pustym mieście w swoim zaniedbanym samochodzie.

Nie mogłem się zdecydować, czy budzić Catherine, czy nie. Odczekałem jeszcze pół godziny, a potem ubrałem się i zszedłem na dziedziniec przed domem. Samochód Vaughana stał w alei pod drzewami. Pierwsze promienie wschodzącego słońca odbijały się niezdecydowanie od zakurzonego lakieru. Siedzenia zapaćkane były smarem i olejem, a na tylnej kanapie, na brudnej poduszce leżały resztki podartego koca w kratę. Z potłuczonych butelek i puszek po konserwach walających się po podłodze wywnioskowałem, że Vaughan od kilku dni mieszka w samochodzie. W jakimś napadzie złości musiał pewnie wyrznąć pięścią w deskę rozdzielczą, bo skale kilku zegarów i górna krawędź deski były wgięte. Nad dźwigienkami przełączników świateł zwisały rozpruta plastikowa okleina i paski chromu.

Kluczyk tkwił w stacyjce. Rozejrzałem się po alei, wypatrując Vaughana za którymś z drzew. Obszedłem samochód dookoła, wpychając na miejsce rozłazące się blachy karoserii. Ni z tego, ni z owego z opony prawego przedniego koła zaczęło schodzić powietrze i wkrótce felga spoczęła na ziemi.

Catherine zeszała na dół i przyglądała mi się. Ruszyliśmy wśród wstającego dnia ku wejściu do budynku. Kiedy byliś-

my już na żwirowej alejce, z garażu dobiegł ryk zapuszczanego silnika. Pochylił pędził wprost na nas błyszczący srebrny samochód, w którym natychmiast rozpoznałem swoją własność. Catherine krzyknęła i potknęła się, ale zanim zdążyłem chwycić ją pod ramię, samochód ominął nas ciasnym łukiem i ślizgając się po żwirze wypadł na ulicę. Ryk jego silnika brzmiał w rześkim porannym powietrzu jak krzyk bólu.

Więcej Vaughana nie widziałem. Dziesięć dni później zginął na wiadukcie, usiłując staranować moim samochodem limuzynę wiozącą aktorkę filmową, którą od tak dawna śledził. Jego ciało, uwięzione w aucie, które przerwało barierkę i spadło z wiaduktu na dach przejeżdżającego dołem autobusu linii lotniczych, było tak zdeformowane, że policja zidentyfikowało je z początku jako moje. Zatelefonowali do Catherine, a ja tymczasem, niczego nieświadomy, wracałem sobie spokojnie do domu z wytwórni w Shepperton. Skręcając na dziedziniec przed swoim domem, ujrzałem Catherine okrążającą półprzrytomnie rdzewiejący wrak Vaughanowego lincolna. Kiedy wziąłem ją pod ramię, popatrzyła poprzez moją twarz na ciemne konary drzewa nad moją głową. Przez chwilę byłem przekonany, że zamiast mnie spodziewała się ujrzeć Vaughana, który przyjechał, by pocieszyć ją po mej śmierci.

Jechaliśmy samochodem Catherine w kierunku wiaduktu, słuchając w radio relacji o cudownym ocaleniu aktorki.

O Vaughanie, od dnia kiedy ukradł z garażu mój samochód, nie mieliśmy żadnych wieści. Dochodziłem do coraz większe go przekonania, że Vaughan był wytworem moich własnych fantazji i obsesji, i że to ja, w jakimś sensie, go uśmierciłem.

A tymczasem porzucony lincoln stał w alei. Bez Vaughana niszczał w oczach. Osiadł na sflaczałych oponach, a opadające z drzew jesienne liście lądowały na dachu

i masce, dostawały się przez wybite szyby do wnętrza kabiny. Jego oplakany stan, obluzowane blachy karoserii i zderzaki wzbudzały u przechodniów wrogość. Jakaś banda małolátów wybiła przednią szybę i stłukła reflektory.

Kiedy przybyliśmy na miejsce wypadku pod wiaduktem, odniosłem wrażenie, że odwiedzam incognito miejsce swej własnej śmierci. Niedaleko stąd, prowadząc samochód identyczny jak pojazd, w którym zginął Vaughan, sam miałem kraksę. Na wiadukcie powstał gigantyczny zator, zostawiliśmy więc auto na dziedzińcu warsztatu samochodowego i pieszo ruszyliśmy w kierunku migających kilometr dalej policyjnych kogutów. Jasne wieczorne niebo oświetlało cały krajobraz i odbijało się w dachach samochodów tkwiących w korku. Odnosiło się wrażenie, że czekamy wszyscy na załadunek przed podróżą w noc. Górą, niczym platformy obserwacyjne wyniesione tam, by prowadzić z nich nadzór nad przebiegiem tej ogromnej migracji, przelatywały samoloty.

Obserwowałem ludzi w samochodach. Popatrywali przez przednie szyby, dostrajając swoje radia. Wydawało mi się, że rozpoznaję w nich wszystkich gości z ostatniego z nie kończącej się serii drogowych przyjęć, w których uczestniczyliśmy wspólnie ubiegłego lata.

Na miejscu wypadku, pod przebiegającą wysoko jezdnią wiaduktu, na każdym krawężniku i parapecie zgromadziło się co najmniej pięćset osób przyciągniętych tu przez wiadomość, że aktorka filmowa o włos uniknęła śmierci. Ilu z tych ludzi zakładało, że ona już nie żyje, że zajęła swe miejsce w panteonie ofiar katastrofy samochodowej? Wzdłuż barierki na zjeździe z wiaduktu gapie stali w trój szeregu, patrząc z góry na samochody policyjne i ambulanse na Western Avenue. Nad głowami tłumu górował zmiażdżony dach autobusu linii lotniczych.

Trzymałem Catherine pod ramię, wspominając pozorowane próby, jakie Vaughan właśnie w tym miejscu na niej przeprowadzał. Mój samochód leżał w blasku lamp łukowych obok autobusu. Opony były nadal napompowane, ale reszty nie dało się rozpoznać, tak jakby wóz zainkasował uderzenia ze wszystkich stron, zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz. Vaughan gnał wiaduktem z maksymalną szybkością, próbując wlecieć w niebo.

Z górnego pokładu autobusu wynoszono ostatniego pasażera, ale oczy gapiów skierowane były nie na ofiary wypadku, lecz na zdeformowane pojazdy zajmujące środek sceny. Czyżby widzieli w nich modele swoich przyszłych egzystencji? Aktorka filmowa stała ze swoim szoferem na oboczu. Rękę trzymała przy szyi, jakby osłaniała się nią od wizji

śmierci, której o włos uniknęła. Policja i sanitariusze z ambulansów, ciżba gapiów tłoczących się między wozami policyjnymi i ambulansami, wszyscy oni skrupulatnie zostawiali wokół niej wolną przestrzeń.

Koguty obracające się na dachach wozów policyjnych przyciągały na miejsce wypadku coraz to nowych ciekawskich z wieżowców mieszkalnych w Northolt, z całodobowych supermarketów przy Western Avenue, z rzędów pojazdów pełznących wiaduktem. Jezdnia wiaduktu, oświetlana od spodu lampami łukowymi, tworzyła nad okolicą widoczny na kilometry łuk proscenium. Ludzie ciągnęli w kierunku tej ogromnej sceny jezdniami i trotuarami pustych bocznych uliczek, wabieni przez logikę i piękno śmierci Vaughana.

W nasz ostatni wieczór odwiedziliśmy z Catherine policyjny parking, na który odtransportowano szczątki mojego samochodu. Wziąłem klucz do bramy od oficera dyżurnego z wartowni, bystrookiego młodego mężczyzny, którego widziałem już wcześniej, kiedy nadzorował usuwanie z ulicy przed moim domem samochodu Vaughana. Byłem przekonany, że ten człowiek dobrze wie, że Vaughan od wielu miesięcy planował swoją próbę zderzenia się z limuzyną aktorki, gromadząc materiały do tej kolizji pozyskane z kradzionych samochodów i fotografując kopulujące pary.

Szliśmy z Catherine wzdłuż rzędów odzyskanych i porzuconych samochodów. Parking był pogrążony w mroku. Oświetlał go tylko blask ulicznych latarni odbijający się w pogiętym chromie. Usiadłszy na tylnej kanapie lincolna Vaughana odbyliśmy pośpieszny, rytualny akt miłosny. Po krótkim zbliżeniu jej pochwa wysłała ze mnie małą strużkę nasienia. Siedziała mi na kolanach, a ja ścisnąłem mocno jej pośladki. Skłoniłem ją, by uklękła nade mną, i zebrałem w dłoń wypływające z jej pochwy nasienie.

Później, z nasieniem w ułożonej w muszelkę dłoni, spacerowałem z Catherine między samochodami. W pewnym momencie na nasze kolana padły smugi reflektorów. Obok wartowni zatrzymał się mały, odkryty samochód sportowy. Za przednią szybą dostrzegłem dwie wpatrzone w mrok kobiety. Ta za kierownicą dopóty manewrowała autem,

dopóki reflektory nie oświetliły szczątków rozbitego samochodu, w którym zginął Vaughan.

Pasażerka wysiadła i zatrzymała się na chwilę przy bramie. Obserwując ją z mroku, kiedy Catherine wyglądała na sobie ubranie, rozpoznałem doktor Helen Remington. Za kierownicą siedziała Gabrielle. Nie zdziwiło mnie wcale, że przyjechały tutaj rzucić po raz ostatni okiem na to, co zostało z Vaughana. Widziałem już oczyma wyobraźni tę lekarzkę i jej kalekę kochankę, jak przemierzają parkingi i drogi szybkiego ruchu zarażone obsesjami Vaughana, celebrując je teraz czułymi uściskami. Rad byłem, że Helen Remington, znajdując swe szczęście w bliznach i kontuzjach Gabrielle, stała się jeszcze bardziej perwersyjna.

Kiedy Gabrielle, z ręką obejmującej ją Helen na ramieniu, wycofała wóz i odjechały, ruszyliśmy znowu z Catherine między samochodami. Przypomniało mi się, że wciąż niosę na dłoni swe nasienie. Wsuwając rękę przez wybite przednie szyby i okna otaczających mnie samochodów, znaczyłem swym nasieniem zapakowane olejem deski rozdzielcze i oprawy zegarów, dotykając tych źródeł urazów w najbardziej zdeformowanych miejscach. Zatrzymaliśmy się przy moim wozie. Szczątki kabiny były lepkie od krwi i wydzielin Vaughana. Deskę rozdzielczą pokrywała czarna skorupa ludzkiej tkanki, jakby ktoś naniósł tu krew pistoletem malarzkim. Oznaczyłem nasieniem z mej dłoni potrzaskane dźwignienki przełączników i skale zegarów, po raz ostatni definiując w tym wnętrzu kontury obecności Vaughana. Wydało mi się, że pośród pęknięć zdeformowanych siedzisk zachował się odcisk jego pośladków. Rozprowadziłem swe nasienie po siedzeniu, a potem oznaczyłem nim kolec kolumny kierownicy, tę skrwawioną lancę sterczącą ze zdeformowanej deski rozdzielczej.

Cofnęliśmy się z Catherine i przyglądali tym połyskującym w ciemnościach, bladym punkcikom cieczy, pierwszej konstelacji w nowym zodiaku naszych umysłów. Kiedy ruszyliśmy znowu między rozbitymi wrakami, otoczyłem ramieniem Catherine talię, dociskając jej palce do mego brzucha. Wiedziałem już, że obmyślam elementy swojej własnej kraksy samochodowej.

A tymczasem pojazdy suną wiaduktem nieprzerwaną rzeką. Samoloty wzlatają w niebo z pasów startowych lotniska, roznosząc resztki nasienia Vaughana na deski rozdzielcze i kratki -wlotu chłodnicy tysięcy rozbitych samochodów, na kolana milionów pasażerów.



# J.G. BALLARD

**Ceniony autor powieści** psychologiczno-- społecznych **z elementami fantastyki naukowej, m.in. *W pośpiechu do raju*, oraz *Imperium słońca* zekranizowanego przez Stevena Spielberga**

J. G. Ballard urodził się w 1930 roku w Szanghaju. Po ataku na Pearl Harbour rodzina chłopca została internowana. Do Anglii powrócili dopiero w 1946 roku. Pobyt w japońskim obozie opisał Ballard w **Imperium słońca**, autobiograficznej powieści, która weszła do kanonu współczesnej literatury. Zanim jednak Ballard całkowicie poświęcił się twórczości literackiej, długo szukał drogi życiowej. Studiował medycynę w Cambridge, pracował dla firm reklamowych, był bileterem w Covent Garden, wreszcie zaciągnął się do RAF-u i odbył służbę w Kanadzie.

W 1956 roku ukazało się pierwsze opowiadanie Ballarda, a w 1961 roku debiut powieściowy. Wyróżniające się oryginalną treścią i formą powieści Ballarda odzwierciedlają prześladowaną autora wizję zagłady świata, zniszczonego katastrofą nuklearną czy ekologiczną (**Wyspa, Witaj Ameryko, W pośpiechu do raju**). Wydarzeniem literackim stała się książka **Kraksa**, będąca metaforą życia człowieka w nowoczesnym społeczeństwie, oraz powieść **Kokainowe noce**.

*J.G. Ballard jest uznanym przez krytykę i czytelników twórcą literatury na najwyższym poziomie, łączącym w swych powieściach symboliczne obrazy wymagowanej przyszłości z realiami okrutnej codzienności.*

## Kraksa

*Słynna skandalizująca powieść odkrywająca nowy rodzaj erotyzmu, klasyka literatury undergroundu*

Vaughan, telewizyjny popularyzator nauki, ulega wypadkowi drogowemu i staje się koszmarnym aniołem autostrad. Samochód jest dla niego piekielnym laboratorium doświadczalnym, w którym prowadzi na ofiarach wypadków perwersyjne eksperymenty erotyczne.

*Znakomita ekranizacja z Holly Hunter i Jamesem Spaxem*